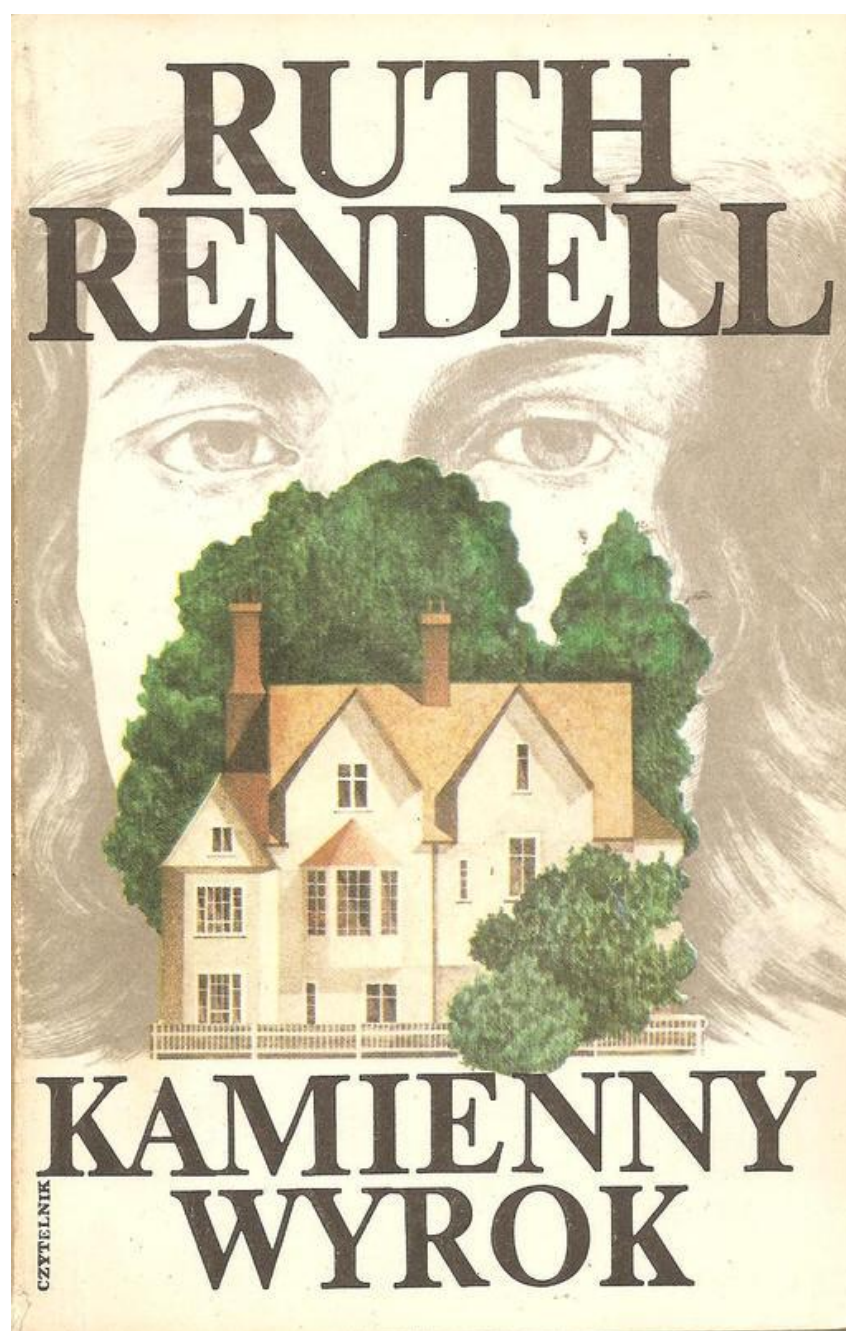




RUTH RENDELL

KAMIENNY WYROK

Przełożyła Katarzyna Heidrich-Żurkowska



Eunice Parchman zabiła rodzinę Coverdale'ów, dlatego że nie umiała czytać ani pisać.

Nie było istotnego motywu i nie było premedytacji; nie padły tu łupem ani pieniądze, ani kosztowności. Na skutek tej zbrodni o ułomności" Eunice Parchman dowiedziała się nie tylko rodzina i okoliczni mieszkańcy, ale cały kraj. Czynem tym ściągnęła na siebie tylko klęskę, choć właściwie przez cały czas podświadomie zdawała sobie sprawę, że tak będzie, że nic przez to nie zyska. A jednak w przeciwieństwie do swej obłąkanej współtowarzyszki i współniczki nie zdradzała oznak szaleństwa. Była przerażająco normalna, niczym prehistoryczna małpa, która wcieliła się w postać kobiety z dwudziestego wieku.

Umiejętność pisania stanowi jeden z kamieni węgielnych cywilizacji. Być analfabetą, znaczy być ułomnym. Stąd drwiny, jakie budziły ongiś ułomności fizyczne, mogą teraz spotykać — może i słusznie — ludzi, którym obce jest słowo pisane.

Jeżeli taki mężczyzna lub kobieta potrafi wieść skromny żywot wśród ludzi niewykształconych, wszystko może się dobrze układać, jako że w krainie ślepców niewidomego się nie odtrąca. Pech chciał, że ludzie, którzy zatrudniali Eunice Parchman i w których domu mieszkała przez dziewięć miesięcy, należeli do bardzo wykształconych. Gdyby byli rodziną filistrów, mogliby żyć do dziś, a Eunice dane byłoby cieszyć się mroczną wolnością świata doznań i instynktów oraz absolutnym brakiem styczności ze słowem drukowanym.

Rodzina, o której mowa, należała do zamożnej klasy średniej i w wiejskim domu pędziła życie typowe dla swej pozycji społecznej.

George Coverdale uzyskał dyplom na wydziale filozofii, ale po skończeniu trzydziestu" lat został dyrektorem własnej, dotychczas należącej do ojca, firmy, która w Stantwich, hrabstwo Suffolk, zajmowała się produkcją puszek do konserw. Wraz z żoną i trojgiem dzieci, Piotrem, Paulą i Melindą, mieszkał pod Stantwich w obszernym domu z lat trzydziestych — aż do momentu, gdy jego żona zmarła na raka. Melinda miała wówczas dwanaście lat.

Dwa lata później, na ślubie Pauli z Brianem Cawallem, George poznał trzydziestosiedmioletnią Jacqueline Mont. Ona także była kiedyś mężatką, zanim, opuszczona przez męża, rozwiodła się, pozostawszy z jedynym synem. George i Jacqueline pokochali się, można powiedzieć, od pierwszego wejrzenia i w trzy miesiące później wzięli ślub. George kupił posiadłość położoną kilkanaście kilometrów od Stantwich i zamieszkał tam wraz z żoną, Melindą i Gilesem Mont. W owym czasie Piotr Coverdale był już od trzech lat żonaty.

Kiedy zaangażowali Eunice Parchman jako gospodynię, George miał pięćdziesiąt siedem lat, a Jacqueline czterdzieści dwa. Oboje brali czynny udział w życiu społecznym okolicy i z czasem niepostrzeżenie spadła na nich rola dziedzica i dziedziczki. Małżeństwo należało do udanych, a Jacqueline cieszyła się sympatią swoich pasierbów: Piotra, wykładowcy ekonomii politycznej na jednym z uniwersytetów na północy, Pauli, która już sama była teraz matką i mieszkała w Londynie, oraz dwudziestoletniej Melindy, studiującej anglistykę na Uniwersytecie Wschodniej Anglii w Norwich. Własny jej syn, siedemnastoletni Giles, chodził jeszcze do szkoły.

Czworo członków tej rodziny — George, Jacqueline i Melinda Coverdale'owie oraz Giles Mont — straciło życie w ciągu piętnastu minut w dniu czternastym lutego, dniu świętego Walentego. Eunice Parchman i niejaka Joan Smith zastrzeliły ich w niedzielny wieczór, podczas gdy oglądali w telewizji spektakl operowy. Dwa tygodnie po-

tem Eunice Parchman aresztowano za popełnienie tej zbrodni — bo nie umiała czytać.

Ale kryło się za tym coś więcej.

2

Ogrody Lowfield Hall są teraz zapuszczone, a na żwirowanym podejździe wyrastają chwasty. Jedno z okien salonu, stłuczone przez jakiegoś miejscowego wyrostka, zabito deskami, a uśmiercona letnią spiekotą wistaria zwiesza się nad frontowymi drzwiami niby stara, wyschnięta sieć. Na tym opustoszałym i zrujnowanym miejscu jeszcze niedawno śpiewało ptactwo."

Teraz posiadłość zmieniła się w samotnię, doskonałe miejsce na gniazda dla ptaków Dickensa: Obiecusia, Wesołka, Młodzika, Cichosza, Cichusia, Żwawego, Szaraczka, Popielaka, Marnotrawca, Żebra-ka, Nieboraka, Smutnego, Bzika, Zdechłaka, Spry-ciugi, Grymaśnika, Gaduły, Krzykacza, Kosmatka, Złodziejaszka, Ważniaka, Szczebiotka, Kanciarza, Pleciugi i Kręciołka.

Zanim przybyła tam Eunice, pozostawiając po sobie spustoszenie, Lowfield Hall wyglądał zupełnie inaczej. Doskonale utrzymany, jak i inne, położone w pewnym oddaleniu, sąsiednie domy, był równie wygodny, gościnny i wytworny. Jak się zdawało, zapewniał równie dobre schronienie przed światem. Jego mieszkańcy czuli się bezpieczni i szczęśliwi, czekało ich długie, spokojne życie.

Pewnego jednak kwietniowego dnia wzięli do siebie Eunice.

Gwałtowny chwilami wiatr pochylał żonkile w sadzie — fale na złocistym morzu. Chmury rozdzielały się i znów łączyły, toteż w

ogrodzie przez moment panowała zima, aby natychmiast przemienić się w ulotne lato. A wtedy, gdy nagle robiło się ponuro, nie kwiat tar-niny, ale raczej śnieg pobielić mógł żywopłot.

Zima zatrzymała się przed oknami. Słońce wpuszczało do środka przebłyski lata, wtórując panującemu już przyjaznemu ciepłu, które sprawiło, że Jacqueline Coverdale usiadła do śniadania w sukni z krótkimi rękawami.

W lewej ręce, na której nosiła platynową ślubną obrączkę i poda-rowany przez George'a zaręczynowy pierścionek z kilkoma brylanta-mi, trzymała list.

— Wcale mi się to nie uśmiecha — oznajmiła.

— Nalej mi jeszcze trochę kawy, kochanie — poprosił George. Lubił obserwować żonę, kiedy coś dla niego robiła, byleby się nie przemęczała. Lubił po prostu przyglądać się jej, tak uroczej, jego Ja-cqueline — jasnowłosej, szczupłej, dojrzałej Lizzie Siddal ^{*1}. Sześć lat po ślubie, a wciąż jeszcze nie mógł wyjść z podziwu, nie potrafił oswoić się z faktem, że ją w ogóle znalazł.

— Przepraszam — rzekł. — Nie uśmiecha ci się to? Ale żadnych innych ofert nie dostaliśmy. Nie można powiedzieć, żeby kobiety szczególnie zabiegały o pracę u nas.

Potrząsnęła głową — ładnym, szybkim ruchem. Włosy miała bar-dzo jasne, krótkie i gładko przyczesane.

— Moglibyśmy spróbować jeszcze raz. Powiesz z pewnością, że jestem niemądra, George, ale wciąż mam cień nadziei, że znajdzie-my... no, kogoś podobnego do nas samych. W każdym razie osobę ja-

¹*Elisabeth Siddal — modelka malarzy prerafaelickich, a jednocześnie żona Dantego Gabriela Rosset-tiego (przyp. tłum.).

ko tako inteligentną, która chciałaby pracować jako służąca w przyzwoitym domu.

— „Z dobrej rodziny”, jak się to mówiło.

Jacqueline uśmiechnęła się nieco zażenowana.

— Nawet Ewa Baalham zdobyłaby się na lepszy list. E. Parchman! Żeby się w ten sposób podpisywać!

— Za Wiktorii było to jak najbardziej poprawne.

— Możliwe, ale my nie żyjemy w epoce wiktoriańskiej. Wiesz, kochanie, wolałabym żyć w tamtych czasach. Wyobraź sobie, że w tej chwili podaje nam do stołu elegancka pokojówka, a w kuchni krząta się kucharka. — A Giles — pomyślała, choć nie powiedziała tego na głos — musiałby pamiętać o dobrych manierach i skończyć z czytaniem przy stole. Czy do niego dotarło cokolwiek z tego, o czym mówiliśmy? Czy go to chociaż odrobinę obeszło?

— Nie byłoby podatku dochodowego — dodała na głos — i tych okropnych nowych domów wszędzie naokoło

— Ani elektryczności — powiedział George, dotykając stojącego za nim grzejnika — ani gorącej wody, a Paula prawdopodobnie umarłaby przy porodzie.

— Wiem.

Jacqueline wróciła do poprzedniego tematu:

— Ale ten list, kochanie, i ten jej ponury głos, kiedy telefonowała. Po prostu wiem, że zgłosi się wulgarnie, niezdarne stworzenie, które wytłucze porcelanę, a kurz będzie zmiatać pod wycieraczki.

— Trudno to przewidzieć i nie powinnaś wyrabiać sobie o niej zdania na podstawie jednego listu. Potrzeba ci gospodyni, nie sekretarki. Wybierz się i zobacz ją. Umówiłaś się już na rozmowę, Paula

czeka na ciebie, a ty sama będziesz tylko żałować, że przepuściłaś okazję. Jeżeli nie zrobi na tobie dobrego wrażenia, po prostu powiedz nie, a potem się zastanowimy, czy próbować dalej.

Stojący w hallu zegar wybił kwadrans po ósmej. George wstał.

— Chodź, Giles. Założę się, że ten zegar spóźnia się o pięć minut.

Ucałował żonę. Giles bardzo powoli zamknął egzemplarz „Bhagavad Gita”, oparty przed chwilą o słoik z dżemem, i w skupieniu, ospale wyprostował swoją wątłą, kościstą sylwetkę. Mruczając pod nosem coś, co mogło być greką albo, o ile Jacqueline się orientowała, sanskrytem, dał matce do ucałowania swój krostowaty policzek.

— Uściskaj Paulę — powiedział George, po czym obaj odjechali białym Mercedesem: George do fabryki puszek, a Giles do Szkoły Fundacji Magnusa Wythena. W samochodzie pogrążyli się w milczeniu, chociaż George, który wciąż i mimo wszystko usiłował nawiązać rozmowę, stwierdził, że dzień jest wyjątkowo wietrzny. Odpowiedź Gilesa brzmiała: „Mmm”. Jak zwykle zabrał się znów do czytania. George pomyślał: Oby tylko ta kobieta się nadała, bo przecież nie mogę pozwolić, żeby Jackie nadal zmagala się z tym ogromnym gospodarstwem, to wprost niemożliwe. Musielibyśmy, nie daj Boże, przeprowadzić się do jakiegoś małego domku, niech więc tylko ta E. Parchman okaże się przydatna.

W Lowfield Hall jest sześć sypialni, salon, jadalnia, mały salonik, trzy łazienki, kuchnia, pomieszczenia nie zamieszkane, czyli w tym wypadku druga kuchnia i pokój myśliwski. Nie można powiedzieć, żeby owego kwietniowego dnia dom był zdecydowanie brudny, ale czysty też nie był. Wszystkie trzydzieści trzy okna zasnuwała błękitna mgiełka, na której wyraźnie widać było liczne maźnięcia i odciski palców należące do Ewy Baalham i mimo że minęły już dwa miesiące, do ostatniej i prawdopodobnie najokropniejszej ze wszystkich po-

mocy domowych. Kiedyś Jacqueline obliczyła, że podłogi pokrywa blisko pięćset pięćdziesiąt osiem metrów kwadratowych dywanu. Ten był jednak względnie czysty. Kochana Ewa uwielbiała bawić się odkurzaczem, gawędząc jednocześnie o swoich krewnych i powinowatych. Używała też ścierki do kurzu — do wysokości wzroku. Pech chciał, że linia ta przebiegała gdzieś około metra trzydzieści nad ziemią.

Po śniadaniu Jacqueline ułożyła naczynia w maszynie do zmywania, a mleko i masło schowała do lodówki. Nie rozmrażano jej od sześciu tygodni. A czy piekarnik był w ogóle kiedykolwiek myty? Poszła na górę. Naprawdę okropne, powinna się wstydzić, wiedziała o tym doskonale, ale nie zmieniało to faktu, że jej ręka po dotknięciu poręczy była szara od kurzu. W małej łazience, tej, którą nazywali dzieciną, panował nieopisany bałagan; umywalkę oblepiała jakaś zielona pasta — najnowszy medykament Gilesa przeciw trądzikowi. Do tej pory nie posłała łóżek. Na tapczan dwumetrowej niemal szerokości, który dzieliła z Georgem, naciągnęła pośpiesznie różowe prześciera-dło, koce i jedwabną narzutę. Łóżko Gilesa mogło zostać nie zasłane. Przypuszczała, że on tego w ogóle nie zauważy — nie zauważyłby nawet, gdyby prześciera-dła stały się fioletowe, a grzałka zastąpiła koc elektryczny.

O swój wygląd zawsze jednak dbała. Często myślała, jaka to szkoda, że nie może być równie dumna z domu, jak jest dumna z siebie, ale tak się właśnie rzeczy miały, taka już właśnie była. Kąpiel, fryzura, ręce, paznokcie, cieplejsza suknia, cieniutkie rajstopy, nowe, ciemnozielone pantofle, makijaż *au naturel*. Włożyła norki, które dostała od George'a na Gwiazdkę. Zeszła na dół, do sadu, zerwać naręcze żonkili dla Pauli. W każdym razie ogród utrzymywała starannie, nigdzie żadnego chwastu, i to nigdy, nawet w pełni lata.

Fale na złocistym morzu. Przebiśniegi gnieźdzą się pod jeszcze bielszym od nich żywopłotem. Już dwa razy podczas tej suchej wio-

sny strzygła trawniki, były więc puszyste i zielone. Jestem stworzona do przebywania na świeżym powietrzu — pomyślała Jacqueline, czując powiew wiatru na twarzy i rozkoszując się delikatnym zapachem wiosennych kwiatów. — Mogłabym tu stać godzinami i patrzeć na rzekę, na topole wokół podmokłych łąk, na wzgórze Greeving z cieniami obłoków, które pędzą i pędzą... Ale muszę zobaczyć się z tą kobietą, z tą E. Parchman. Czas ruszać. Gdybyż tylko okazało się, że lubi prace domowe tak, jak ja lubię ogrodnictwo.

Weszła z powrotem do domu. Może jej się zdawało, ale z kuchni rzeczywiście zalatywały niezbyt miłe zapachy. Przez pokój myśliwski, w którym panował zwykły bałagan — na dwór; jeszcze zamknąć drzwi na klucz i opuścić Lowfield Hall, pogrążające się w coraz, to bardziej zatęchłej atmosferze, pod coraz grubszą warstwą kurzu.

Jacqueline położyła żonkile na tylnym siedzeniu Forda i ruszyła. Do Londynu było ponad sto kilometrów..

George Coverdale był mężczyzną wybitnie przystojnym, o klasycznych rysach i sylwetce równie szczupłej jak wtedy, gdy w 1939 roku wiosłował w barwach swego uniwersytetu. Z trójki dzieci tylko jedno odziedziczyło jego urodę, ale nie była to Paula Caswall. Miły wyraz twarzy i łagodne oczy chroniły ją od przeciętności; poważny stan nie dodawał jednak wdzięku, a Paula była właśnie w ósmym miesiącu drugiej już ciąży. Pod opieką miała pełnego wigoru, psotnego chłopczyka, a do prowadzenia — całkiem spory dom w dzielnicy Kensington; była gruba, zmęczona i miała spuchnięte nogi. Poza tym bała się. Narodziny Patryka stanowiły przepelniony bólem koszmar, toteż nadchodzącego rozwiązania oczekiwała z przerażeniem. Wolałaby nikogo nie oglądać i nie być przez nikogo widziana. Ale zdawała sobie sprawę, że jej dom jest najodpowiedniejszym miejscem do przeprowadzenia wywiadu z tą mieszkającą w Londynie kandydatką na gospodynię, a mając we krwi dobre maniery Coverdale'ów, powitała macochę czule, zachwyciła się żonkilami i pochwaliła suknię. Zjadły

lunch, a potem Paula przysłuchiwała się zyczliwie wątpliwościom i przeczuciom Jacqueline, niecierpliwie oczekującej godziny drugiej.

Jednakże była zdecydowana nie brać udziału w planowanej rozmowie. Patryk udał się na popołudniowe leżakowanie i kiedy za dwie drugie odezwał się dzwonek u drzwi, Paula poprzestała na wprowadzeniu do pokoju kobiety w granatowym płaszczu nieprzemakalnym. Zostawiła ją z Jacqueline i poszła na górę się położyć. Ale w ciągu tych kilku chwil spędzonych z Eunice Parchman zdążyła zapalać do niej gwałtowną niechęcią. W owym momencie Eunice podziała na Paulę tak, jak niejednokrotnie oddziaływała na innych ludzi. Zupełnie jakby emanował z niej jakiś zimny, lodowaty niemal powiew. Gdziekolwiek się znalazła, wносиła w otoczenie chłód. Później Paula wspominała to pierwsze wrażenie i mając świadomość winy wyrzucała sobie, że nie ostrzegła ojca, nie powiedziała mu o dziwnym przeczuciu, które okazało, się słuszne. Nie zrobiła nic. Poszła do sypialni i zapadła w ciężki, niespokojny sen.

Reakcja Jacqueline była całkiem inna. Gdy przedtem zdecydowanie sprzeciwiała się zaangażowaniu tej kobiety, do owej chwili nawet nie widzianej, w ciągu dwóch minut radykalnie zmieniła zdanie. Skłoniły ją do tego dwa powody, a mówiąc ściślej, po prostu zdecydowały za nią jej największe wady. Były nimi próżność i snobizm.

Kiedy kobieta weszła do pokoju, Jacqueline wstała i wyciągnęła rękę.

— Dzień dobry. Jest pani bardzo punktualna.

— Dzień dobry, proszę pani.

Wyjawszy sprzedawców w nielicznych już w Stantwich sklepach, które prowadzono na dawną modłę, od wielu już lat nie zwracano się

do Jacqueline używając formy „proszę pani”. Poczwała zadowolenie. Uśmiechnęła się.

— Panna czy pani Parchman?

— Panna. Eunice Parchman.

— Może pani usiądzie?

Żaden odpychający chłód, czy też, jak by to określiła Melinda, „antyprądy”, nie oddziaływały na Jacqueline. Z całej rodziny była na nie najmniej wrażliwa, może dlatego, że po prostu nie chciała ich wyczuć, gdyż niemal od pierwszej chwili była zdecydowana zatrudnić Eunice Parchman, a potem, przez następne miesiące, mieć ją u siebie. Ujrzała łagodnie wyglądającą istotę z może nieco za małą głową, z bladą cerą, ostrymi rysami, brązowymi włosami, przetkanymi siwizną; kobieta miała małe, spokojne, niebieskie oczy, masywne ciało, duże, kształtne ręce, bardzo czyste, z krótko obcięzonymi paznokciami, zgrabne nogi w grubych, nylonowych pończochach, duże stopy w nieco wykrzywionych, czarnych bucikach. Gdy tylko Eunice Parchman usiadła, odpięła górny guzik nieprzemakalnego granatowego płaszcza, ukazując golf nieco jaśniejszego swetra z niebieską obwódką. Siedziała spokojnie, wpatrzona w ręce złożone na podolku.

Jacqueline, nie przyznając się do tego nawet sama przed sobą, lubiła przystojnych mężczyzn i nieładne kobiety. Z Melindą żyła dobrze, ale nie tak dobrze, jak z mniej atrakcyjną Paulą czy z żoną Piotra, Audrey, *jolie laide*. Cierpiała na coś, co można by nazwać kompleksem Gwendoliny, bo tak jak panna Fairfax Wilde'a wołała, żeby kobieta była „dobrze po czterdziestce, a przy tym, jak na swój wiek, wyglądała staro i brzydko”. Eunice Parchman miała przynajmniej tyle lat, co Jacqueline, jeżeli nie więcej, chociaż trudno by to określić dokładnie, brzydka zaś była bez wątpienia. Gdyby należała do tej samej warstwy społecznej, Jacqueline mogłaby się dziwić, dlaczego Eunice

nie używa szminek, nie stosuje diety i nie ufarbuje jakoś tych szarobu-
rych włosów. Ale że chodziło o służącą, wszystko było jak należy.

Wobec tego pełnego szacunku milczenia i jak najbardziej stosow-
nej powierzchowności Jacqueline zapomniała o przygotowanych py-
taniach. Zamiast więc wybadać kandydatkę, zamiast dowiedzieć, się,
czy kobieta nadaje się do pracy w jej domu, czy będzie odpowiadała
Coverdale'om, zaczęła przekonywać Eunice Parchman, że z pewno-
ścią będzie jej u nich dobrze.

— To duży dom, ale jest nas tylko troje, chyba że moja pasierbica
przyjedzie na weekend. Sprzątaczką przychodzi trzy razy w tygodniu,
no a gotować będę oczywiście sama.

— Umiem gotować, proszę pani — odparła Eunice.

— To nie będzie konieczne, naprawdę. Jest maszyna do zmywa-
nia i zamrażarka. Mój mąż i ja robimy wszystkie zakupy. — Jacqueli-
ne była pod wrażeniem bezbarwnego głosu tej kobiety; w jej sposobie
mówienia, chociaż niewyszukanym, nie było nic z cock- neya. —
Miewamy często gości — powiedziała niemal z obawą.

Eunice poruszyła stopami i złączyła je razem. Wolno pokiwała
głową.

— Dla mnie to nic. Jestem pracowita, proszę pani.

W tym momencie Jacqueline powinna była spytać, dlaczego Eu-
nice porzuca dotychczasową posadę, a przynajmniej zasięgnąć o tej
posadzie informacji. Mogła przecież nigdzie dotychczas nie pracować.
Jacqueline nie zapytała. Odurzona była powtarzanym ciągle „proszę
pani”, podekscytowana kontrastem między tą kobietą a Ewą Baalham,
między tą kobietą a ostatnią *au pair*, impertynencką i ładniutką.
Wszystko wypadło zupełnie inaczej, niż się spodziewała.

Z zapalem spytała:

— Kiedy mogłaby pani zacząć?

Na pozbawionej wyrazu twarzy Eunice ukazało się lekkie zdziwienie, całkiem zresztą zrozumiałe.

— Będzie pani chciała jakieś referencje?

— O, tak — odrzekła Jacqueline, oprzytomniawszy. — Naturalnie.

Z pojemnej, czarnej torebki Eunice wydobyty został biały kartonik. Tym samym piśmem, co i list, który przedtem tak przeraził Jacqueline, napisane było: „Pani Chichester, 24 Willow Vale, London, S.W.18”, a ponadto numer telefonu. Ten sam adres figurował w nagłówku listu od Eunice.

— Wimbledon, tak?

Eunice skinęła głową. Bez wątpienia uradowało ją to mylne przypuszczenie. Rozmawiały o wynagrodzeniu, o tym, kiedy ma zacząć i jak będzie jeździć do Stantwich. Oczywiście pod warunkiem — co Jacqueline pośpiesznie zaznaczyła — że referencje będą zadowalające.

— Jestem pewna, że wszystko ułoży się nam doskonale.

Eunice uśmiechnęła się wreszcie. Oczy jej pozostały zimne i nieruchome, ale usta drgnęły. Z pewnością był to uśmiech.

— Pani Chichester pytała, czy nie zechciałaby pani zadzwonić do niej dziś wieczorem jeszcze przed dziewiątą. To starsza osoba i wcześniej kładzie się spać.

Ten dowód troski o życzenia i słabostki pracodawczyni mógł wzbudzić tylko uznanie.

— Z pewnością zadzwonię — przyrzekła Jacqueline.

Było zaledwie dwadzieścia po drugiej, a rozmowa już dobiegła końca.

— Dziękuję, proszę pani. Trafie sama do wyjścia — powiedziała Eunice, dając w ten sposób do zrozumienia, a może tak się tylko Jacqueline zdawało, że zna swoje miejsce. Wyszła spokojnie, nie oglądając się za siebie.

Gdyby Jacqueline trochę lepiej знаła Wielki Londyn, zorientowałaby się, że Eunice Parchman zdążyła już jej skłamać, a w każdym razie nie wyprowadziła jej z błędu. Wimbledon bowiem ma kod pocztowy S.W.19, a nie S.W.18, który oznacza daleko mniej zamożny rejon w dzielnicy Wandsworth. Ale nie zorientowała się i nic nie sprawdzała, a kiedy o szóstej, pięć minut po powrocie George'a, weszła do Lowfield Hall, nawet nie pokazała mężowi białego kartonika.

— Jestem pewna, że będzie idealna, kochanie — zachwycała się — typ służącej w dawnym stylu, który według nas był już na wymarciu. Wprost nie jestem w stanie ci powiedzieć, jak była spokojna i uprzejma, ani cienia natręctwa. Jedyne, czego się obawiam, to że jest osobą zbyt potulną. Ale wiem na pewno, że pracować będzie jak trzeba.

George otoczył żonę ramieniem i ucałował. Nie wspomniał słówkiem o *volte face* Jacqueline, powstrzymał się od „A nie mówiłem?” Przywykł już do jej uprzedzeń, po których zwykle następował szalony entuzjazm, który w jego oczach czynił Jacqueline młodą, uroczą i kobiecą. Powiedział tylko:

— Nie obchodzi mnie czy jest potulna, czy natrętna, byle tylko ulżyła ci choć trochę w pracy.

Jacqueline miała bujną wyobraźnię, toteż zanim zadzwoniła, stworzyła sobie w myśli obraz zarówno domu, w którym przypuszczalnie pracuje Eunice Parchman, jak i jej pracodawczyni. Willow Vale, myślała, to pewnie zaciszna, trzypasmowa ulica w pobliżu stacji Wimbledon Common, a numer dwudziesty czwarty — to obszerna rezydencja w stylu wiktoriańskim; pani Chichester natomiast to starsza

dama surowych zasad, wymagająca, sprawiedliwa, ale władcza, która albo nie chce, albo nie może sobie pozwolić na płacenie odpowiedniej pensji w tych dokuczliwych czasach inflacji.

O ósmej Jacqueline wykręciła numer. Eunice Parchman sama podniosła słuchawkę i bezbłędnie podała kod literowy, po którym następowały cztery cyfry, wymówione wolno i wyraźnie. Ponownie używając zwrotu „proszę pani”, poprosiła, żeby zaczekać, aż przywoła panią Chichester. I Jacqueline wyobraziła sobie, jak Eunice przechodzi przez mroczny, przeładowany meblami hall i wchodzi do ogromnego, nie- przytulnego salonu, w którym starsza dama siedzi słuchając muzyki poważnej albo czytając nekrologi w którymś z renomowanych dzienników. Tam, na progu, Eunice zatrzymuje się i mówi charakterystycznym, pełnym szacunku tonem:

— Dzwoni pani Coverdale, proszę pani.

Fakty wyglądały inaczej.

Telefon, o którym była mowa, znajdował się na klatce schodowej, na półpiętrze domu z pokojami umeblowanymi w Earlsfield. Eunice Parchman czekała tu cierpliwie od piątej, żeby w razie dzwonka jakiś inny lokator nie podszedł pierwszy. Pani Chichester była operatorem dźwigu, kobietą po czterdziestce, nazywała się Annie Cole i czasami świadczyła Eunice drobne usługi w zamian za dochowanie tajemnicy, że Annie nadal pobiera rentą nie żyjącej już od roku matki. To ona napisała list i tekst na kartoniku, i to z jej pokoju numer sześć, na Willow Vale 24, S.W.18, przywołała ją teraz Eunice do telefonu. Annie Cole mówiła:

— Naprawdę z wielkim żalem rozstaję się z panną Parchman, pani Coverdale. Przez te siedem lat u mnie świetnie sobie ze wszystkim radziła. Wspaniała pracownica i znakomita kucharka, a jaka czysta! Doprawdy, jeżeli można jej coś zarzucić, to nadmiar pracowitości.

Nawet Jacqueline wyczuła, że chyba jednak coś to wszystko za piękne. W dodatku głos był osobliwie radosny: Annie Cole pilno było jak najrychlej pozbyć się Eunice. Poza tym pobrzmiwał w nim akcent daleki od wykwintności. Jacqueline miała dość rozsądku, żeby zapytać, dlaczego ten wzór doskonałości odchodzi.

— Bo ja wyjeżdżam — padła odpowiedź rzucona bez wahania. — Zamieszkać u syna w Nowej Zelandii. Życie robi się tu niemożliwie drogie. Panna Parchman mogłaby jechać ze mną, bardzo bym była zadowolona. Ale to taka konserwatystka, że woli zostać. Bardzo bym chciała, żeby dostała miejsce w jakiejś miłej rodzinie, właśnie jak u pani.

Jacqueline uspokoiła się.

— Umówiłaś się ostatecznie z panną Parchman? — spytał George.

— Och, kochanie, zapomniałam. Będę musiała do niej napisać.

— Albo zadzwonić jeszcze raz.

Dlaczego nie zadzwonisz, Jacqueline? Nakręć jeszcze raz numer. Młody człowiek, który wraca do swojego pokoju, sąsiadującego z pokojem Annie Cole, i właśnie stawia nogę na najwyższym stopniu, podniesie słuchawkę. A kiedy poprosisz pannę Parchman, odpowie, że nigdy o takiej nie słyszał. No to panią Chichester? Nie ma takiej, jest tylko pan Chichester, właściciel, na którego nazwisko jest telefon, ale który sam mieszka w Croydon. Podnieś słuchawkę, Jacqueline...

— Myślę, że lepiej potwierdzić to listownie.

— Jak chcesz, kochanie.

Właściwa chwila minęła, szansa przepadła. George podniósł słuchawkę, ale po to, żeby zadzwonić do Pauli, bo stan jej zdrowia, o

czym opowiedziała mu żona, zaniepokoił go. Przez ten czas, kiedy rozmawiał, Jacqueline napisała list.

A co z innymi, których przypadek i przeznaczenie oraz ich własne działania miały czternastego lutego przywieść do zguby? Joan Smith głosiła słowo Boże na progu jakiegoś domku, Melinda Coverdale w swoim pokoju w Norwich usiłowała pojąć sens poematu „Sir Gawain and the Green Knight”, Giles Mont recytował „mantry” jako wstęp do medytacji.

Ale wszyscy oni byli już ze sobą związani. W chwili, gdy Jacqueline zrezygnowała z telefonu, niewidzialna nić oplątała każde z nich, zbliżyła do siebie bardziej niż jakiegokolwiek węzły krwi.

3

George i Jacqueline należeli do ludzi dyskretnych i nie rozpowiadali znajomym o szczęściu, jakie miało ich spotkać. Ale Jacqueline wspomniała o tym przyjaciółce, lady Royston, która szepnęła słówko pani Cairne, kiedy rozmowa zeszła na odwieczny problem zdobycia kogoś, kto by utrzymywał dom w jakim takim porządku. Nowina przeniknęła w szeregi Higgsów, Meadowsów, Baalhamów i Newsteadów i jako główny temat konwersacji w „Błękitnym Dziku” zdystansowała ostatnie wyczyny Joan Smith.

Charakterystyczną dla siebie, okreśną drogą Ewa Baalham skwapliwie powiadomiła Jacqueline, że wie o wszystkim.

— Myśli pani dać jej tele?

— Telewizor?... To znaczy komu dać? — zapytała Jacqueline, rumieniąc się nagle.

— Tej, co przyjeżdża z Londynu. Bo jeżeli tak, to mogę za tanie pieniądze dostać dla pani odbiornik od mojego kuzyna Meadowsa, bo on ma sklep elektryczny w Gosbury. To tele bodajże zleciało im z ciężarówki, ale kto nie pyta, ten kłamstw nie usłyszy.

— Uprzejmie dziękuję — odparła Jacqueline mocno poirytowana — ale kupujemy dla siebie kolorowy telewizor, a panna Parchman będzie miała nasz stary.

— Parchman — powtórzyła Ewa i popluła na szybę, przecierając ją własnym fartuchem. — Ciekawam, czy to londyńskie nazwisko.

— Naprawdę nie wiem, pani Baalham. Może po skończeniu z tym oknem, cokolwiek pani z nim robi, byłaby pani tak dobra i poszła ze mną na górę, żeby przygotować jej pokój.

— Czemu nie — odrzekła Ewa. Nigdy nie mówiła do Jacqueline „proszę pani”; przez myśl by jej to nie przeszło. Zdaniem Ewy, różniła ją od Coverdale'ów jedynie sytuacja finansowa. Gdy chodzi o inne sprawy, nawet nad nimi górowała: oni byli przyjezdni, i to nawet nie szlachta, a tylko przemysłowcy, podczas gdy jej przodkowie, rolnicy, mieszkali w Greeving od pięciu wieków. Wcale nią zazdrościła Coverdale'om pieniędzy. Miała pod dostatkiem własnych i wolała swój skromny domek niż Lowfield Hall, tę ogromniastą stodołę, gdzie samo ogrzewanie musiało kosztować majątek. Nie przepadała za Jacqueline, która ubierała się jak podlotek i udawała wielką panią, chociaż jej mąż był tylko właścicielem fabryki konserw; i do tego to bzdurne gadanie: „może byłaby pani taka dobra” i „uprzejmie pani dziękuję”. Ciekawe, jak jej się ułoży z tą Parchman. A mnie? W końcu zawsze będę mogła odejść. Jest przecież pani Jameson-Kerr, która na klęczkach błaga, żebym przyszła, a za godzinę zapłaci i sześćdziesiąt pensów.

— Boże, zlituj się nad jej nogami — westchnęła Ewa idąc po schodach.

Na samej górze pomieszczenia na poddaszu dawno już przebudowano na dwie duże sypialnie i łazienkę. Z okien można było oglądać jeden z najwspanialszych sielskich widoków Wschodniej Anglii. Constable uwiecznił go oczywiście, siedząc na brzegu rzeki Beal, i jak to czasem miał we zwyczaju, przemieścił kilka wież kościelnych, żeby lepiej wpisały mu się w kompozycję. Jednakże nawet z wieżami na ich właściwych miejscach było tu przepięknie: rozległy, kojący widok łąk i zagajników we wszelkich, zachwycających i jakże różnych odcieniach majowej zieleni.

— Tu będzie miała łóżko, tak? — spytała Ewa, niespiesznie wchodząc do większego i bardziej słonecznego pokoju.

— Nie, nie tu. — Jacqueline czuła, że Ewa zamierza występować jako sekretarz związku zawodowego uciskanej służby domowej. — Potrzebny mi ten pokój w razie przyjazdu wnuków mojego męża.

— Musi jej tu być wygodnie, jeżeli chce pani, żeby została. — Ewa otworzyła okno. — Piękny dzień. Gorące lato się zapowiada. Pan Bóg trzyma naszą stronę, jak mówi mój kuzyn, co pia farmę. A otóż i młody Giles wyjeżdża pani samochodem. Ani chybi nie pytał pani o pozwolenie.

Jacqueline była wściekła. Jej zdaniem Ewa powinna była mówić o Gilesie „pan Mont” albo przynajmniej „pani syn”. Ale ucieszyła się, że Giles, który miał właśnie przerwę semestralną, rezygnuje nareszcie z dobrowolnego aresztu domowego, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Gdyby była pani tak uprzejma, pani Baalham, mogłybyśmy zacząć przenosić meble.

Giles przejechał aleję wysadzaną kasztanami, po czym skręcił na drogę do Greeving. To droga lokalna, takiej szerokości, że mogą się

na niej wyminąć raptem dwa samochody, w dodatku jadące bardzo wolno. Zamiast tarniny rósł tu głóg, a żywopłoty w słodkawo pachnącym kwieciu były jak przybrane bitą śmietaną. Przejrzyste, błękitne niebo, bladozielone pszeniczne łany, kukulka, co w maju kuka przez cały dzień, radosne uniesienie ptaków, które z każdego drzewa zgłaszają śpiewem swoje roszczenia terytorialne.

Giles udawał, że tego wszystkiego nie dostrzega, i przejechał most nad rzeką z postanowieniem, że wbrew swemu życiowemu credo nie zespoli się z otaczającą go naturą. Zamierzał wciągnąć w płuca tylko tyle świeżego powietrza, ile musi człowiek znajdujący się poza domem. Nie cierpiał wsi. Wieś go nudziła. Nie było tu co robić. Kiedy o tym mówił, ludzie gorszyli się — zapewne nie zdawali sobie sprawy, że osoba przy zdrowych zmysłach może nie być w stanie wpatrywać się w gwiazdy, chodzić po polach albo siedzieć nad rzeką dłużej niż godzinę dziennie. Poza tym prawie zawsze był ziab albo błoto. Nie lubił do niczego strzelać ani nic wylawiać ze strumieni, ani jeździć konno, ani brać udziału w polowaniu na lisy. George, który próbował zachęcić go do tych rozrywek, zrozumiał chyba w końcu, że próżny jego trud. Giles nigdy, ale to nigdy, nie chodził na spacer po okolicy. Kiedy z miejsca, gdzie zatrzymywał się szkolny autobus, musiał przejść piechotą niecały kilometr do Lowfield Hall, nie odrywał spojrzenia od ziemi. Próbował nawet chodzić z zamkniętymi oczami, ale w rezultacie wpadł na drzewo.

Kochał Londyn. Kiedy wspominał minione lata, wydawało mu się, że w Londynie był szczęśliwy. Pragnął być w internacie w dużym mieście, ale matka się na to nie zgadzała, bo jakiś psycholog powiedział, że chłopiec ma zaburzenia i potrzebuje oparcia w życiu rodzinnym. Nie przejmował się tym, że ma zaburzenia. Starał się nawet sprawiać wrażenie roztargnionego i nieobliczalnego młodego intelektualisty, który wiecznie jest czymś pochłonięty. Intelektualistą był zresztą ponad wszelką wątpliwość. W minionym roku zaliczył egzaminy z tylu przedmiotów, że nawet zamieszczono o nim artykuł w

jednym z centralnych dzienników. Pewien był, że dostanie się do Oxfordu; łacinę znał równie dobrze — a grekę może i lepiej — jak nauczyciel, który niby to uczył go tych przedmiotów u Magnusa Wythena.

W szkole nie miał przyjaciół i gardził chłopcami z miasteczka, których interesowały tylko motocykle, pornografia i „Błękitny Dzik”, Ian i Krzysztof Cairne'owie oraz inni im podobni rodzicielską decyzją mianowani zostali jego przyjaciółmi, ale gdy rozjechali się do swoich szkół prywatnych, prawie wcale ich nie widywał. Ani chłopcy z miasteczka, ani ci ze szkoły nigdy nie próbowali dobrać mu się do skóry. Miał ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i wciąż jeszcze rósł. Twarz pokryta trądzikiem wyglądała okropnie, a już nazajutrz po umyciu głowy włosy znowu były tłuste.

Teraz jechał do Sudbury, żeby kupić paczkę pomarańczowej farby. Zamierzał ufarbować wszystkie swoje dżinsy i koszulki, zgodnie z nakazami wyznawanej religii, którą był — z grubsza biorąc — buddyzm. Skoro tylko uskłada dostateczną sumę pieniędzy, pojedzie autobusem do Indii i z wyjątkiem Melindy nigdy już nikogo z nich nie zobaczy. No, może matkę. Ale ani ojca, ani George'a, starego nudziarza, ani dwulicowego Piotra, ani całej tej bandy chłopców. To znaczy, jeżeli nie zostanie katolikiem. Przeczytał właśnie „Powrót do Bridehead” i zaczynał rozważać, czy przypadkiem nie lepiej być katolikiem w Oxfordzie i palić kadzidła na schodach aniżeli wybierać się do Indii. Ale dżinsy i koszulki na wszelki wypadek ufarbuje.

W Greeving zatrzymał się po benzynę przy stacji prowadzonej przez Meadowsów.

— No to kiedy przyjeżdża ta paniusia z Londynu? — spytał Jim Meadows.

— He? — mruknął Giles.

Jim chciał wiedzieć, żeby wieczorem oznajmić to w knajpie. Spróbował jeszcze raz. Giles zastanowił się niechętnie.

— Dzisiaj środa?

— Ano, tak jakby. — Jim miał się za dowcipnisa, więc dodał jeszcze: — Od samego rana.

— Mówili o sobocie — odpowiedział w końcu Giles. — Tak mi się zdaje.

Może tak, a może nie — pomyślał Jim. — Z nim nigdy nie wiadomo, przecież jest stuknięty. Dziwne, że matka pozwala mu jeździć samemu takim dobrym samochodem.

— Pewnie Melindą wpadnie do domu rzucić na nią okiem?

— Aha — odparł Giles. Odjechał, rezygnując z kuponów premiowych.

Melindą w domu. Nie wiedział, czy go to ucieszyło, czy zaniepokoiło. Ich kontakty były na pozór obojętne, a nawet sztywne, ale w sercu Gilesa, który nierzadko widział siebie jako Poego albo Byrona, pulsowała kazirodcza namiętność. Narodziła się, a raczej powołał ją do życia sam Giles, przed pół rokiem. Do tej chwili Melinda była po prostu jakby jego siostrą. Wiedział oczywiście, że ponieważ nie jest jego siostrą, nawet przyrodnią, nic nie stoi na przeszkodzie, aby zakochali się w sobie i z czasem pobrali. Pomijając dzielącą ich różnicę trzech lat, co zresztą później nie miałyby już znaczenia, z niczyjej strony nie mogło być żadnych zastrzeżeń. Matka byłaby nawet rada, a i poczciwy George zgodziłby się w końcu. Ale Giles nie tego pragnął i co innego widział oczami wyobraźni. W marzeniach on i Melinda byli Byronem i Augustą Leigh, którzy wyznawali sobie miłość, spacerując przy pogodzie jak z Wichrowych Wzgórz po okolicach Greeving, do czego na jawie żadna siła nie byłaby w stanie Gilesa zmusić. W ogóle fantazje te daleko odbiegały od rzeczywistości. Nawet Melinda wy-

glądała w nich. inaczej, była bledsza, szczuplejsza, jakby suchotnicza, całkiem z innego świata. Stojąc naprzeciw siebie, pozbawieni tchu w miotanych wichrem ciemnościach, mówili, jak to ich miłość, oczywiście nigdy nie spełniona, musi na zawsze pozostać tajemnicą. I chociaż węzłami małżeńskimi każde z nich połączyło się z kim innym, dawna namiętność przetrwała i szeptano o niej, jako o czymś głębokim i nie dającym się wyrazić słowami.

Kupił farbę: dwa opakowania „Płomienia nasturcji”. Nabył też plakat z prerafaelicką dziewczyną o zielonkawej twarzy i rudych włosach, wyglądającą z balkonu. Przypuszczalnie wychylała się, żeby spojrzeć w ślad za utraconym lub niewiernym kochankiem, chociaż jeśli wziąć pod uwagę jej pozę i chorobliwą bladość, sprawiała raczej wrażenie, jakby podczas pobytu w hotelu w jakimś włoskim kurorcie zjadła za dużo makaronu i dostała mdłości. Giles kupił ją, bo tak by wyglądała Melinda w końcowym stadium gruźlicy.

Wrócił do samochodu i na przedniej szybie zastał mandat za nieprzepisowe parkowanie. Nigdy nie korzystał z parkingów. Oznaczałoby to przejście dodatkowych stu metrów. Kiedy dotarł do domu, Ewy już nie było. Nie było też matki, która na stole kuchennym zostawiła dla niego kartkę. Zaczynała się od „Kochanie”, a kończyła na „Całuję, mama”, natomiast w środku pełno było zbędnych informacji o zimnym lunchu zostawionym w lodówce i o tym, że musiała wyjść na zebranie jakiegoś klubu kobiecego. Giles poczuł zdumienie. Wiedział doskonale, gdzie ma znaleźć swój lunch, a poza tym nigdy by mu nie przyszło do głowy zostawiać komukolwiek jakiejś wiadomości. Jak wszyscy autentyczni ekscentrycy uważał, że inni ludzie są jednak bardzo dziwni.

Po chwili zniósł wszystkie swoje ubrania na dół i razem z farbą zanurzył je w dwóch olbrzymich garnkach, których matka używała do robienia dżemów. Podczas gdy jego rzeczy się gotowały, on sam siedział przy kuchennym stole i zajadając sałatkę z drobiu wczytywał się

we wspomnienia mistyka, który przez trzydzieści lat mieszkał w aśramie Poona, nie odzywając się ani słowem.

W piątek po południu Melindą Coverdale przyjechała do domu. Pociąg przywiózł ją z Norwich do Stantwich, a autobus do miejsca zwanego Rozdrożem pod Szubienicą, trzy kilometry od Lowfield Hall. Tam wysiadła i czekała, aż trafi się ktoś, kto ją podwiezie. I tej porze ludzie zawsze przejeżdżali tędy wracając do Greeving, Melindą więc podciągnęła się na rękach usiadła w słońcu na ogrodowym murku pani Cotleigh.

Miała na sobie przydługie dżinsy podwinięte do kolan, rozczłapane czerwone kowbojskie buty, indyjską bawełnianą koszulę i żółty kapelusz automobilistki, rocznik 1920. Mimo to jednak na żadnym słonecznym murze ogrodowym od Stantwich po King's Lynn nie znalazłoby się miłszego oczom widoku. Melinda była tym dzieckiem, które odziedziczyło po George'u urodę. Miała jego prosty nos i wysokie czoło, jego wyraźnie zarysowane, wrażliwe usta i błękitne oczy, a po zmarłej matce grzywę złocistych włosów barwy laków z ogrodu pani Cotleigh.

Jej energia, która zdawała się nigdy nie słabnąć — chyba że chodziło o poezję średniowieczną — zmuszała ją nieustannie do działania. Wciągnęła na murek i położyła obok siebie torbę, podobną do worka na obrok dla konia, wyjęła z niego sznurek koralu, przymierzyła je, skrzywiła się na widok podręczników, do których wzięcia skłoniły ją raczej złośliwe zamiary niż chęci, potem cisnęła torbę na trawę i skoczyła w ślad za nią. Siedziała po turecku na skraju drogi, kiedy jakiś autobus przemknął akurat w przeciwnym kierunku, po czym zerwała się, żeby nazbierać maków: dziko rosnących czerwonych maków, chwastów hrabstwa Suffolk, które rozpleniły się w miejscu, gdzie ongiś stała szubienica.

Po pięciu minutach nadjechała ciężarówka fermy kurzej i Geoff Baalham, krewniak Ewy, zawołał:

— Cześć, Melinda! Może cię podrzucić?

Wskoczyła do środka wraz z kapeluszem, torbą i makami.

— Siedziałam chyba z pół godziny — oznajmiła, chociaż trwało to najwyżej dziesięć minut.

— Fajny masz kapelusz.

— Naprawdę, Geoff? Jesteś kochany. Kupiłam go w sklepie Oxfamu. — Melinda знаła wszystkich w miasteczku i do każdego, nie wyłączając sędziwych babuń i dziadków, zwracała się po imieniu. Jeździła na traktorach, pracowała przy zbiorze owoców i asystowała przy cieleniu się krów. W obecności ojca odzywała się mniej lub bardziej uprzejmie do Jameson- -Kerrów, Archerów, Cairne'ów i sir Roberta Roystona, ale miała ich za czarną reakcję i w związku z tym nie darzyła uznaniem. Pewnego razu, kiedy na Greeving Green wyznaczono start polowania na lisa, przybiegła tam powiewając transparentem, protestującym przeciw okrucieństwu wobec zwierząt. Jako młodziutka dziewczynka chodziła z miejscowymi chłopakami na ryby, z nimi też obserwowała o zmierzchu, Jak pokazują się zające. Bliżej dwudziestki zwykła bawić się w tym samym towarzystwie na potańcówkach w Cattingham i całować się z chłopcami gdzieś za budynkiem świetlicy. Była taką samą plotkarą jak ich matki i tak samo wszystkiego ciekawa.

— Co się działo w kochanym starym Greeving podczas mojej nieobecności? Opowiedz wszystko. — Nie była w domu przez trzy tygodnie. — Wiem, Archerowa dała nogę ze Smithem.

Geoff Baalham wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Biedny dureń. Dość przecie ma roboty ze swoją ślubną. Poczekaj, niech sobie przypomnę. Susan Meadows, dawniejsza Higgs, urodziła dziecko. Dziewczynkę, a nazwali ją Lalage.

— Żartujesz!

— Tak sobie myślałem, że się zadziwisz. Twoja mama zaczęła się udzielać w radzie parafialnej, ale pewno o tym wiesz, a poza tym — no, zgadnij — twój tata kupił kolorowy telewizor.

— Wczoraj wieczorem rozmawiałam z nim przez telefon. Nic o tym nie wspominał.

— Pewnie, bo dopiero dzisiaj go kupił. Godzinę temu mówiła mi ciocia Ewa. — Mieszkańcy Greeving nie dbają o poprawną nomenklaturę, gdy idzie o powiązania rodzinne. Macocha jest równie dobrze mamą czy mamusią, jak prawdziwa matka, a daleka krewniaczka, jeśli tylko ma wiek po temu stosowny, nie odmiennie zostaje ciocią. — Stary odbiornik oddają tej służącej, co przyjeżdża z Londynu.

— O Boże, co za ohyda! Papa to prawdziwy faszysta. Geoff, nie uważasz, że to gwałcenie elementarnych zasad demokracji?

— Taki już jest ten świat, kochana Melindo. Zawsze taki był i będzie. Nie powinnaś ojca przezywać. Na jego miejscu rozciągnąłbym cię na kolanie i zerznął skórę.

— Mój panie! Słyszac ciębie, nikt by nie uwierzył, że jesteś ode mnie tylko o rok starszy.

— Nie zapominaj, że jestem żonaty, więc rozumiem już, co to odpowiedzialność. No, jesteśmy na miejscu — Lowfield Hall, szanowna pani, więc pozwoli pani, że ją pożegnam. Aha, i możesz powiedzieć mamie, że w poniedziałek z samego rana przyślę te jajka przez ciocię Ewę.

— Powiem. Strasznie dziękuję za podwiezienie, Geoff. Jesteś kochany.

— Trzymaj się, Melindo!

Geoff odjechał na fermę kurzą i na spotkanie z poślubioną w styczniu Barbarą Carter, ale myślał ciągle o tym, jaka ta Melinda Coverdale jest miła i ładna — raję, co za kapelusz! — a także o tym, jak przed laty przechadzał się z nią nad brzegiem rzeki Beal, gdzie przy wtórze szemrzącej muzyki młyna wymieniali niewinne pocałunki.

Melinda pobiegła długim podjazdem wśród kasztanów z ich kremowo-brązowymi kandelabrami, okrążyła dom i przez drzwi myśliwskiego pokoju wpadła do środka. Giles siedział przy stole kuchennym i czytał ostatni rozdział księgi z Puny.

— Cześć, braciszku!

— Czolem — odpowiedział Giles. Nie mówił już „siostrzyczko” jak dawniej. Nie pasowało to do byronicznych rojeń Gilesa, które zresztą rozwiewały się zawsze, ilekroć Melinda objawiała się w swej cielesnej powłoce. A ciała jej nie brakowało i to nader zgrabnego; poza tym miała rumiane policzki i tryskała zdrowiem. Do tego pełna była animuszu. Giles westchnął, podrapał się po krostowatej twarzy i zatonął w rozmyślaniach o tym, jak wędrowałby po Indiach z miską zebraczą.

— Jak to się stało, że oblałeś sobie dzinsy czerwonym atramentem?

— Wcale nie oblałem. Farbowałem je, ale nie chwyciło.

— Wariat — zawyrokowała Melinda. Udała się na poszukiwanie ojca i macochy i znalazła ich na górnym piętrze, gdzie dokonywali końcowych przygotowań w pokoju panny Parchman. — Jak się macie, kochani! — Każde z nich, ale George'a najpierw, obdarowała po-

całunkiem. — Ale się opaliłeś, tatusiu. Gdybym wiedziała, że tak wczesnie będziesz wracał do domu, zadzwoniłabym ze stacji do biura. Geoff Baalham podrzucił mnie i powiedział, że jego ciocia Ewa przyniesie jajka w poniedziałek rano, a wy dajecie stary telewizor naszej nowej gosposi. Powiedziałam mu, że w życiu nie słyszałam o takim pogwałceniu demokracji. Pewno jeszcze oznajmicie, że ma jeść osobno w kuchni.

George i Jacqueline spojrzeli po sobie.

— No, oczywiście.

— Ohyda! Nic dziwnego, że lada chwila będzie rewolucja. *A bas les aristos*. Jak ci się podoba mój kapelusz, Jackie? Kupiłam go w Oxłamie. Pięćdziesiąt penów. Boże, skręca mnie z głodu. Chyba żadne potwory nie przychodzą dziś wieczorem, co? Jakież Cairny i Roystony?

— Melindo, dość już tego. — Słowa napominały, ale ton był łagodny. George nie potrafił naprawdę się gniewać na ukochane dziecko. — Jesteśmy tolerancyjni w stosunku do twoich przyjaciół, a ty musisz być tolerancyjna wobec naszych. W rzeczy samej, Roystonowie będą dziś u nas na obiedzie.

Melinda jęknęła. Błyskawicznie, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, rzuciła się ojcu na szyję.

— Pójdę zadzwonić do Stefana, Karola albo do ko-' go innego i nakłonię ich, żeby mnie gdzieś zaprosili. Ale wiesz, Jackie, wrócę dość wczesnie, żeby pomóc ci sprzątnąć i pozmywać. Pomyśl tylko, od jutra już nigdy nie będziesz musiała tego robić, skoro przyjeżdża ta Parchlady.

— Melindo... — zaczął George.

— Do miana damy trochę by jej jednak brakowało — skonstatowała Jacqueline, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

Melinda tedy wybrała się do kina w Nunchester ze Stefanem Cru-
tchleyem, synem doktora. Roystonowie przyszli na obiad do Lowfield
Hall, a Jacqueline powiedziała: — Jutro jest ten wielki dzień. Jessico,
nie zazdrościsz mi?

Ale jaka ona się okaże? I czy rzeczywiście spełni te wspaniałe
nadzieje? Te pytania zadawał sobie George. Boże, spraw, żeby była
takim skarbem, za jaki ma ją Jackie. Sir Robert i lady Royston spo-
dziewali się w duchu, pewnie z zawiści, że skarbem nie będzie, nato-
miast okaże się osobą tego samego pokroju, co ich Anneliese, ich Bir-
git i owo hiszpańskie małżeństwo, o którym najlepiej byłoby w ogóle
zapomnieć.

Czas pokaże. Zaczekajmy do jutra.

4

Coverdale'owie rozmyślali o Eunice Parchman, jej przyszłej pracy
i o tym, jak też nowa służąca będzie ich traktować: z szacunkiem, a
może inaczej? Przeznaczili dla niej osobną łazienkę i telewizor, kilka
wygodnych foteli i miękkie łóżko, trochę tak, jak rolnik troszczy się,
aby koń roboczy miał dobrą stajnię i żłób. Zależało im na tym, żeby
była zadowolona, bo jeśli będzie zadowolona, to nie odejdzie. Ani
przez chwilę jednak nie myśleli o niej jako o człowieku. Kiedy wsta-
wali rano owej soboty, 9 maja — dzień, zaiste, przełomowy — nie w
głowie im były pytania, jak wyglądało dotychczasowe życie Eunice,
czy boi się przenosin w nowe miejsce, czy nie nawiedzają jej przy-
padkiem te same, co ich, nadzieje i obawy? Na tym etapie Eunice była
dla nich niemal wyłącznie maszyną; żeby zaś ta maszyna pracowała

jak należy, musiała być odpowiednio naoliwiona i nie mogła protestować przeciwko uciążliwym bądź co bądź schodom.

Eunice wszakże była istotą ludzką, jak by to pewnie ujęła Melinda.

Była to osoba najdziwniejsza, jaką mogli w życiu spotkać. I gdyby tylko wiedzieli cokolwiek o jej przeszłości, uciekliby od tej kobiety albo zaryglowali przed nią drzwi jak przed zarazą — nie mówiąc już o przyszłości, nierozzerwalnie teraz związanej z ich własną.

Przeszłość zrosnięta była z domem, który Eunice zamierzała właśnie opuścić. Był to stary budynek, jeden ze stojących długim, zwartym szeregiem przy ulicy. Tęczowej w Tooting. Drzwi frontowe otwierały się prosto na chodnik. Eunice urodziła się w tym domu przed czterdziestu siedmiu laty jako jedyne dziecko strażnika z Kolei Południowej oraz jego żony.

Od samego początku egzystencja Eunice była nadzwyczaj monotonna. Należała ona do ludzi, którym sądzone jest spędzić całe życie w ciasnych granicach kilku ulic. Szkołę miała tuż obok domu, a rodzina, z którą utrzymywała kontakt, mieszkała dosłownie o kilka kroków dalej. Druga wojna światowa na jakiś czas pomieszała szyki przeznaczeniu. Zanim Eunice nauczyła się czytać, wysłano ją na wieś wraz z setkami tysięcy innych dzieci londyńskich w wieku szkolnym. Rodziców wszakże, chociaż byli to ludzie nierozgarnięci, prości i niezbyt przedsiębiorczy, zaniepokoiły wieści, że przybrana matka zaniedbuje Eunice, wobec czego zabrali dziewczynkę z powrotem do siebie — pod bomby do nękanego wojną miasta.

Potem Eunice chodziła już do szkoły tylko dorywczo. Uczęszczała do tej czy owej szkoły przez kilka tygodni, czasem miesięcy, ale w każdej nowej klasie okazywało się, że inne dzieci są bez porównania bardziej zaawansowane. Dystansowały ją, a żaden nauczyciel nie zadał sobie trudu, żeby zwrócić uwagę na podstawowe braki wiedzy u.

Eunice, a już z pewnością nie postarał się tego stanu rzeczy naprawić. Oszołomiona, znudzona, apatyczna, siedziała na ostatniej ławce i nic nie rozumiejąc wlepiała wzrok w kartkę książki czy tablicę. Czasem w ogóle zostawała w domu, na co matka zawsze patrzyła przez palce. Stąd też na miesiąc przed czternastymi urodzinami, kiedy wypadło opuścić szkołę, Eunice umiała się podpisać, przeczytać „Ala ma kota”, „Tata Janka ma traktor, a tata Olka samochód” i na dobrą sprawę to było wszystko. Szkoła nauczyła ją jednej tylko umiejętności: za pomocą przeróżnych wybiegów i wykrętów tać fakt, że nie umie czytać ani pisać.

Zacząła pracować w sklepie ze słodyczami, także mieszczącym się przy ulicy Tęczowej, gdzie po kolorze opakowań nauczyła się odróżniać batoniki „Mars” od „Crunchie”. Kiedy miała siedemnaście lat, matka stała się niedołączna na skutek rozwijającej się od lat choroby. Było to stwardnienie rozsiane, na którym lekarz poznał się dopiero po dłuższym czasie. W wieku lat pięćdziesięciu pani Parchman nie wstawała już z wózka, a Eunice zrezygnowała z pracy, żeby opiekować się matką i prowadzić dom. Pędziła teraz dni w ciasnym, mrocznym świecie, bo też analfabetyzm jest swego rodzaju ślepotą. Coverdale'owie, gdyby im o tym powiedzieć, nie uwierzyliby, że taki świat może w ogóle istnieć. Dlaczego sama się nie kształciła? — pytaliby. Dlaczego nie chodziła na kursy wieczorowe, nie postarała się o pracę, nie najęła kogoś do opieki nad matką, nie zapisała się do jakiegoś stowarzyszenia, nie szukała towarzystwa ludzi? Rzeczywiście, dlaczego? Coverdale'ów i Parchmanów dzieliła przepaść. George sam często to powtarzał, nie zdając sobie w pełni sprawy z istotnego znaczenia tych słów. Dla niego młoda dziewczyna była zawsze jakimś wariantem Pauli albo Melindy, istotą pieszczoną, uwielbianą, kształconą, pielęgnowaną, wychowywaną tak, aby potem zajęła miejsce wśród najlepszych dziesięciu procent. Z Eunice Parchman sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Ta duża, koścista, nieładna dziewczyna z nieżyczliwym, ponurym spojrzeniem nie słyszała nigdy mu-

zyki, jeśli nie liczyć hymnów kościelnych i urywków z Gilberta i Sullivana, które ojciec gwizdał przy goleniu. Nie widziała nigdy żadnego sławnego obrazu, prócz „Roześmianego jeźdźca” i „Mony Lisy”, wiszących w hallu szkolnym; jej ignorancja posunięta była tak daleko, że gdyby zapytać ją, kto to był Napoleon i gdzie leży Dania, otworzyłaby tylko szeroko oczy nie rozumiejąc, o co chodzi.

To i owo Eunice potrafiła robić. Miała duże zdolności manualne. Doskonale sprzątała i załatwiała sprawunki, gotowała i szyła, i pchała wózek matki na błonia. Czyż można się dziwić, że mając takie umiejętności wolała w spokoju zajmować się tymi właśnie rzeczami, i tylko nimi? Co w tym niezwykłego, że lubiła plotkować, ze starszymi sąsiadkami, unikała zaś towarzystwa ich dzieci, umiejących czytać i pisać, które gdzieś pracowały i mówiły o sprawach dla niej niezrozumiałych. Miała swoje przyjemności: czekoladę, za którą przepadała i od której tyła, prasowanie, czyszczenie sreber i mosiądzu, pomnażanie rodzinnych dochodów robieniem na drutach dla sąsiadów. Skończyła trzydzieści lat, a nigdy jeszcze nie przekroczyła progu piwiarni, nie była w teatrze, nie odwiedziła lokalu okazalszego niż herbaciarnia, nie wyjechała za granicę, nie miała chłopca, nie umalowała twarzy ani nie wybrała się do fryzjera. Dwa razy była w kinie z sąsiadką, panią Samson, i u niej oglądała w telewizji ślub i koronację królowej. Między siódmym a dwunastym rokiem życia cztery razy podróżowała pociągiem dalekobieżnym. Oto dzieje jej młodości.

Z takim oderwaniem od życia mogłoby iść w parze wiele cnót. Eunice niewiele miała okazji, żeby robić coś złego, a jednak znajdowała je albo wręcz je stwarzała.

— Jednego przynajmniej nauczyłam Eunice — zwykła mawiać jej matka — wie, co dobre, a co złe.

Był to wyświechtany banał, odruchowy jak kwakanie kaczki, ale jeszcze bardziej bezmyślny. Parchmanowie nie mieli zwyczaju myśleć, zanim się odezwą, a na dobrą sprawę w ogóle niewiele myśleli.

Z apatii wyrywał Eunice tylko jakiś nagły przymus wewnętrzny. Brała ją nieraz nieprzeparta ochota, aby rzucić wszystko i ruszyć przed siebie. Albo zrobić wielkie sprzątanie. Albo popruć suknię na kawałki i zeszyć na nowo z niewielkimi zmianami. Zawsze się tym impulsom poddawała. W znoszonym płaszczu zapiętym pod szyję, w szaliku owiązanym ciasno na ciagle jeszcze pięknych, gęstych ciemnych włosach, potrafiła iść całymi kilometrami, przechodząc czasem przez mosty na rzece i docierając aż do West Endu. Spacerowały te stanowiły jej edukację. Widziała rzeczy, których nie uczą w szkole, nawet jeśli umie się czytać. Instynkty, nie kontrolowane ani nie tłumione przez lekturę, podpowiadały jej, co napotkane widoki znaczą albo na co wskazują. Na West Endzie widziała prostytutki, w parku — ludzi splecionych w uścisku, na błoniach — homoseksualistów, którzy ukryci w cieniu -czekają, żeby zagabnąć atrakcyjnie wyglądającego przechodnia. Któregoś wieczora zobaczyła, że pewien mężczyzna, który mieszkał na Tęczowej, zaczepił chłopca i poprowadził go za kępę krzaków. Eunice nie słyszała nigdy słowa „szantaż”. Nie miała pojęcia, że wymuszanie pieniędzy to popularny proceder ścigany przez prawo. Ale też Kain nie słyszał zapewne słowa „zabójstwo”, nim zabił brata. Są w człowieku odwieczne pragnienia, które można urzeczywistnić bez żadnych wskazówek. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Eunice była przekonana, że robi coś najzupełniej oryginalnego. Zaczekała, aż chłopiec odszedł, i wtedy oświadczyła sąsiadowi, że powie o wszystkim jego żonie, chyba że będzie jej dawał dziesięć szylingów tygodniowo. Mężczyzna, śmiertelnie przerażony, zgodził się i przez lata całe wręczał jej co tydzień dziesięć szylingów.

Ojciec Eunice był za młodu człowiekiem pobożnym. Nadał córce imię z Nowego Testamentu i czasami, dla żartu, nawiązywał do tego, wymawiając imię z grecka.

— Co mi dziś dasz do herbaty, Eunike, matko Tymoteusza?

Drażniło to Eunice i bolało. Czyżby nękało ją czasem mgliste przypuszczenie, że nigdy niczyją matką nie będzie? Myśli analfabety ograniczają się do obrazów i bardzo prostych słów. Słownictwo Eunice było ubogie. Posługiwała się frazesami i utartymi zwrotami, które przejęła od matki i ciotki, pani Samson, mieszkającej w sąsiedztwie. Czy zazdrościła ciotecznej siostrze, kiedy ta wychodziła za mąż? Czy jej serce przepełniała nie tylko chciwość, ale i gorycz, kiedy od pewnej mężatki romansującej z komiwojażerem zaczęła egzekwować dalsze dziesięć szylingów tygodniowo? Nikomu nie mówiła o swoich przeżyciach, nikomu nie zdradzała swoich zapatrywań.

Kiedy Eunice miała trzydzieści siedem lat, pani Parchman umarła, a osamotniony wdowiec natychmiast przejął pałeczkę domowego kaleki. Być może tak sobie cenił usługi Eunice, że nie chciał z nich rezygnować. Na nerki skarżył się od dawna; teraz natomiast kultywował swoją astmę i coraz więcej czasu spędzał w łóżku.

— Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił, Eunike, matko Tymoteusza.

Żyłby pewnie do dziś dnia i mieszkał w Tooting.

Pewnego dnia Eunice, wiedzona impulsem, wsiadła do autobusu i spędziła dzień w Brighton. Kiedy indziej wystawiła z największego pokoju wszystkie meble i pomalowała go na różowo. Ojciec na ponad dwa tygodnie poszedł do szpitala.

— Chodzi głównie o to, żeby mogła pani trochę odetchnąć, panno Parchman — wyjaśnił lekarz. — On może umrzeć w każdej chwili, ale może też żyć jeszcze wiele lat.

Nic jednak nie wskazywało na to, żeby miał się przenieść na tamten świat. Eunice kupowała mu smakowite ryby i przyrządzała świetne puddingi. Pilnowała ognia na kominku w jego pokoju i przynosiła

ciepłą wodę, żeby mógł się ogolić, pogwizdując „Miłości król pastere-
rzem mym” i „Jam jest Naczelny Kat”. W pewien pogodny wiosenny
poranek usiadł w łóżku, rumiany i pełen sił, i odezwał się czystym
głosem człowieka, mającego idealnie zdrowe płuca:

— Owiń mnie ciepło, wsadź na wózek mamy i zawieź na błonia,
Eunice, matko Tymoteusza.

Eunice nie odpowiedziała. Wzięła jedną z poduszek zza głowy
ojca i przycisnęła mu ją mocno do twarzy. Przez jakiś czas walczył
jeszcze i miotał się, ale nie trwało to długo. W gruncie rzeczy nie miał
przecież idealnie zdrowych płuc. W domu Eunice nie było telefonu.
Wyszła, żeby sprowadzić lekarza. Nie zadawał żadnych pytań i od ra-
zu podpisał akt zgonu.

Nareszcie wolna.

Miała czterdzieści lat i teraz, kiedy już zdobyła wolność, nie wie-
działa, co z nią począć. Skończ z tym idiotycznym analfabetyzmem,
poradziłby George Coverdale. Naucz się jakiegoś użytecznego fachu.
Weź do domu sublokatorów. Stwórz sobie jakie takie życie to-
warzyskie. Eunice nic z tych rzeczy nie zrobiła. Nadal mieszkała w
domu przy ulicy Tęczowej; czynsz byłomalże symboliczny, a poza
tym jako szantażystka miała stały dochód, który wzrósł obecnie do
dwóch funtów tygodniowo. Jakby nie było ostatnich dwudziestu
trzech lat — ten najlepszy okres młodości przeminął w oka mgnieniu
— Eunice wróciła do sklepu ze słodyczami i pracowała tam trzy dni w
tygodniu.

Kiedyś spotkała na ulicy Annie Cole, która z książeczką emery-
talną w ręce szła na pocztę w Merton. Eunice poznała ten dokument.
Ojciec nauczył ją podpisywać swoją książeczkę, gdyż była do tego
upoważniona. A samą Annie Cale Eunice też znała z widzenia: za-
uważyła ją, gdy wychodziła z krematorium na chwilę przed przyby-
ciem konduktu pogrzebowego pana Parchmana. To matka Annie Cole

wtedy umarła, a teraz oto Annie Cole pobierała jej rentę i opowiadała przy tym urzędnikowi, że biedna mama poczuła się właśnie nieco lepiej. Poważną zaletą niepiśmienności jest fakt, że rozwija się przy niej fantastyczną pamięć wzrokową i człowiek jest w stanie sobie przypomnieć niemal wszystkie zauważone szczegóły.

W ten to sposób Annie stała się ofiarą i jednocześnie sekretarką Eunice: oddawała jej bowiem trzecią część owej renty i w potrzebie świadczyła drobne usługi. Przy tym Annie nie żywiła do Eunice niechęci, uważając jej postępowanie za jedynie słuszne w tym brutalnym świecie, toteż dopóki Eunice nie poznała Joan Smith, były prawie że przyjaciółkami. Z czasem jednak Annie zaczęła się bać i uznała, że pora już ostatecznie pogrzebać mamę. Niestety Eunice jako osoba zainteresowana na to się nie godziła. Annie tedy była zdecydowana pozbyć się Eunice. To ona właśnie, przypoehlebnie wynosząc pod niebiosa talenty gospodarskie szantażystki, jakby przypadkiem wyciągnęła ogłoszenie Coverdale'ów.

— Mogłabyś mieć trzydzieści pięć funtów tygodniowo z mieszkaniem i utrzymaniem. Zawsze mówiłam, że marnujesz się w tym sklepie.

Eunice chrupała czekoladę Cadbury'ego.

— Czy ja wiem — odparła.

Była to jej ulubiona odpowiedź.

— Twój dom się rozsypuje. Ciągłe zapowiadają, że zburzą tę część ulicy. Na pewno nic byś na tym nie straciła. — Annie raz jeszcze rzuciła okiem na ogłoszenie w „Timesie”, -którego na chybił-trafił wyciągnęła z kosza na śmieci. — Brzmi całkiem zachęcająco. Najlepiej napisać do nich i po prostu zobaczyć. Możesz wcale tam nie iść, jeżeli ci się nie spodoba.

— Jak. chcesz, to napisz — powiedziała Eunice.

Jak wszyscy bliżsi znajomi Eunice, Annie podejrzewała ją o analfabetyzm lub przynajmniej o półanalfabetyzm, ale nikt nigdy nie był tego zupełnie pewien. Eunice udawała czasem, że czyta gazety, i bez wątpienia umiała się podpisać. W końcu niemało jest ludzi, którzy nigdy nie czytają ani nie piszą, choć posiadają te umiejętności. Armie tedy napisała list do Jacqueline i kiedy nadszedł czas wstępnej rozmowy, pouczyła Eunice, jak ma się zachowywać.

— Pamiętaj, Eun, masz do niej mówić „proszę pani” i nie odzywać się nie pytana. Moja mama jeszcze jako panna była na służbie, więc wiedziała, co i jak. Mogłabym ci powtórzyć niejedną jej radę.

Biedna Annie. Kochała bardzo matkę, toteż oszustwo z książeczką emerytalną popełniła nie tylko dla korzyści materialnych, ale głównie dlatego, aby zachować matkę wśród żywych, mieć ją przy sobie.

— Możesz też pożyczyć buciki mojej mamy. Powinny być na ciebie dobre.

Udało się. Zanim Eunice zdążyła się dobrze zastanowić, już przyjęta została do Coverdale'ów w charakterze gospodyni. A że miała dostawać tygodniowo nie trzydzieści pięć, tylko dwadzieścia pięć funtów? — wszak to też fortuna. Co jednak sprawiło, że dała się tak łatwo przekonać, ona, jak leśne zwierzę przywiązana do swojego legowiska i nory?

Nie chodziło o nowe miejsce, przygodę, pieniądze czy nawet okazję do popisania się jedynymi umiejętnościami, jakie posiadała w stopniu doskonałym. Przyjęła pracę głównie po to, aby uniknąć odpowiedzialności.

Za życia ojca wiele spraw układało się nie tak jak trzeba, ale jedno było dobre: on zajmował się płaceniem czynszu, podatków i wszelkich rachunków, wypełnianiem formularzy i czytaniem tego, co było do przeczytania. Opłaty «podatkowe Eunice zanosila do urzędów

w dokładnie odliczonej gotówce; rachunki za gaz i światło płaciła podobnie. Nie mogła jednak wypożyczyć telewizora ani kupić go na raty, bo trzeba by mieć do czynienia z formularzami. Dostawała pocztę, listy i reklamy, ale nie potrafiła ich przeczytać. Lowfield Hall rozwiązałby problem, a najwyraźniej byli tam ludzie skłonni ją przyjąć i troszczyć się o nią właśnie w ten sposób, o jaki jej zawsze chodziło.

Dom ponownie znalazł się w rękach zdumionego i zachwyconego właściciela, natomiast sprzedaż mebli wzięła na siebie pani Samson. Eunice z miną nieprzeniknioną obserwowała wycenianie sprzętów i obojętny wyraz oczu kupującego mężczyzny. Pożyczyła od pani Samson dwie walizki i zapakowała w nie cały swój dobytek. Ubrana w niebieską spódnicę, zrobiony na drutach błękitny sweter i granatowy płaszcz nieprzemakalny, pożegnała uprzejmą sąsiadkę, tę niemal matkę, która asystowała przy jej narodzinach.

— No, idę — oznajmiła.

Pani Samson pocałowała ją w policzek, ale nie prosiła Eunice o listy. Ona jedna знаła jej tajemnicę.

Na stacji Liverpool Street Eunice, po raz pierwszy od niemal czterdziestu lat, oglądała pociągi — prawdziwe pociągi, nie metro. Ale jak tu się zorientować, do którego ma wsiąść? Na tablicy odjazdów wypisane były białe na czarnym nic nie mówiące hieroglify.

Nie znosiła zadawania pytań, ale nie było innego wyjścia.

— Z których peronów do Stantwich?

— Ma pani na tablicy.

Więc jeszcze raz, do kogo innego.

— Z którego peronu do Stantwich?

— Przecież jest na tablicy. Z trzynastego. Nie umie pani czytać?

Nie umiała, ale brakło jej odwagi, żeby się do tego przyznać. W każdym razie siedziała wreszcie w pociągu i musiał to być ten właściwy, bo już poinformowało ją o tym jedenaście osób. Pociąg wiozł ją na wieś, a jednocześnie daleko w przeszłość. Była znów małą dziewczynką, która jechała ze szkołą do Taunton, bezpiecznego schronienia, a przed sobą miała całą swoją przyszłość. Tak samo, jak przed laty, przepływały za oknem stacje, bezimienne i nieznane.

Ale nie ulegało wątpliwości, że Eunice pozna Stantwich, kiedy tam dojedzie. I dla pociągu bowiem, i dla jej przyszłości była to stacja końcowa.

5

Powinna była przegrać. Nie miała przygotowania ani doświadczenia. Coverdale'owie zupełnie różnili się od ludzi, wśród których dotąd przebywała, a ona nie miała łatwości nawiązywania kontaktów i przystosowywania się do nowego otoczenia. Nigdy nie była na żadnym przyjęciu, sama oczywiście nie zapraszała gości i z wyjątkiem domu na Tęczowej nigdy nie prowadziła gospodarstwa. Nikt z rodziny nie był na służbie w obcym domu; ponadto wśród znajomych nikt nie zatrudniał pomocy domowej, nawet dochodzącej. Zdawałoby się, że Eunice sądzona jest klęska.

Tymczasem sukces, jaki odniosła, przeszedł jej najśmielsze oczekiwania, a i Jacqueline nie przewidywała w swoich marzeniach takiego obrotu sprawy.

W gruncie rzeczy Jacqueline nie zależało na gospodyni. Chodziło jej nie o kogoś, kto by miał decydować i rządzić, ale o posłuszną służącą do wszystkiego. A Eunice nawykła do ^posłuszeństwa i do ciężkiej pracy. Coverdale'om potrzebny był właśnie ktoś taki, jak gdyby pozbawiony osobowości, nieświadom swoich praw i wyzbyty owej ciekawości, która skłania do wścibiania wszędzie nosa. Eunice była spokojna i pełna respektu, zrównoważona psychicznie, jeśli nie liczyć jednego szczególnego rysu charakteru: nie zależało jej na osiągnięciu statusu społecznego swoich państwa. Upodobania estetyczne miała jednostronne: lubiła przedmioty domowego użytku. Dla Eunice lodówka była piękna, podczas gdy kwiat był po prostu kwiatem; materiał na zasłony mógł być prześliczny, natomiast ptak albo dzikie zwierzątko — co najwyżej ładne. Pod względem wartości estetycznej Eunice nie widziała różnicy między wazonem typu *familie rose* a teflonową patelnią. Obydwa te przedmioty zasługiwały na określenie „solidne” i z każdym z nich obchodziła się równie troskliwie.

Wszystko to przyczyniło się do sukcesu: Eunice z miejsca zrobiła dobre wrażenie. Skończyła właśnie ostatni z kupionych na stacji Liverpool batoników „Bounty” i wysiadła z pociągu. Wiedziała, że nic już nie trzeba będzie odczytywać, była więc najzupełniej spokojna. Napis „Wyjście” знаła, z tym nie było kłopotu. Co prawda Jacqueline nie uprzedziła jej, w jaki sposób ma poznać George'a, ale on znał ją już z opisu żony, niezbyt zresztą pochlebnego. Razem z George'em przyjechała też Melinda i to zmyliło Eunice, która szukała wzrokiem samotnego mężczyzny.

— Bardzo mi przyjemnie — mówiła podając rękę na powitanie. Nie uśmiechała się ani nie patrzyła na nich oboje, pilnie natomiast oglądała ogromny biały samochód.

George posadził ją na przednim siedzeniu.

— W ten sposób, panno Parchman, będzie pani lepiej widziała okolice, a jest naprawdę piękna.

Dziewczyna paplała całą drogę jak najęta, od czasu do czasu rzucając Eunice jakieś pytanie. Lubi pani wieść, panno Parchman? Widziała pani kiedyś mokradła Fens? A nie jest pani przypadkiem za ciepło w tym płaszczu? Mam nadzieję, że lubi pani faszerowane liście wina. Moja macocha przygotowuje je dziś wieczór. Eunice odpowiadała lakonicznie „tak” lub „nie”. Nie bardzo wiedziała, czy faszerowane liście wina są do jedzenia, do patrzenia, czy może do siedzenia na nich. Odpowiadała jednak z powściągliwą uprzejmością, czasem uśmiechając się lekko do Melindy.

George'owi spodobała się ta pełna szacunku rezerwa. Z zadowoleniem patrzył, jak Eunice siedzi z rękami splecionymi na skromnie złączonych kolanach. Podobało mu się nawet jej ubranie, które nieco bardziej bezstronnemu obserwatorowi przywiodłoby na myśl regulaminowy ubiór strażniczek więziennych. Ani George, ani Melindą nie wyczuli u Eunice cienia chłodu, nic odpychającego.

— Pojedź naokoło, tatusiu. Niech panna Parchman obejrzy Greeving.

W ten sposób Eunice miała zobaczyć najpierw dom swojej przyszłej współniczki zbrodni, a dopiero później dom swoich ofiar. Mijali bowiem budynek z napisem „Urząd Pocztowy w Greeving oraz Sklep Wiejski, własność N. Smith”. Jednakże na razie nie dane było Eunice ujrzeć samej Joan Smith, zajętej roznoszeniem broszur Bractwa Objawienia.

Ale gdyby nawet Joan Smith była akurat w domu, Eunice nie zwróciłaby na nią specjalnej uwagi. Ludzie jej nie obchodzili. Nie interesował jej też krajobraz i mijane właśnie jedno z najładniejszych miasteczek w Suffolk. Greeving było dla niej po prostu zbiorowiskiem starych budynków ze strzechami, biało otynkowanych, i mnóstwem drzew, które na pewno zabierają światło. Zastanawiała się natomiast, co trzeba robić, kiedy ogarnie człowieka apetyt na kawałek ryby albo

nagle przyjdzie chęć, a jej zdarzało się to całkiem często, na półki-
łowe pudełko czekoladek.

Lowfield Hall. Dla Eunice mógłby tak wyglądać sam Buckingham Palace. Nie widziała jeszcze, żeby zwykli ludzie mieszkali w takich domach, chyba że królowa Anglii albo jakaś gwiazda filmowa. Tego pierwszego dnia cała piątka zebrała się w hallu. Jacqueline, która stroiła się przy każdej okazji, na powitanie nowej służącej włożyła welwetowe spodnie szmaragdowego koloru i czerwoną jedwabną bluzkę, ozdobioną szalem od Gucciego. Nawet Giles był razem z nimi. Przechodził właśnie przez hall, rozglądając się za swoim podręcznikiem hindi, kiedy matka złapała go za kołnierz i namówiła, żeby wziął udział w ogólnej prezentacji.

— Dobry wieczór, panno Parchman. Jak się jechało?. Pani pozwoli, mój syn, Giles.

Giles skinął głową i nie odwracając się umknął na górę. Eunice ledwo go zauważyła. Pochłonięta była oglądaniem domu i wszystkiego, co się w nim znajdowało. Nie wierzyła własnym oczom. Przypominała królową Saby podczas jej pierwszej wizyty u króla Salomona: była równie speszona. Jednakże ani wyrazem twarzy, ani zachowaniem nie zdradzała swego zdumienia i podziwu. Stojąc na puszystym, grubym dywanie, wśród antyków i wazonów z kwiatami, spojrzała najpierw na duży zegar pod ścianą, a potem na własne odbicie w wielkim lustrze, okolonym pozłacanymi zawijaszami. Odebrało jej wprost mowę, znieruchomiała. Coverdale'owie uznali tę postawę za dowód opanowania i milczącej powściągliwości przykładowej służącej.

— Pokażę pani pokój — zaproponowała Jacqueline. — Dzisiaj nic już nie będzie pani robić. Chodźmy na górę, a walizki później ktoś przyniesie.

Eunice ujrzała przestronny, ładny pokój. Wyłożony był oliwkowo-
wobeżowym dywanem, ściany pokrywały bladożółte tapety w białe

pionowe paski. Stały tam dwa wygodne fotele w ciemniejszym żółtym kolorze, kanapka w kretonowym pokrowcu, łóżko nakryte kapą z tego samego materiału i długa szafa w ścianie. Z okien rozciągał się wspinały widok — właśnie ten najpiękniejszy — który lepiej było oglądać stąd, niż z jakiegokolwiek innego pokoju w domu.

— Mam nadzieję, że wszystko tu spodoba się pani.

Pusta półka na książki (która miała już taką pozostać), wazon białego bzu na stoliku do kawy, dwie lampy z ciemnopomarańczowymi abażurami, dwie oprawione reprodukcje Constable'a: „Domek Willy Lotta” i „Koń stający dęba”. W łazience dominowała jasna zieleń, a na ogrzewanym drążku wisiały oliwkowe ręczniki.

— Za pół godziny będzie na panią czekać obiad w kuchni. Drzwi na końcu korytarza za schodami. A teraz pewnie chciałaby pani zostać sama. A otóż mój syn z pani rzeczami.

George'owi udało się złapać Gilesa i uprosić go, żeby zaniósł na górę obydwie walizki. Giles postawił je bezceremonialnie na podłodze i wyszedł. Eunice nie zwróciła na chłopaka uwagi, podobnie jak nie zwracała uwagi na jego matkę. Wpatrywała się w jedyny obiekt, który naprawdę ją interesował: w telewizor. Był marzeniem jej życia, ale nigdy nie mogła go ani kupić, ani wypożyczyć. Kiedy drzwi zamknęły się za Jacqueline, podeszła do odbiornika, przyjrzała mu się jeszcze raz, po czym — jak ktoś zdecydowany "na użycie niebezpiecznego urządzenia, które może eksplodować albo porazić rękę prądem, ale które pomimo wszystko użyte być musi i zmierzyć się z nim trzeba — podbiegła do telewizora i włączyła go.

Na ekranie ukazał się człowiek z bronią. Celował do kobiety skulonej za fotelem. Padł strzał i kobieta rzuciła się korytarzem do ucieczki. Tak się więc złożyło, że w pierwszym programie, jaki Eunice obejrzała na swoim własnym telewizorze, rzecz była o przemocy i broni palnej. Czyżby właśnie ten program i wiele następnych rozbu-

dziły drzemającą w niej pasję i wyzwoliły fale agresji? Czyżby zmyślony dramat posiał w umyśle analfabetki ziarno, które wydało na koniec straszliwe owoce?

Być może. Ale jeśli nawet telewizja obudziła w Eunice chęć zabicia Coverdale'ów, to w żadnym razie nie popchnęła jej do uduszenia własnego ojca. Do chwili jego śmierci oglądała jedynie transmisję ze ślubu królowej, a potem z koronacji.

Jednakże, choć telewizja miała stać się nałogiem Eunice, która zamykała się z telewizorem na klucz i w letnie popołudnia zaciągała szczelnie zasłony, owego pierwszego wieczoru oglądała ją tylko przez dziesięć minut. Obiad zjadła z namaszczeniem, jako że w niczym nie przypominał tego, co dotychczas jadła, a potem Jacqueline oprowadziła ją po domu i poinstruowała o czekających ją obowiązkach. Eunice od pierwszej chwili była wszystkim zachwycona. To, że z początku popełniła kilka niewielkich błędów, było rzeczą najzupełniej naturalną. Annie Cole nauczyła ją nakrywać do stołu, więc poszło jej to bardzo dobrze, tyle że owego pierwszego poranka zaparzyła herbatę zamiast kawy. Znała dotąd tylko neskę, kawy zaś nigdy w życiu nie parzyła. Nie spytała, jak się to robi. W ogóle rzadko zadawała pytania. Jacqueline doszła do wniosku, że nowa służąca jest widocznie przyzwyczajona do staroświeckiej maszynki do kawy, gdy tymczasem oni używali filtra. Eunice nie wyprowadzała jej z błędu. Pani Coverdale zademonstrowała więc parzenie za pomocą filtra, a Eunice patrzyła. Wystarczało jej raz przyjrzeć się jakiejś czynności, a już potrafiła wykonać ją sama.

— Rozumiem, proszę pani — powiedziała.

Gotowaniem zajmowała się Jacqueline. Zakupy załatwiała również ona albo George. W pierwszych dniach pobytu, kiedy Jacqueline nie było w domu, Eunice mając dość czasu obejrzała dokładnie każdy przedmiot w Lowfield Hall. Według jej kryteriów dom był brudny.

Gruntowne porządki wiosenne sprawiły jej wielką przyjemność. Te prześliczne dawany, zasłony, poduszki, to drzewo różane i orzech, i dąb, to szkło i srebro, i porcelana! Ale najwspanialsza ze wszystkiego była kuchnia — z boazerią sosnową i szafkami, podwójnym metalowym zlewozmywakiem, pralką, suszarką, maszyną do zmywania naczyń, a gdy chodziło o porcelanę w salonie, samo odkurzanie nie wystarczyło. Wszystko musiało być umyte.

— Ależ doprawdy nie potrzeba tego robić, panno Parchman.

— Kiedy ja to lubię — mówiła Eunice.

Jacqueline protestowała, powodowana nie tyle altruizmem, co obawą przed stłuczeniem. Nie zdarzyło się jednak, żeby Eunice kiedykolwiek coś stłukła albo odłożyła nie tam, skąd wzięła. W którymś z rejonów jej mózgu pamięć wzrokowa utrwalała raz na zawsze precyzyjne, wyraźne fotografie.

Tym jedynie, co w Lowfield Hall jej nie interesowało, czego nie ruszała i do czego nie zaglądała, była zawartość biurka w saloniku, a ponadto książki; w toalecie zaś Jacqueline listy od George'a. Prócz tego wszystkiego, na tamtym jeszcze etapie, obydwie strzelby.

Chlebodawcy byli wniebowzięci.

— To ideał — oświadczyła Jacqueline, bo kiedy pakowała koszule George'a do pralni, Eunice jej te koszule odebrała i między rozmrażaniem lodówki i przewlekaniem bielizny pościelowej sama pięknie uprała i uprasowała. — Wiesz, kochanie, co mi powiedziała? Po prostu spojrzała na mnie tym swoim potulnym wzrokiem i poprosiła: „Niech mi je pani da. Lubię prasować”.

Potulna? Eunice Parchman?

— Bez wątpienia jest bardzo sprawna — odparł George. — A ja się cieszę, że taka jesteś zadowolona i tak się dobrze czujesz.

— Przecież nie mam lnic do roboty. Poza tym, że raz zmieniła nam pościel na zieloną i po prostu zignorowała kartkę, którą jej zostawiłam, nie mogę jej nic zarzucić. Zresztą to śmieszne mówić o zarzutach, jeśli się ją porówna z Ewą czy z tą okropną Ingrid.

— Jak się układają jej stosunki z Ewą?

— Mam wrażenie, że ją ignoruje. Chciałabym mieć tyle odwagi. A wiesz, że panna Parchman umie też szyć? Usiłowałam podszyć moją zieloną spódnice, a ona ją wzięła i świetnie to zrobiła.

— Mieliśmy szczęście — powiedział George.

Skończył się maj. Wiosenne kwiaty zwiędły, drzewa okryły się liśmi. Na pola wyległy bażanty w poszukiwaniu zielonych kielków kukurydzy, w sadzie słowik rozpoczął swoje trele. Nie dla Eunice jednak. Zajęte, jak zwykle czujne i płochliwe, skubały coś pod żywopłotami, a księżyc wschodził wolno spoza wzgórz Greeving, czerwony i dziwny, jakby drugie słońce. Jednakże nie dla Eunice. Ona zaciągała zasłony, zapalała światło i włączała telewizor. Wieczory miała dla siebie. Bardzo to jej odpowiadało. Robiła na drutach. Gdy jednak odcinek serialu, sprawozdanie sportowe czy film o złodziejach i policjantach zaczynał ją wciągać, robota opadała jej na kolana, a ona pochylała się do przodu, przejęta jak dziecko.

Była szczęśliwa. Gdyby potrafiła analizować swoje myśli i uczucia, gdyby mogła badać swoje pobudki, powiedziałaaby, że takie życie *per procura* lepsze jest od wszystkiego, co dotąd znała. Gdyby jednak zdolna była do analizy, mało jest prawdopodobne, żeby zadowolalo ją takie spędzanie wolnego czasu, taki pozór życia. Nałóg Eunice nasuwa pewne pytanie. Czy przypadkiem jakaś organizacja społeczna nie

przysłużyłaby się społeczeństwu — ratując przy tym życie Cove-
rdale'om — gdyby tylko zawczasu dostrzegła u Eunice Parchman ów
niewinny nałóg? Gdyby dano Eunice pokój, rentę i telewizor i pozwo-
lono jej wielbić go i gapić się w niego do końca życia? Żadna jednak
organizacja społeczna nie zainteresowała się nią aż do chwili, kiedy
było już o wiele za późno. Żaden psychiatra nigdy jej nie badał. Zresz-
tą psychiatra zdołałby wykryć zasadnicze źródło psychopatii Eunice
tylko wówczas, gdyby mu się przyznała, że jest analfabetką. Eunice
wszakże od czasu, kiedy można się było jeszcze spodziewać, że upora
się z tym niedostatkiem, stała się wręcz mistrzynią w jego ukrywaniu.
Ojciec, który doskonale umiał czytać, który za młodu przestudiował
Biblię od deski do deski, był tu głównym sojusznikiem Eunice. On,
który powinien był zachęcać ją do nauki, uprawiał wspólnie z nią skom-
plikowaną konspirację, wymagającą znacznie więcej zachodu i trudu,
niżby wymagała nauka.

Kiedy wstępował do nich sąsiad z gazetą i dawał ją Eunice, ojciec
rzucił okiem na drobny druk i mówił:

— Ja przeczytam, niech nie męczy młodych oczu.

Uznano więc w szczupłym gronie ich znajomych, że Eunice ma
słaby wzrok. Zwykle zresztą ludzie piśmienni, lecz niewykształceni,
tak sobie tłumaczą zjawisko analfabetyzmu.

— Nie możesz przeczytać? Chyba raczej odczytać?

Kiedy była dzieckiem, nigdy nie ciągnęło jej do czytania. Później
podrosła i chciała się nauczyć, ale od kogo? Wzięcie czy nawet samo
poszukiwanie nauczyciela oznaczałoby, że zdradzi się przed innymi.
Zacząła stronić od ludzi, miała bowiem wrażenie, że wszyscy zawzięli
się, aby wykryć jej tajemnicę. Po jakimś czasie takiego trzymania się
na uboczu, tej izolacji, Eunice zaczęła stronić od ludzi odruchowo,
choć o głównej przyczynie swojej mizantropii niemal już zapom-
niała.

Przedmioty — meble, bibeloty, telewizor — nie mogły jej urazić, traktowała je więc jak sojuszników; budziły w niej nawet coś na kształt cieplejszego uczucia, gdy tymczasem wobec Coverdale'ów była oziębła. Wprawdzie nie była w stosunku do nich bardziej oziębła niż dla innych, traktowała ich tak samo, jak zawsze traktowała wszystkich ludzi.

George pierwszy to zauważył. Spośród rodziny Coverdale'ów był bez wątpienia najbardziej wrażliwy i dlatego on właśnie dostrzegł skazę w tym ideale.

6

Był niedzielny poranek. Siedzieli w kościele i pastor Archer zaczął wygłaszać kazanie. Jako temat wziął słowa: „Należycie się spisać, dobry i wierny sługo. W kilku tylko sprawach dane ci było wierności dochować, ale wielu spraw uczynię cię panem”. Jacqueline uśmiechnęła się do George'a i dotknęła jego ramienia. On, zadowolony, uśmiechnął się także.

Następnego dnia przypomniał sobie tę wymianę uśmiechów i doszedł do wniosku, że zachował się głupio i trochę zanadto był z siebie kontent.

— Paula jest w szpitalu — powiedziała Jacqueline, kiedy George wrócił do domu. — To naprawdę okropne, jak to teraz ustalają, którego dnia dziecko ma się urodzić. Po prostu przyjmują do szpitala, dają zastrzyk i gotowe.

— Dzieci na poczekaniu — odparł George. — Czy Brian dzwonił?

— Ostatnio o drugiej.

— W takim razie ja do niego zadzwonię.

Jak zwykle, kiedy nie było gości, mieli jeść obiad w saloniku. Weszła Eunice, żeby nakryć do stołu. George wykręcił numer, ale nikt nie odbierał telefonu. Położył słuchawkę i zaraz odezwał się dzwonek. George odpowiadał mężowi Pauli monosylabami, poprosił na zakończenie: „Zadzwoń niedługo”, po czym podszedł do Jacqueline i wziął ją za rękę.

— Są jakieś komplikacje. Nie podjęli jeszcze decyzji, ale Paula jest bardzo wyczerpana i prawdopodobnie skończy się cesarskim.

— Kochanie, jakże mi przykro, co za zmartwienie! — Nie prosiła, żeby się nie martwił, i tym go ujęła. — Wiesz, zadzwoń do doktora Crutchleya. Może cię uspokoi.

— Tak zrobię.

Eunice wyszła z pokoju. George pochwalił w duchu jej taktowne milczenie. Zadzwonił do doktora Crutchleya, który stwierdził, że nie może się wypowiadać na temat przypadku, o którym nic nie wie, i uspokoił George'a tylko tym, że w dzisiejszych czasach kobiety na ogół nie umierają przy porodach.

Zjedli obiad. Ściślej mówiąc Giles zjadł obiad, bo Jacqueline coś tam skubnęła, a George zostawił prawie wszystko nietknięte. Giles zdobył się na niewielkie ustępstwo wobec powagi sytuacji i zdenerwowania pozostałych osób. Przestał czytać, a zamiast tego wbił wzrok przed siebie. Później, kiedy napięcie się rozładowało, Jacqueline ze śmiechem powiedziała mężowi, że ten gest Gilesa można by przyrównać u kogo innego do słów otuchy i butelki koniaku.

Niepewność nie trwała długo. Brian dzwonił jeszcze dwa razy, a w pół godziny po ostatnim telefonie odezwał się znowu, aby oznajmić, że po cesarskim cięciu na świat przyszedł trzyipółkilogramowy chłopczyk i że Paula ma się dobrze.

Eunice sprzątała właśnie ze stołu. Musiała to wszystko słyszeć: i „Chwała Bogu!” George'a, i „Cudownie, kochanie, tak się cieszę”, powiedziane przez Jacqueline, i „Dobra jest” Gilesa, który zaraz potem poszedł na górę. Musiała słyszeć te oznaki ulgi i widzieć ogólną radość. Wcale jednak nie zareagowała i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Jacqueline objęła George'a i przytuliła do siebie. Nie pomyślał wtedy o Eunice. Dopiero kiedy kładł się spać i usłyszał nad głową przytłumiony szmer jej telewizora, uświadomił sobie, jak zastanawiająco chłodne było jej zachowanie. Kiedy czekali w napięciu, ani razu nie zdradziła zainteresowania, a gdy niebezpieczeństwo minęło, nawet nie dała George'owi do zrozumienia, że jest temu rada. Świadomie nic podobnego po Eunice nie oczekiwał. Nie spodziewał się, że powie: „Proszę pana, bardzo się cieszę, że pańska córka czuje się już dobrze”, ale teraz ta obojętność dała mu do myślenia. Zaniepokoiła go. Brak troski o los innej kobiety, brak zainteresowania życiem ludzi, w których domu się mieszka, u każdego musi być uznany za objaw nie-normalny. Dobrze się spisujesz, dobry i wierny sługo. Niestety, tym razem nie można było tego powiedzieć.

George za żadne skarby nie wspomniałby o swoim zaniepokojeniu Jacqueline, która tak bardzo była szczęśliwa i zadowolona z pomocy domowej. Poza tym wcale by nie chciał gadatliwej służącej, która problemy zatrudniającej ją rodziny traktuje jak własne i zbyt często się spoufala. Postanowił więc o całej sprawie zapomnieć.

Nawet nieźle mu się to udawało, jednakże tylko do czasu chrzcin nowo narodzonego dziecka, które odbyły się w miesiąc później.

Patryka ochrzczono w Greeving; pastor Archer był bowiem przyjacielem Coverdale'ów, a poza tym w lecie przyjemniej zorganizować taką imprezę na wsi niż w mieście. Paula i Brian z dwojgiem dzieci przyjechali do Lowfield Hall pod koniec czerwca w sobotę i zatrzymali się do niedzieli. W sobotę po południu wydano na ich cześć huczne przyjęcie. Byli rodzice Briana i jego siostra, byli Roystonowie, Jameson-Kerrowie, ciotka Jacqueline, która przyjechała z Bury, i jacyś krewni George'a z Newmarket. Jedzenie i picie przygotowała Eunice pod kierunkiem Jacqueline, i zrobiła to świetnie. Nigdy jeszcze dom nie prezentował się tak korzystnie, a kieliszki do szampana pierwszy chyba raz były tak idealnie wytarte. Jacqueline nie przypuszczała, że ma już tyle białych płóciennych serwetek; przedtem nie widziała ich po prostu wszystkich naraz i to w dodatku świeżo wykrochmalonych. Czasem musiała poprzestawać na serwetkach papierowych.

Zanim wyruszyli do kościoła, Melindą zajrzała do salonu: chciała pokazać Eunice dziecko. Chłopiec miał dostać imię Giles, toteż Gilesa Monta — nim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje — wciągnięto w całą imprezę jako ojca chrzestnego. Teraz był tym pomysłem szczerze przerażony. Melindą wniosła dziecko ubrane w długą haftowaną szatkę, którą niegdyś miała na sobie ona sama, jej brat i siostra, a co więcej — również George. Chłopczyk wyglądał bardzo dobrze: był duży, rumiany i pełen wigoru. Na stole, obok ciasta, leżała księga chrzcin rodziny Coverdale'ów z imionami osób, które miały kiedyś na sobie ową szatkę, z informacjami o dacie i miejscu chrztu, i tak dalej. Księga była otwarta, przygotowana do dokonania najnowszego wpisu.

— Nie sądzi pani, że jest rozkoszny, panno Parchman?

Eunice stała oziębła i pełna rezerwy. George poczuł emanujący z niej chłód, jakby słońce skryło się nagle za chmurą. Eunice nie uśmiechnęła się ani nie pochyliła się nad niemowlęciem, nie uczyniła

też najmniejszego ruchu, żeby dotknąć choćby ubranka. Spojrzała tylko na dziecko. Nie było to jednak owo pełne uwielbienia spojrzenie, którym Eunice, jak to George przedtem zauważył, obdarzyła komplet srebrnych łyżeczek, rozkładanych przez nią na spodeczkach. Potem odwróciła oczy i powiedziała:

— Muszę wracać do roboty. Mam jeszcze to i owo do przypilnowania.

W ciągu całego popołudnia, kiedy wchodziła i wychodziła z taczami, ani George, ani Jacqueline nie usłyszeli od niej nawet słowa o tym, że dziecko jest śliczne, że dla nich musi to być prawdziwa radość móc przeżyć taki wspaniały dzień, że młodzi rodzice są na pewno bardzo szczęśliwi. Oziębła, nienaturalnie oziębła — pomyślał George. — A może jest po prostu chorobliwie nieśmiała?

Eunice nie była nieśmiała. Nie dlatego też odwróciła się od dziecka, że zlekła się księgi. W każdym razie nie bezpośrednio dlatego. Niemowlę po prostu jej nie interesowało. Zgodne jednak z prawdą byłoby stwierdzenie, że jej brak zainteresowania dziećmi pozostawał w związku z istnieniem na świecie książek.

Słowo drukowane napawało ją przerażeniem, stanowiło realne niebezpieczeństwo. Unikaj go, trzymaj się z daleka od niego i od każdej osoby, która zechce ci je podsunąć. Nawyk stronienia od słowa pisanego był w niej zakorzeniony tak głęboko, że przestała go sobie nawet uświadamiać. On sprawił, że dawno wyschły wszelkie źródła serdeczności, sympatii i zapału. Teraz Eunice traktowała tę ucieczkę od świata jako coś naturalnego; nie zdawała sobie sprawy, że wszystko zaczęło się od ucieczki przed tekstem drukowanym, przed książkami i pismem ręcznym.

Analfabetyzm zdławił w niej wszelkie współczucie i spowodował zanik wyobraźni. Nie można się też było doszukać w jej psychice te-

go, co psychologowie nazywają empatią: umiejętności dzielenia uczuć z innymi.

Generał Gordon, usiłując dodać otuchy obłożonym mieszkańcom Chartumu, opowiedział im, że gdy Bóg rozdawał strach wszystkim ludziom na świecie, doszedł na samym końcu i do niego. Tymczasem jednak Bogu strachu zabrakło i generał bez niego został stworzony. Tę zgrabną przypowieść można by sparafrazować tak, aby pasowała do Eunice. Kiedy Bóg do niej doszedł, nie miał już do rozdania ani wyobraźni, ani serdeczności.

Coverdale'owie lubili się wtrącać. Wtręcali się w dobrej wierze, chcąc uszczęśliwić innych. Gdyby tylko nie brzmiało to tak okropnie — cytując tu jednego z ulubionych pisarzy Gilesa — można by o nich powiedzieć, że mieli jak najlepsze intencje. Bali się samolubstwa, ani rusz bowiem nie rozumieli tego, co Giles wiedział instynktownie — że być egoistą nie znaczy żyć tak, jak sobie życzymy, znaczy to wymagać od innych, aby żyli tak, jak sobie tego życzymy.

— Martwię się o naszą starą Parchlady — powiedziała Melinda. — Nie uważasz, że ona ma okropne życie?

— Czy ja wiem? — odparł Giles. Melindą złożyła właśnie wizytę w jego pokoju, co zdarzało się rzadko; usiadła przy tym na jego łóżku, co wprawiło Gilesa w zachwyt, ale zarazem napełniło go przerażeniem. — Jakoś nie zauważyłem.

— Bo ty, ty nigdy nic nie widzisz. Ale ja ci mówię, że tak jest. Jeszcze w ogóle nie wychodziła, odkąd tu mieszka. Ogląda tylko telewizję. Słyszysz? Już włączyła... — Melindą zrobiła dramatyczną pauzę i przeniosła spojrzenie na sufit. Giles wrócił do czynności przerwanej wejściem Melindy: przypinał coś do korkowych płyt, którymi własnoręcznie pokrył, połowę jednej ze ścian w swoim pokoju.

— Musi się czuć strasznie osamotniona — powiedziała Melinda. — Na pewno tęskni za przyjaciółmi. — Dziewczyna chwyciła Gilesa za ramię i odwróciła twarzą do siebie. — Czy ciebie to nic nie obchodzi?!

Dotknięcie Melindy wstrząsnęło nim jak prąd elektryczny; zaczerwienił się.

— Daj jej spokój, Z nią jest wszystko okej.

— Nieprawda. To niemożliwe.

— Niektórzy ludzie wolą być sami. — Giles rozejrzał się niepewnie po pokoju, rzucił okiem na stos pomarańczowych ubrań, bezładne zwały książek i słowników, sterty nie dokończonych prac na tematy wykraczające poza program Magnusa Wythena. Uwielbiał ten pokój. Było tu lepiej niż gdzie indziej, z wyjątkiem może Biblioteki Londyńskiej, do której zabrał go kiedyś krewny, intelektualista. Ale w Bibliotece Londyńskiej nie wynajmują pokoi, w przeciwnym bowiem razie Giles figurowałby na czele listy czekających na wakans. — Ja wolę być sam.

— Jeśli dajesz mi do zrozumienia, że mam sobie iść...

— Ależ nie, coś ty — odrzekł pośpiesznie i, zdecydowany na oświadczyzny, zaczął ochrypłym, drżącym głosem: — Melindo...

— Słucham. Gdzieś ty wytrzasnął ten okropny plakat? Dlaczego ona ma taką zieloną twarz?

Giles westchnął. Okazja minęła.

— Przeczytaj mój cytat miesiąca — powiedział.

Cytat wypisany był zielonym tuszem na kartce papieru, przyklepionej pinezką do korkowej ściany. Melinda czytała na głos:

— „Dlaczego życie nowego pokolenia ma koniecznie zahaczać o życie poprzedniego? Czemu nie możemy pod postacią jajeczek — każde owinięte w dziesięć lub dwadzieścia tysięcy funtów w banknotach Banku Angielskiego — leżeć sobie wygodnie w zgrabnych komóreczkach, a potem budzić się niby osa, która stwierdza, że tata i mama nie tylko zostawili jej do dyspozycji okazałe wyposażenie, ale nawet kilka tygodni przedtem dali się zjeść wróblom?”

— Dobrze, co? Samuel Butler.

— Nie powinieneś mieć tego na ścianie, braciszku. Jakby tatuś albo Jackie to zobaczyli, szok murowany. A w ogóle zdawało mi się, że masz teraz siedzieć nad klasykami.

— Pewno nad niczym nie będę siedział — powiedział Giles. — Bo może pojedę do Indii. Nie przypuszczam — dodał odważnie — żebyś ty też chciała się wybrać.

Melindą zmarszczyła nos.

— Założę się, że nie pojedziesz. Sam doskonale wiesz, że nie pojedziesz. Usiłujesz tylko zmienić temat, bo chcesz mieć święty spokój. Miałam zamiar prosić, żebyś zszedł ze mną na dół, zdobył się na rozmowę z tatusiem i nakłonił go, żeby coś z nią zrobił. Ale głowę dam, że się nie zgodzisz.

Giles przeczesał palcami włosy. Chciałby jej zrobić przyjemność. To jedyna osoba na świecie, której warto zrobić przyjemność. Ale wszystko ma swoje granice. Nawet ona nie może wymagać, żeby zrezygnował ze swoich zasad i sprzeciwiał się własnej naturze.

— Nie — odpowiedział, po czym zasmucony, krzywiąc się z żalu, powtórzył: — Nie, nie zrobię tego.

— Wariat — skwitowała Melindą i wybiegła z pokoju.

Rodzice byli w ogrodzie i w letnim zmierzchu robili dzienny bilans dokonań Jacqueline. W powietrzu unosił się ciężki, słodki zapach pierwszych kwiatów tytoniu.

— Kochani, tak sobie myślę, że powinniśmy chyba coś zrobić z biedną starą Parchlady, wziąć ją gdzieś, czymś ją zainteresować.

Macocha uśmiechnęła się powściągliwie. Pod pewnymi względami Jacqueline rzeczywiście mogłaby odgrywać rolę osy, w jakiej chciałby ją widzieć własny syn.

— Nie każdy tak się wszystkim przejmuje, jak ty — powiedziała.

— A w ogóle, Melindo, dość już chyba tej „Parchlady” — odezwał się George. — Nie jesteś już przetęcza nieznośną małą dziewczynką.

— Zbaczacie z tematu.

— Nic podobnego. Właśnie zastanawialiśmy się z Jackie nad całą tą sytuacją. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że panna Parchman jeszcze ani razu nie wychodziła z domu, ale przecież może nie wie, dokąd się wybrać, a poza tym bez samochodu to nie takie proste.

— Więc pożyczcie jej samochód! W końcu mamy dwa.

— Tak chcemy zrobić. Bo ona prawdopodobnie nie ma dość śmiałości, żeby nas o to poprosić. Moim zdaniem jest szalenie nieśmiała.

— Wiadomo, ucisk klasy posiadającej — stwierdziła Melinda.

Załatwienie sprawy wzięła na siebie Jacqueline.

— Nie umiem prowadzić — odpowiedziała Eunice. Do tego przyznawała się bez oporów. Dwie bowiem istniały tylko umiejętności, czytanie i pisanie, co do których wołała nie zdradzać się ze swoją

niekompetencją. Prawie nikt z jej dotychczasowego otoczenia nie prowadził samochodu, a na ulicy Tęczowej robienie prawa jazdy przez kobietę uważano za swego rodzaju dziwactwo. — Nigdy się nie uczyłam.

— Jaka szkoda! Chciałam właśnie powiedzieć, że chętnie pożyczę pani swój samochód. Doprawdy nie wiem, jak sobie pani poradzi bez jakiegoś środka transportu.

— Mogę jeździć autobusem. — Eunice wyobrażała sobie, że tutejszy piętrowy czerwony autobus jeździ wąskimi uliczkami równie często, jak osiemdziesiątka ósemka w Tooting.

— To niestety niemożliwe. Do najbliższego przystanku trzeba dojść ponad trzy kilometry, a poza tym autobus kursuje tylko trzy razy dziennie.

Podobnie jak przedtem George dostrzegł skazę u świetnej gospodyni, tak teraz Eunice poczuła, że na horyzoncie jej spokojnego życia ukazała się niewielka chmurka. Po raz pierwszy ktoś z Coverdale'ów zdradził chęć wprowadzenia w to życie jakichś zmian. Zaniepokojona czekała na następny krok; nie trwało to długo.

George, głowa rodu Coverdale'ów, dzierżył wśród nich prym, gdy chodziło o ingerencję w cudze sprawy. Podwładnych wzywano do jego biura, gdzie wysłuchiwali rad dotyczących ich pożycia małżeńskiego, długów hipotecznych lub też dalszego kształcenia dzieci. Pannie Meadows, Higgs czy Carter przywykły do tego, że George wstępował do ich domów, aby nakłonić je do wezwania specjalistów od zwalczania grzyba domowego albo zapytać, czy dany skrawek ziemi nie nadałby się przypadkiem pod uprawę jakichś warzyw. Pan Coverdale to taki miły człowiek, a ty go nie słuchasz. Za życia mojej babci sprawy inaczej wyglądały. Dziecię naprawdę był dziedzicem, ale te czasy minęły, i Bogu dzięki. George jednak nadal się wtrącał — dla dobra innych.

Tym razem postanowił odważnie wejść do jaskini lwa. Lew wyglądał bardzo potulnie, a zajęty był typowo kobiecą robotą: prasował jedną z frakowych koszul George'a.

— Słucham, proszę pana. — Starannie uczesane szarobure włosy i bawełniana suknia w biało-niebieską pepitkę.

Kobiety zawsze dbały o George'a, ale żadna z nich nie próbowała podjąć się zadania tak karkołomnego, jak wypranie, wykrochmalenie i wyprasowanie sztywnej męskiej koszuli. Dla George'a, jeżeli w ogóle się nad tym zastanawiał, czynności owe miały w sobie coś z misterium, a poza tym przypuszczał, że mogą być wykonywane jedynie w pralni, przez zmyślną maszynę. Uśmiechnął się z uznaniem.

— Widzę, że przeszkadzam ekspertowi w jego nad wyraz fachowej robocie. Dobrze to pani idzie, panno Parchman.

— Lubię prasować — odparła Eunice.

— Miło mi to słyszeć, ale nie sądzę, żeby lubiła pani to ciągle zamknięcie w Lowfield Hall. Właśnie o tym przyszedłem z panią porozmawiać. Żona mówi, że w swoim pracowitym życiu nie udało się pani znaleźć czasu na naukę prowadzenia samochodu. Czy tak?

— Tak — odpowiedziała Eunice.

— Rozumiem. Cóż, trzeba będzie jakoś temu zaradzić. Co by pani powiedziała na kurs jazdy? Z przyjemnością pokryję wszystkie koszty. Jesteśmy z pani zadowoleni i w zamian za to chcielibyśmy coś dla pani zrobić.

— Nie mogłabym się nauczyć prowadzić samochodu — odrzekła Eunice, jednocześnie myśląc intensywnie. Chwyciła się ulubionego wytłumaczenia: — Mam za słaby wzrok.

— Nie nosi pani okularów.

— Powinnam nosić. Czekam właśnie na nowe.

Z dalszej indagacji wynikało, że Eunice powinna używać okularów, że już w chwili przyjazdu do Greeving potrzebne jej były nowe, że po prostu zaniedbała sprawę i teraz nie jest w stanie przeczytać choćby numeru rejestracyjnego czy odcyfrować znaku drogowego, nawet w starych szklach. Musi niezwłocznie pójść do okulisty, zdecydował George; sam tego dopilnuje i zawiezie ją do Stantwich.

.— Trochę mam wyrzuty sumienia — przyznał się Jacqueline. — Biedna kobieta przez cały czas jest ślepa jak kret. Teraz, kiedy znamy już przyczynę, mogę ci powiedzieć, że jej rezerwa zaczyna mi już działać na nerwy.

W oczach Jacqueline zamigotało przerażenie.

— George, co też ty mówisz! Odkąd ona tu jest, moje życie zupełnie się zmieniło.

— Nic nie mówię, kochanie. Doskonale rozumiem, że ma bardzo krótki wzrok, a jest zbyt nieśmiała, żeby o tym powiedzieć.

— To śmieszne, ale prości ludzie wstydzą się wad fizycznych — stwierdziła autorytatywnie Jacqueline, która sama cierpiałaby katusze, nosząc szkła kontaktowe, i wolałaby wpadać na ściany niż chodzić w okularach. Oboje w pełni zadowalało odkrycie George'a, ale żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że na pół ślepej kobiecie trudno byłoby tak umyć okna, żeby błyszcząły jak kryształ, albo co wieczór oglądać przez trzy godziny telewizję.

W wieku czterdziestu siedmiu lat Eunice miała lepszy wzrok od siedemnastoletniego Gilesa. Siedząc w samochodzie obok George'a, zastanawiała się, co zrobić, gdyby koniecznie chciał razem z nią wejść do okulisty. Nie potrafiła wymyślić żadnej wymówki, która w razie czego pozwoliłaby jej tego uniknąć, niewielkie zaś doświadczenie życiowe nie nauczyło jej, że zamożni, konserwatywni panowie w średnim wieku nie towarzyszą zazwyczaj swoim służącym w średnim wieku podczas wizyt w gabinecie lekarskim. Tlił się w niej ponury, tępy gniew. Człowiek, który w swoim czasie próbował zatruć jej życie, doczekał się śmierci z poduszką na twarzy.

Humor poprawił się jej nieco na widok — wreszcie! — sklepów, owych dobrze znanych, wspaniałych skarbnic, utraconych, jak sądziła, na zawsze. Poczula się jeszcze raźniej, gdy się okazało, że George wcale nie zamierza wchodzić z nią do okulisty. Zostawił Eunice obiecując, że wróci za pół godziny, i nakazując, aby jemu wysłano wszelkie rachunki.

Kiedy samochód odjechał, Eunice skrzyła za róg i tam zobaczyła sklep ze słodyczami. Kupiła dwie czekoladki „Kit-Kat”, batonik „Mars” i torebkę sugusów, po czym weszła do barku. Zamówiła tam filiżankę herbaty, bułeczkę z rodzynekami i ekler czekoladowy, co stanowiło miłą odmianą po różnych *cassoulets*, liściach wina i wszystkich tych wymyślnych potrawach, które dostawała w Lowfield Hall. W ów sobotni poranek Eunice stanowiła wzór osoby godnej wszelkiego poważania, gdy tak siedziała przy stole wyprostowana, w granatowej garsonce z krempliny, nylonowych pończochach, czółenkach matki Annie Cole i w „niewidocznej” siateczce na włosach. Nikt by nawet nie przypuścił, że obmyśla gorączkowo sposoby oszustwa —

sposoby, na jakie bez najmniejszego trudu wpadłaby każda osoba umiejąca czytać i pisać, i wykazująca się współczynnikiem inteligencji 90. Jednakże plan przybrał w końcu realny kształt. Eunice weszła do drogerii po drugiej stronie ulicy i kupiła dwie pary okularów przeciwsłonecznych. Nie były ciemne, a tylko delikatnie przyciemnione — jedna para w przezroczystej niebieskiej oprawie, druga w imitacji szylkretu. Włożone do torebki, miały tam przez tydzień pozostać w ukryciu.

Coverdale'owie dziwili się trochę, że okulary będą gotowe tak prędko. Po odbiór Eunice przyjechała do Stantwich z Jacqueline, która na szczęście nie weszła z nią do optyka, gdyż podwójna żółta linia na jezdni nie zezwalała na parkowanie. A dość już się płaciło mandatów za Gilesa. Eunice znów kupiła sobie czekoladę i znów najadła się ciastek. Pokazała Jacqueline okulary i nawet zdobyła się na włożenie tych w niebieskiej oprawie. Czowała się w nich bardzo głupio. Miałyby je teraz stale nosić? Ona, która z odległości trzydziestu metrów odróżnia piórka na skrzydełku wróbla w sadzie? Poza tym, czy oni liczą na to, że zaczną czytać?

Nikt w gruncie rzeczy nie żyje tylko chwilą bieżącą. Eunice jednak różniła się pod tym względem od większości ludzi. Pięciominutowe spóźnienie z obiadem było dla niej w danym momencie bez porównania ważniejsze, niż jakaś wielka przykrość doznana przed dziesięciu laty; nad przyszłością zaś nigdy się nie zastanawiała. Teraz wszakże, mając już okulary — czasem nawet włożone na nos — coraz bardziej odczuwała wokół siebie istnienie słowa pisanego, na które w przyszłości być może będzie musiała kiedyś zareagować.

W Lowfield Hall pełno było książek. Eunice zdawało się, że jest ich przynajmniej tyle, co w bibliotece publicznej dzielnicy Tooting, do której zawitała jeden jedyny raz, oddając jakąś powieść przetrzymaną przez panią Samson. Eunice widziała książki jako małe, płaskie

pudełka z zawartością tajemniczą, a zarazem groźną. Cała ściana w saloniku zastawiona była regałami; w bawialni po obu stronach kominka stały wielkie oszklone szafy biblioteczne, prócz tego w dwóch bliźniaczych wnękach zainstalowano dodatkowe półki na książki. Książki leżały też na nocnych szafkach; pisma i gazety trzymano w specjalnych stojakach. A Coverdale'owie czytali bez przerwy. Eunice podejrzewała, że po prostu robią jej na złość, bo przecież nikt, nawet żaden nauczyciel, nie czytałby aż tyle dla przyjemności. Giles nie wypuszczał książki z rąk. Nawet do kuchni przynosił lekturę i opierając łokcie na stole pogrążał się w niej bez reszty. Jacqueline musiała znać każdą głośniejszą nową powieść, ponadto i ona, i George wracali do powieści dziewiętnastowiecznych; nierzadko — jakby dla podkreślenia wzajemnej bliskości — czytali coś Dickensa, Thackera czy George Eliot oboje równocześnie, aby później podyskutować razem o jakiejś postaci albo scenie. Jak na ironię, studentka filologii angielskiej najrzadziej brała książkę do ręki, lecz nawet Melindę często można było znaleźć w ogrodzie albo na podłodze w saloniku, leżącą z którąś z gramatyk Sweeta pod nosem. W jej przypadku jednak nie był tego przyczyną nałóg czytania, lecz ostrzeżenie opiekuna naukowego Melindy: „Jeśli w ogóle ma coś z tego być, jeszcze w tym semestrze musimy się ostro zabrać do zaimków staroangielskich”. Ale skąd Eunice miała o tym wiedzieć?

Przedtem była szczęśliwa, ale okulary zburzyły to szczęście. Na początku podobał jej się sam dom i różne śliczne w nim rzeczy, natomiast na Coverdale'ów zwracała tak niewiele uwagi, że niemal dla niej nie istnieli. Teraz nie mogła się doczekać chwili, kiedy wreszcie pojedą na wakacje, które od tak dawna planowali i o których bez przerwy się mówiło.

Coverdale'owie wszakże zamierzali wyruszyć dopiero w pierwszych dniach sierpnia, a jeszcze przed ich wyjazdem, który miał dać Eunice swobodę ruchu i działań, uwiecznionych poznaniem Joan Smith, spotkały ją trzy nieprzyjemności.

F"

Pierwsza sama przez się była drobnostką, doprowadziła jednak do sprawy, którą Eunice mocno się przejęła. W kuchni upadło jej jajko dla Geoffa Baalhama i rozbiło się na podłodze. Obecna przy tym Jacqueline powiedziała tylko: — Ale pech! — i Eunice błyskawicznie sprzątnęła. Niestety następnego dnia rano weszła na górę zrobić porządek w pokoju Gilesa — zawsze była to duża robota — i po raz pierwszy spojrzała na korkową ścianę. Dlaczego? Sama bardzo wiedziała, ale może wzięło się to stąd, że miała już narzędzie rzekomo niezbędne do czytania, była jak gdyby bardziej jeszcze uczulona na sztukę czytania, a w dodatku stała się świadoma obecności w domu przytłaczającej liczby książek. Na ścianie obok odrażającego plakatu wisiała jakaś notatka. Zaczynała się od „dlaczego”. Jeżeli słowo to było pisane drukowanymi literami, potrafiła je odczytać bez większych trudności. Potem było coś o jajkach. Giles najwyraźniej pisał z myślą o niej i miał do niej pretensję o zbitie jajka. Mniejsza o jego wymówki, ale co będzie, jeśli przełamie barierę milczenia — dotychczas w ogóle się do niej nie odzywał — i spyta: dlaczego? Dlaczego nie zareagowała na zadane jej na piśmie pytanie? Mógł o Wszystkim powiedzieć ojczymowi, więc ilekroć George spojrzał na nią, gdy nie nosiła okularów, czuła się, jakby ją ktoś przypiekał ogniem.

Wreszcie kartka została zdjęta, ale na jej miejscu natychmiast ukazała się nowa. Eunice zmartwiała na ten widok i przez następny tydzień wchodziła do Gilesa wyłącznie po to, żeby przykryć łóżko kocem i otworzyć okno. Owe świstki papieru budziły w niej takie przeżenie, jakim inna kobieta reagowałaby na obecność żmii w pokoju.

Była to jednak drobnostka w Porównaniu z trzecim nieprzyjemnym incydentem. Chodziło o kartkę Jacqueline, zastawioną pewnego ranka na stole kuchennym, kiedy Eunice słała właśnie na górę swoje łóżko. Po zejściu na dół przekonała się, że Jacqueline pojechała już do

Londynu. Miała tam odwiedzić Paulę, ostrzyć się u fryzjera i kupić coś z ubrania na wakacje.

Jacqueline już przedtem zostawiała Eunice polecenia na piśmie i dziwiła się, dlaczego panna Parchman, taka zawsze posłuszna, zupełnie ich nie respektuje. Wszystko jednak tłumaczył fakt, że Eunice źle widzi. Ale teraz miała już okulary. Nie znaczyło to wcale, że je nosiła. Leżały na górze, wepchnięte na dno torby z włóczką. Wpatrywała się w notatkę, która znaczyła dla niej tyle samo, co dla Jacqueline znaczyłaby wiadomość napisana po grecku — dokładnie tyle samo, bo Jacqueline była w stanie rozpoznać alfę, omegę i pi, a Eunice potrafiła odczytać niektóre duże litery czy poszczególne jednosylabowe wyrazy. Jednakże łączenie ich ze sobą, odszyfrowywanie dłuższych słów czy w ogóle czegoś bardziej skomplikowanego, przekraczało jej umiejętności. W Londynie miała do pomocy Annie Cole. Tutaj był tylko Giles, który wyszedł właśnie przez kuchnię w nadziei, że uda mu się zabrać jakąś okazją do Stantwich, tam pokręcić się po sklepach, a popołudnie przesiedzieć w ciemnym kinie. Na Eunice nawet nie spojrział, a ona wolałaby umrzeć niż poprosić go o pomoc.

Nie był to też dzień, kiedy przychodziła Ewa Baalham. A może najlepiej by zgubić tę kartkę? Pomysłowość nie była mocną stroną Eunice. Już samo wytłumaczenie panu Coverdale'owi, że rachunek od optyka nie przyszedł dlatego, iż ona go zapłaciła, bo lubi być niezależna i nie chce się czuć zobowiązana, wyczerpało jej skromne możliwości intelektualne.

Naraz weszła Melinda.

Eunice zupełnie zapomniała, że dziewczyna jest w domu. Nie mogła się jakoś przyzwyczaić do tych młodych, co już od czerwca spędzali wakacje w domu. Melinda idąc tanecznym krokiem, boso, zjawiała się w południe — śliczna, hoża Melinda w przyciasnych dżinsach i koszulce z myszką Miki; jasne włosy miała zaplecione w dwa warkoczyki niby mała Holenderka. Było słonecznie, wiał wiatr, cała

kuchnia lśniła od rozedrganych, tańczących promieni słońca; Melinda wraz z dwoma chłopcami i jeszcze jedną dziewczyną wybierała się właśnie nad morze furgonetką pomalowaną na pomarańczowo i fioletowo. Wzięła do ręki kartkę i przeczytała ją na głos.

— Cóż to jest? „Czy w wolnej chwili byłaby pani tak uprzejma i uprasowała moją żółtą jedwabną garsonkę, tę z plisowaną spódnicą? Chciałabym włożyć ją dziś wieczorem. Jest w mojej szafie gdzieś na górze po prawej stronie. Z góry dziękuję, J. C.” To pewnie do pani, panno Parchman. A czy przy okazji nie uprasowałaby pani też mojej czerwonej spódnicy? Dobrze?

— Naturalnie, to żaden kłopot — odparła szeroko uśmiechnięta Eunice, której ciężar spadł z serca.

— Pani jest kochana — zakończyła rozmowę Melinda.

Sierpień zaczął się falą upałów i pan Meadows, którego grunta graniczyły z posiadłością George'a, rozpoczął zbiór pszenicy. Nowy kombajn wyrzucał sprasowaną słomę, która wyglądała jak plastry rolady. Melinda wraz z kobietami z miasteczka zbierała w wiśniowych sadach owoce, Giles powiesił nowy Cytat Miesiąca, znów z Samuela Butlera, Jacqueline plewiła ogród i tam wśród cynii natknęła się na bieluń, roślinę piękną, choć trującą, z pojedynczym białym kwiatem w kształcie trąbki. Aż wreszcie nadszedł czas wyjazdu, siódmy sierpnia.

— Przyślę pani pocztówkę — obiecała Melinda, przypominając sobie, jak się jej to od czasu do czasu zdarzało, że do niej właśnie należy podtrzymywanie starej Parchlady na duchu.

— Wszystkie numery i adresy, które mogą być pani potrzebne, są w książce telefonicznej kolo aparatu. — Ta informacja pochodziła od Jacqueline, George zaś dodał: — W razie czego może pani zawsze wysłać telegram.

Gdyby tylko wiedzieli, jak bezużyteczne są te wszystkie wskazówki.

Eunice odprowadziła ich do bramy, przez cały czas mając na nosie swoje niebieskie okulary; zapobiegła w ten sposób ewentualnym dobrem radom. Było wcześniej i nad Greeving unosiła się lekka mgiełka, zmieszana z dymem, gdyż pan Meadows palił właśnie ścierńska na polach. Eunice nie zatrzymała się, żeby podziwiać olbrzymie liliowe dalie, pokryte kropelkami rosy, albo posłuchać ostatniego przed odlotem kukania kukułki. Szybko weszła do domu, żeby jak najprędzej móc się zająć tym, na co tak niecierpliwie czekała.

Nie wchodziło tu bynajmniej w grę zaniedbywanie domu, toteż Eunice odbyła cały piątkowy rytuał, do którego przybyło jeszcze kilka dodatkowych zajęć. Eunice zdjęła bowiem bieliznę pościelową, powyrzucała z wazonów kwiaty — mniej lub bardziej zwiędłe, a w każdym razie denerwujące przez te śmiejące wszędzie płatki — i pochowała, najlepiej jak się dało, wszystkie książki, pisma i gazety. Regały najchętniej okryłaby prześcieradłami, ale to byłby już dowód szaleństwa, a przecież Eunice nie była obłąkana.

Potem ugotowała sobie obiad. Coverdale'owie nazwaliby go lunchem, bo była dopiero godzina pierwsza. Nie mieli się dowiedzieć, jak strasznie ich gospodyni tęskniła za dobrym, solidnym, gorącym posiłkiem w środku dnia. Eunice usmażyła (właśnie usmażyła na tłuszczu, nie upiekła na ruszcie) wielki stek wyjęty z zamrażarki, to samo zrobiła z ziemniakami, natomiast jako dodatki ugotowała fasolkę szparagową, marchew i pasternak. W następnej kolejności był pudding jabłeczny z sosem wanilinowym, herbatniki, ser i mocna herbata. Umyła naczynia, wytarła je i odstawiła na miejsce. Rada była, że może nie używać maszyny do zmywania. Zawsze przykra jej była myśl, że brudne talerze, tłuste albo całe w okruchach, tkwią tam przez cały dzień — chociaż drzwiczki były zamknięte i naczyń w ogóle się nie widziało.

Pani Samson mawiała zwykle, że kobiecej robocie nigdy nie ma końca. Ale tego dnia najgorliwsza nawet gospodyni nie znalazłaby już w Lowfield Hall nic do zrobienia. O zdjęciu zasłon w saloniku Eunice pomyśli jutro, ale nie dzisiaj, nie teraz. Teraz czym prędzej na górę, do telewizora, do niczym nie zakłóconej orgii oglądania!

Siódmy sierpnia miał być odnotowany jako najgorętszy dzień roku. Temperatura podniosła się do dwudziestu, potem do dwudziestu sześciu stopni, aby o wpół do trzeciej osiągnąć trzydzieści. Mieszkancki Greeving przerwały robienie dżemów, powychodziły na dwór i opalały się na kuchennych schodkach swoich domów; teren za jazem na rzeczce Beal zamienił się w basen pływacki dla małych Higgsów i Baalhamów; psy w obejściach wywiesiły języki; pani Cairne zapomniała o skromności i rozłożyła się w kostiumie bikini na frontowym trawniku; Joan Smith przytrzymała pudełkiem herbatników dla psów drzwi swojego sklepu, żeby się nie zamykały, a sama wachlowała się packą na muchy. Eunice jednak poszła na górę, zaciągnęła zasłony i w błogim zadowoleniu, z drutami w rękę, usadowiła się przed ekranem. Do absolutnego szczęścia brakowało jej tylko tabliczki czekolady, ale niestety owe kupione w Stantwich zjadła już dawno temu.

Najpierw sport. Jedni pływali, inni biegali wokół stadionów. Potem odcinek serialu o ludziach, jakich Eunice mogłaby znać z ulicy Tęczowej, następnie program dla dzieci, dziennik, prognoza pogody. Wiadomości nigdy jej specjalnie nie interesowały, a jaka jest pogoda i jaka będzie następnego dnia, każdy sam przecież widział. Zeszła na dół, żeby przynieść sobie kanapki z dżemem i paczkę lodów czekoladowych. O ósmej miał się zacząć program, który w całym tygodniu lubiła najbardziej: serial o policjantach z Los Angeles. Trudno orzec, dlaczego Eunice aż tak bardzo za nim przepadała. Z pewnością mieszła tu szyki zwolennikom teorii eskapizmu, którzy twierdzą, że widz musi się z kimś utożsamiać. Eunice wcale się nie utożsamiała — ani z młodym porucznikiem policji czy jego dwudziestoletnią przyjaciółką — blondynką, ani z gangsterami, milionerami, gwiazdami filmowymi,

prostytutkami, hazardzistami czy pijakami, od których roiło się w każdym odcinku. Może lubiła po prostu zwięzłe, ostre dialogi, nieunikniony pościg samochodowy i nieodzowną strzelaninę. Irytowało ją niepomiernie, jeśli musiała opuścić któryś epizod, a niestety do-tychczas często bywała do tego zmuszana, gdyż Coverdale'owie, jak- by jej na złość, przeznaczali na przyjmowanie gości akurat piątkowe wieczory.

Tym razem nikt nie mógł jej przeszkodzić. Odłożyła druty, żeby się lepiej skoncentrować. Zapowiadał się dobry odcinek, o czym świadczyły już wstępne sceny: trup w ciągu pierwszych dwóch minut, pościg ulicami miasta w następnych pięciu. Samochód rewolwerowca roztrzaskał się, stając niemal dęba przy latarni. Drzwiczki się otworzy- ły, bandyta wyskoczył i strzelając przebiegł przez ulicę. Ciągnął przed sobą jakąś przerażoną dziewczynę niby tarczę ochronną, schronił się na ganku przed kulami policjantów, ponownie wycelował... Nagle dźwięk przycichł, obraz zaczął maleć, kurczyć się, aż pośrodku ekranu zbiegł się w jedno miejsce, jak czarna woda ściekająca do spływu. To miejsce błyszczało jak gwiazda, niewielka, jarząca się plamka świetl- na, która w końcu znikła zupełnie.

Eunice wyłączyła telewizor i włączyła go raz jeszcze. Nic to nie dało. Pomajstrowała gałkami na przodzie, a nawet tymi z tyłu, których podobno nie wolno było ruszać. Nic. Rozkręciła wtyczkę i sprawdziła, czy druty są na swoim miejscu. Wykręciła bezpiecznik i zastąpiła go innym, wziętym z nocnej lampki.

Obrazu wciąż nie było, choć teraz ekran stał się jakby lustrem, odbijającym zbielałą twarz Eunice i rozżarzony zachód słońca, który przenikał przez szparę w zaciągniętych storach.

Przez myśl jej nigdy nie przeszło, że mogłaby skorzystać z kolorowego telewizora w saloniku. Wiedziała, że jest używany, ale przecież należał do tamtych. Eunice Parchman odznaczała się pewną szczególną cechą charakteru: otóż choć nie cofnęła się przed morderstwem ani przed szantażem, nigdy w życiu nic nie ukradła, a nawet nie pożyczyła bez zgody właściciela. Przedmioty, podobnie jak całe dziedziny życia, przydzielone były określonym ludziom, z góry im przeznaczone. Eunice, nie różniąc się tu od George'a, była zwoleńniczką ustalonego i nienaruszonego porządku rzeczy.

Przez pewien czas łudziła się, że telewizor naprawi się sam i zacznie działać równie nagle, jak się zepsuł. Ale przy każdym włączeniu ekran pozostawał głuchy i niemy. Eunice wiedziała, naturalnie, że kiedy cokolwiek nie funkcjonuje jak należy, posyła się po człowieka, który temu zaradzi. W Tooting szło się do sklepu żelaznego albo do punktu napraw elektrycznych. Ale tutaj? Mając tylko telefon, spis nazwisk i numerów nie do rozszyfrowania i bezużyteczną, niezrozumiałą książkę telefoniczną?

Sobota, niedziela, poniedziałek. Był mleczarz, poza tym Geoff Baalham przywiózł jajka. Ich nie ma co pytać — poradzą jej, żeby w książce znalazła taki a taki numer. Była okrutnie znudzona i zawiedziona. Nie miała sąsiadów, z którymi mogłaby spędzić dzień, nie było ruchliwej ulicy, którą mogłaby obserwować, ani autobusu, ani herbaciarni. Zdjęła zasłony, wyprała je i wyprasowała, umyła wszystko, co było pomalowane na olejno, wyczyściła na mokro dywany — cokolwiek, byle spędzić jakoś te wlokące się, uciążliwe, nieznośne godziny.

Ewa Baalham przyszła w środę i to ona odkryła, co się stało; po prostu spytała Eunice, czy poprzedniego wieczora oglądała boks. Spytała, żeby coś powiedzieć, bo rozmowy z panną Parchman miały to do siebie, że w najlepszym razie przebiegały opornie.

— Zepsuł się? — zainteresowała się Ewa. — W takim razie trzeba go zreperować. Mój kuzyn Meadows ma sklep elektryczny w Sudbury, on to może zrobić. Coś pani powiem: odłożę czyszczenie tych sreber do piątku i zaraz do niego zadzwonię.

Długa rozmowa prowadzona była z jakimś Rodge; Ewa pytała najpierw o Doris i mamunię, potem o „chłopca” i „dziewuszkę” (ci ostatni to młode małżeństwo z dwójką własnych dzieci), aby wreszcie uzyskać przyrzeczenie pomocy.

— Mówi, że zajrzy, jak tylko zamknie budę.

— Mam nadzieję, że nie będzie musiał go zabierać — odezwała się Eunice.

— Z tymi starymi gratami nigdy nic nie wiadomo. Na razie będzie musiała pani wystarczyć gazeta.

Umiejętność czytania mamy we krwi. Świadczy o tym co drugie nasze słowo. Prawie nie sposób wyobrazić sobie prawdziwej rozmowy — w odróżnieniu od wymiany poleceń z jednej strony i potakiwań z drugiej — w której nie czyni się jakiegoś odniesienia do słowa drukowanego albo w której nie dają o sobie znać następstwa przeczytania jakiegoś tekstu.

Przyszedł Rodge Meadows i okazało się jednak, że musi zabrać telewizor.

— Może to potrwać dwa dni, a może i tydzień. Jak nie będzie wiadomości od cioci Ewy, niech, pani zadzwoni. Numer jest w książce.

W dwa dni później, w opuszczonym, cichym i przepojonym nudą Lowfield Hall Eunice poczuła naraz jakiś przymus wewnętrzny. Nie mając pojęcia, dokąd iść ani jaki jest powód jej wyprawy, zorientowała się, że zmienia biało-niebieską suknię w pepitkę na garsonkę z krempliny i po raz pierwszy zamierza samodzielnie wyruszyć w świat.

Pozamykała wszystkie okna, zarygłowała frontowe drzwi, zamknęła na klucz pokój myśliwski i pomaszzerowała w kierunku bramy. Był czternasty sierpnia. Gdyby telewizor się nie popsuł, nigdzie by w ogóle nie poszła. Oczywiście prędzej czy później, na skutek własnego impulsu wewnętrznego czy też wysiłków państwa Coverdale, musiałyby wyjść z domu, ale wybrałyby się wieczorem albo w jakieś niedzielne popołudnie, kiedy to „Urząd Pocztowy w Greeving oraz Sklep Wiejski, właśc. N. Smith” były zamknięte. Gdyby... Gdyby umiała czytać, telewizja mogłaby mieć dla niej nie mniejszy urok, tyle że już w sobotę rano Eunice odszukałaby w książce telefonicznej numer odpowiedniego fachowca i we wtorek, a najdalej w środę miałyby telewizor z powrotem. Rodge oddał go zresztą w sobotę, ale było już za późno: co się miało stać, już się stało.

*

Nie miała pojęcia, dokąd idzie. Nie było też pewne, czy w ogóle zmierza do Greeving, zaraz bowiem skręciła i po niespełna trzech kwadransach znalazła się w oddalonym o trzy kilometry Cocklefield St. Jude. Z ogromnym kościołem, ale za to pozbawione sklepu, Cocklefield St. Jude niewiele było większe od wioski. Eunice doszła do skrzyżowania. Drogowskaz nic jej nie mówił, a jednak nie bała się, że zabłądzi. Na ostrzyżoną owieczkę Pan Bóg ciepłym chucha; podobnie było z Eunice, która jakby w zamian za swe osobliwe nieprzystosowanie otrzymała dar orientacji, niemal tak dobrej jak u zwierzęcia. Zeszła tedy ze skrzyżowania, zapuszczając się w wąską drogę, która poprowadziła ją ciasnym przesmykiem, jakby aleją trzymetrowej szerokości, nad którą zwieszało się ciemne, późnoletnie listowie jesionów i dębów i na której dwa samochody nie były w stanie się wyminąć, chyba że jeden wjechał głęboko w żywopłot.

Eunice pierwszy raz w życiu znalazła się w takim miejscu. Krowa, przypominająca wielkie białe widmo, wystawiła nad żywopłotem

łeb i zaryczała na przechodzącą Eunice. Na słonecznej polance, w miejscu, gdzie między drzewami tworzyła się niewielka luka, bażant — trzepocący skrzydłami, cały złocistokasztanowy i jaskrawozielony — kołysząc się przeciął jej drogę. Nie zatrzymała się. Trochę przestraszona, ale nieugięta, szła dalej z podniesioną głową, pewna obranego kierunku.

Wreszcie Greeving i samo serce miasteczka, bo oto alejka wyprowadziła ją wprost na „Błękitnego Dzika”. Eunice skręciła w prawo, minęła szereg domków zamieszkałych przez rozmaitych Higgsów, Newsteadów i Carterów, potem niewielką posiadłość w stylu georgiańskim, należąca do pani Cairne, następnie nie rzucającą się w oczy, skromnie urządzoną i pozbawioną neonu stację benzynową, którą prowadził Jim Meadows, aby na koniec znaleźć się na trójkątnym trawniczku przed Sklepem Wiejskim.

Sklep miał dwa okna wystawowe i przerobiony został z przestronnego parteru bardzo starego wiejskiego domku, którego ścianą szczytową był mur pruski, dach natomiast aż się prosił o nową strzechę. Za sklepem znajdował się ogród, schodzący łagodnie do brzegu rzeki Beal, która w tym miejscu skręcała i oddalając się od łąk biegła pod mostem Greeving. Obecnie Sklep Wiejski w Greeving prowadzą z powodzeniem państwo Mannowie, ale w tamtym okresie dwie ogromne wystawy prezentowały jakieś zakurzone pudełka płatków, owoce w puszkach oraz kosze przywiedłych pomidorów i kapusty. Eunice zbliżyła się do jednej z wystaw i zajrzała do środka. W sklepie było pusto. Pustkami świeciło tu często, gdyż Smithowie, z konieczności oferując niewielki wybór towarów, ceny wyznaczali dość wysokie. Mieszkańcy Greeving, którzy mieli samochody, woleli domy towarowe w Stantwich i Nunchester, u Smithów natomiast korzystali tylko z usług poczty.

Eunice weszła do środka. Po lewej stronie sklep przeznaczony był do samoobsługi i chodziło się tu z metalowym koszykiem. Po prawej

mieścił się typowy kantor oddziału pocztowego z zakratowanym okienkiem, obok którego wyłożono słodczyce i papierosy. Kiedyś działał dzwonek, który odzywał się przy każdym otwarciu drzwi, ale od dawna był zepsuty, a Smithowie nie zadbali o jego naprawę. Dlatego też nikt nie słyszał, jak Eunice weszła. Z zainteresowaniem oglądała półki, zwracając uwagę na obecność wielu artykułów poznanych w czasie wypraw po zakupy do południowych dzielnic Londynu. Ale przecież nie umiała czytać! Jednakże czy tak naprawdę odczytujemy na paczce czy puszcze/ nazwę produktu lub producenta? Bez względu na to, czy ktoś jest profesorem etymologii, czy też analfabetą, każdy kieruje się kolorem, kształtem i obrazkiem.

Eunice od miesiąca nie miała w ustach nic słodkiego. W tej chwili jej największym marzeniem było zdobycie pudełka czekoladek. Podeszła więc do lady z lewej strony okienka kasowego i po kilku chwilach próżnego oczekiwania chrząknęła. W odpowiedzi otworzyły się drzwi zaplecza sklepowego i oczom Eunice ukazała się kobieta nieco od niej starsza.

Joan Smith skończyła właśnie pięćdziesiąt lat; była chuda jak zagłodzony ptaszek, kości miała jak zapałki, pokryte przezroczystą, jakby gęsią skórką. Włosy jej były tego samego koloru, co Jacqueline Coverdale; przy czym, rzecz jasna, obydwie za pomocą sztucznych środków starały się uzyskać naturalny złocisty odcień włosów Melindy. Jacqueline osiągnęła lepsze wyniki, bo mogła wydać na ten cel więcej pieniędzy. Fryzura Joan Smith, połyskująca i sztywna jak drut, nasuwała porównanie z żółtymi metalowymi zmywakami, które leżały na półkach sklepu. Miała niestaranie umalowaną twarz, ręce czerwone, szorstkie, zaniedbane. Przenikliwym głosem — a mówiła cockneyem z pretensjami do elegancji i przypominała tym trochę Annie Cole — zapytała Eunice, czym może jej służyć.

Po raz pierwszy obie kobiety popatrzyły na siebie — małe niebieskie oczy napotkały ostre spojrzenie oczu szarych.

— Proszę o półkilogramowe pudełko „Czarnej Magii” — powiedziała Eunice.

Ileż to tysięcy ludzi, których los połączył ze sobą wspólnotą namiętności, cierpień, zysków czy nieszczęść, rozpoczęło znajomość od takich właśnie banalnych słów?

Joan wyciągnęła czekoladki. Zachowywała się jak młoda, zwawa panienka, sposób bycia miała kokieteryjny, nieco filuterny. Nie potrafiła ot tak podać towaru i wziąć za niego pieniędzy. Musiała najpierw wykonać kilka wdzięcznych gestów, uśmiechów, mały podskok, przy którym omal nie zgubiła pantofli, a wszystko z przechyloną figlarnie głową. Nawet wobec religii miała równie poufały, wesoły stosunek. W Bogu widziała przyjaciela, który, choć bezlitosny dla zatwardziały grzeszników, dla wybranych jest wyrozumiały i serdeczny; trochę jak kompan, którego można zabrać do kina, pośmiać się tam z nim razem, a potem miło spędzić czas nad filiżanką herbaty.

— Osiemdziesiąt pięć pensów, miła pani — powiedziała Joan. Wybiła sumę w kasie, zerkając na Eunice z szelmowskim uśmiechem. — A jak tam ich wakacje, czy może nic jeszcze pani nie wie?

Eunice była zdumiona. Nie wiedziała i właściwie nie miała się już nigdy dowiedzieć, jak niewiele spraw da się utrzymać w tajemnicy w małym angielskim miasteczku. Nie dość, że wszyscy w Greeving orientowali się doskonale, dokąd i kiedy Coverdale'owie pojechali, kiedy wracają i ile mniej więcej ma kosztować ich podróż, ale także wiadomo im było, że tego popołudnia Eunice pierwszy raz odwiedziła Greeving. Dostrzegli ją Nellie Higgs i Jim Meadows, wiadomość od razu poszła w świat, toteż zjawienie się Eunice i cel jej spaceru jeszcze tego wieczora miały być omawiane w „Błękitnym Dzikim”, stając się przedmiotem wielorakich domysłów. Ale dla Eunice z cudem wprost graniczył fakt, że Joan Smith ją poznała i wiedziała, gdzie pracuje. Nappełniło ją to swego rodzaju zbożnym podziwem. Stąd wzięło

swój początek jej bezgraniczne zaufanie do Joan, a następnie przeświadczenie, że Joan zawsze ma rację.

Wtedy jednak odpowiedziała tylko: — Nic nie wiem.

— Pewno jeszcze za wcześnie. Przyjemnie jest wyrwać się tak na trzy tygodnie, prawda? Miejmy nadzieję, że będą zadowoleni. W końcu to taka miła rodzina, no nie? Pan Coverdale jest, jak powiadam, prawdziwym dżentelmenem w dawnym stylu, a ona wygląda na prawdziwą damę. Kto by pomyślał, że ma czterdzieści osiem lat, co?

W ten sposób Joan, powodowana jedynie złośliwością, dodała biednej Jacqueline sześć lat. W istocie nie cierpiała Coverdale'ów, ponieważ nigdy nie kupowali w jej sklepie, a w dodatku słyszano, jak George krytykował złe funkcjonowanie poczty. Nie zamierzała jednak zdradzać się z tym przed Eunice, dopóki nie pozna jej zdania.

— Ma pani szczęście, że może pani u nich pracować, ale z tego, co słyszałam, i dla nich to szczęście, że mają panią.

— Czy ja wiem — odparła Eunice.

— Skromna pani, rozumiem. Wróble na dachu ćwierkają, że Hall nigdy jeszcze nie był taki wychuchany. Pewnie, że to co innego po tym, jak stara Ewa przez tyle lat robiła wszystko aby zbyć. Ale nie czuje się pani tam osamotniona?

— Mam telewizję — wyjaśniła Eunice, rozkręcając się trochę — a poza tym roboty nigdy nie brakuje.

— Racja. Sama padam na nos, wciąż trzeba biegać. Nie chodzi pani do kościoła? Na pewno nie, bo zauważyłabym, gdyby pani była ze swoimi państwem u Najświętszej Marii Panny.

— Nie jestem wierząca. Jakoś nigdy nie miałam czasu.

— Ależ pani nie wie, co traci! — powiedziała Joan kaznodziej-skim tonem, grożąc jednocześnie palcem. — Proszę jednak pamiętać,

że nigdy nie jest za późno. Cierpliwość Pańska jest niewyczerpana, a każdy gość zawsze przyjęty będzie do wspólnego stołu. Pan Bóg zsyła nam cudowną pogodę, prawda? A już szczególnie tym, co nie muszą wypruwać flaków, służąc innym.

— Muszę iść — oznajmiła Eunice.

— Szkoda, że Norm zabrał furgonetkę, bobym panią odwiozła. — Joan podeszła wraz z Eunice do drzwi i odwróciła w stronę ulicy tabliczkę z napisem „Zamknięte”. — Zabrała pani swoje czekoladki? W porządku. I niech pani pamięta, że jak tylko będzie pani miała wolną chwilę, ja zawsze tu jestem. Proszę się nie bać, że mi pani przeszkodzi. Dla przyjaciół zawsze się znajdzie filiżanka herbaty i dobre słowo.

— Postaram się — odpowiedziała enigmatycznie Eunice.

Joan wesoło pomachała jej ręką. Eunice przeszła przez most i ruszyła białą aleją w kierunku Lowfield Hall. Wyjęła pudełko czekoladek z papierowej torebki, wyrzuciła torebkę na drugą stronę żywopłotu i schrupała jedną z pomarańczowych pralinek. Była nawet zadowolona z odbytej pogawędki. W obecności takich ludzi jak Joan Smith czuła się najlepiej, chociaż napomknienie o zabraniu jej do kościoła miało posmak wtrącania się w sprawy osobiste. Jednakże ta rozmowa podziałała na Eunice dziwnie kojąco. Otóż nie było w niej choćby najmniejszej wzmianki o słowie pisanym ani o niczym, co by miało z nim jakikolwiek związek.

Mimo to jednak Eunice — mającej już telewizor całkiem jak nowy — nie przyszłoby wcale do głowy starać się o spotkanie z Joan Smith, gdyby Joan Smith nie przyszła do niej pierwsza.

W przeciwieństwie do Eunice, tak obojętnej na otoczenie, ową ptasią figurkę o promiennych włosach i promiennym usposobieniu pożerała wprost ciekawość, jacy też są ci wszyscy otaczający ją ludzie. Zdradzała także pewne szczególne objawy paranoi. Przekonana

była mianowicie, że Bóg podziela wszystkie jej uczucia i poglądy. Kobiecie wierzącej nie wolno być niemiłosierną, toteż rzadko dawała upust swej niechęci do ludzi w formie zwykłej złośliwej plotki. To nie ona doszukiwała się w nich wad i nienawidziła ich za nie, to Bóg; Bóg, któremu jej zdaniem wyrządzali krzywdę. Do mnie należy pomsta, ja wymierzę zapłatę, mówi Pan. Joan Smith była ledwie jego pokornym acz energicznym narzędziem.

Już dawno pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o Lowfield Hall i o życiu jego mieszkańców; to znaczy więcej, niż pozwalało jej na to otwieranie nad parą ich korespondencji. Teraz nadarzała się świetna okazja. Poznała Eunice, wstępna z nią pogawędka wypadła całkiem nieźle, a w dodatku nadeszła pocztówka z Krety, pocztówka od Melindy Coverdale, adresowana do panny E. Parchman. Joan nie dołączyła jej do zawartości torby listonoszki i w poniedziałek sama zaniósła ją do Lowfield Hall.

Na widok pocztówki Eunice zdziwiła się i mocno speszyła. Cofnęła się, jakby to był żądzący owad, i wymamrotała swoją tradycyjną wymówką:

— Bez okularów nic nie odczytam.

— Nie chcę być niedyskretna, ale może ja pani przeczytam? „Tu jest cudownie. Prawie trzydzieści stopni w cieniu. Zwiedzaliśmy pałac w Knossos, gdzie Tezeusz zabił Minotaura. Do zobaczenia wkrótce. Melinda". Jak miło. Co to za Tezeusz? Kto to? Ciekawe. Musiałam przegapić w gazecie. Tam za granicą bez przerwy się biją i zabijają, prawda? Jaka piękna kuchnia! Ale też ją pani utrzymuje! Można by jeść z podłogi.

Uspokojona i zadowolona z pochwały, Eunice na tyle przyszła do siebie, żeby powiedzieć: — Miałam właśnie nastawić czajnik...

— Nie, nie, dziękuję, nie mogę zostać dłużej. Norman jest sam w sklepie. Proszę, napisała tak po prostu: „Melinda”. Będę jej bronić, bo nie jest snobką, chociaż robi i takie rzeczy, których Pan Bóg nie pochwała u swoich służebnic. — Ostatnie słowa Joan wypowiedziała bez wahania, tonem osoby dobrze poinformowanej, zupełnie jakby Pan Bóg wpadł do niej na pogaduszki i wyraził swoją opinię na ten temat. Przez otwarte drzwi zajrzała do korytarzyka. — Przestronnie, co? A czy wolno rzucić okiem na salon?

— Jeśli pani chce — odparła Eunice. — Ja nie mam nic przeciwko temu.

— Oni też by pozwolili. Tu w miasteczku wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Poza tym, jako że sama nie jestem bez grzechu, nie zamierzam się wywyższać ponad tych, co nie odnaleźli jeszcze właściwej drogi. Nigdy nie usłyszysz pani ode mnie: „Dzięki Bogu nie jestem taka jak niektórzy mężczyźni”, nawet gdyby chodziło o naszego właściciela baru. Wspaniale urządzone, co? I w najlepszym guście.

Skończyło się na tym, że Joan została oprowadzona po Lowfield Hall. Eunice, speszona trochę jej mądrymi przemowami, chciała pokazać, co sama potrafi. Joan nagradzała ją co chwila okrzykami zachwytu. Obie niestety posunęły się nawet trochę za daleko, gdyż Eunice otworzyła także szafę Jacqueline, aby pokazać jej suknie wieczorowe. W pokoju Gilesa Joan przyjrzała się dokładnie korkowej ścianie.

— Ekscentryczne — stwierdziła.

— To jeszcze chłopiec — odrzekła Eunice.

— Okropne ma te krosty, strasznie go szpecą. Wie pani, naturalnie, że jego ojciec jest w zakładzie dla alkoholików? — Eunice nie wiedziała, podobnie jak nie wiedział o tym nikt, nie wyłączając samego Jeffrey'a Monta. — Rozwiódł się z nią, a pan Coverdale był współpозwanym, chociaż od śmierci jego żony minęło ledwie pół roku. Nie

potępiam nikogo, ale czytam przecież Biblię. „Albowiem kto poślubia kobietę rozwiedzioną, dopuszcza się cudzołóstwa”. Po co on przypiął tę kartkę?

— Zawsze tu wisi — odrzekła Eunice. Czyżby miała się wreszcie dowiedzieć, z czym Giles zwracał się do niej w tej notatce?

Dowiedziała się.

Zdumiona i oburzona Joan przeczytała piskliwym głosem:

— „Mówiąc o swojej chorej żonie, pewien przyjaciel Warburga powiedział: «Jeśli Pan Bóg zechce powołać do siebie jedno z nas, ja zamieszkać w Paryżu»”.

Ów cytat z Samuela Butlera nie miał żadnego związku z przeżyciami chłopca, ale po prostu podobał się Gilesowi, który za każdym razem, gdy czytał te słowa, śmiał się serdecznie.

— Obraza boska — powiedziała Joan. — Pewnie to coś z programu szkolnego. Wielka szkoda, że tych nauczycieli tak niewiele obchodzi zbawienie duszy.

A więc miał to zadane w szkole. Eunice poczuła naraz szczerą sympatię do Joan Smith, którą najwyraźniej zesłał jakiś dobry duch, aby oświecała i uspokajała swoją nową znajomą.

— Ale teraz nie odmówi mi pani filiżanki herbaty? — spytała. Znów były w kuchni, gdy już i dywan, i łazienka, i telewizor zostały z podziwem obejrzane (choć zdaniem Joan telewizor był nie dość dobry dla tak znakomitej gospodyni, jak Eunice, omalże członka rodziny).

— Powinnam, bo przecież Norman został tam samiuteńki, ale skoro mnie pani zmusza...

Joan Smith siedziała jeszcze całą godzinę; przez ten czas opowiedziała Eunice moc zmyślonych, kłamliwych plotek o prywatnym życiu Coverdale'ów i bez powodzenia usiłowała wyciągnąć od gospody-

ni jakieś szczegóły o niej samej. Eunice jednak niewiele bardziej była rozmowna, niż podczas pierwszego spotkania. Nie miała zamiaru zwierzać się nawet tej życzliwej przecież kobiecie, jak to było z mamą i tatą, z ulicą Tęczową i ze sklepem ze słodyczami; nie, postąpiłaby wbrew sobie. Nie była też przygotowana na to, aby w najbliższą niedzielą wybrać się z Joan do Nunchester na jakieś modły w parafii. Tego tylko brakowało, żeby miała zamienić nadawany w niedziele wieczorem serial szpiegowski na hymny z bandą dziwaków.

Joan wcale się nie obraziła.

— Cóż, dziękuję w takim razie za tę cudowną tajemną wycieczkę po domu i za pani gościnność. A teraz muszę już jechać, bo Norman będzie przekonany, że miałam wypadek.

Na samą myśl o niepokoju męża roześmiała się wesoło, po czym odjechała furgonetką; jeszcze na końcu podjazdu wołała:

— Do miłego!... Do miłego zobaczenia!

9

We wzajemnych stosunkach Eunice Parchman i Joan Smith nie było nic z miłości lesbijskiej. Obie kobiety nie przypominały wcale siostr Papin, które pracowały w Le Mans u pewnej pani z córką jako kucharka i służąca i które w 1933 roku zamordowały swoje chlebodawczynie. W wypadku Eunice podobieństwo kończyło się na tym, że ona też była kobietą i służącą. Była istotą niemal bezpłciową, pozbawioną związanych z seksem potrzeb — normalnych czy też anormalnych, której niejasne obawy wywołane niegdyś sprawą Eunike, matki Tymoteusza, dawno zostały uśmierzone. Jeśli chodzi o Joan Smith, ta wyczerpała już swoje możliwości seksualne. Być może Eunice, podobnie jak królowa Wiktoria w znanej anegdocie, w ogóle nie wie-

działa, co to jest miłość lesbijska — mimo że tyle przecież odbyła po Londynie śmiałych wypraw. Joan Smith natomiast bez wątpienia była zorientowana w tej materii i prawdopodobnie miała w niej nawet własne doświadczenia, albowiem do zwyczaju jej należało zakosztować wszystkiego, co się da.

Przez pierwszych szesnaście lat życia Joan Smith, wówczas jeszcze Skinner, wiodła egzystencję, która — zdaniem każdego psychologa — powinna ukształtować dobrze przystosowanego, wartościowego i odpowiedzialnego członka społeczeństwa. Nie była ani bita, ani zaniedbywana, ani osamotniona. Wręcz przeciwnie, wszyscy ją kochali, rozpieszczali i pobudzali jej ambicje. Ojcu, agentowi ubezpieczeniowemu, powodziło się zupełnie dobrze. Cała rodzina zajmowała własny dom w lepszej części dzielnicy Kilburn, rodzice byli ze sobą szczęśliwi, a trzech starszych braci Joan przepadało za siostrzyczką i otaczało ją serdeczną opieką. Państwo Skinnerowie bardzo pragnęli córki, gdy więc przyszła na świat, byli wręcz zachwyceni. Ponieważ rzadko pozostawiano ją samą sobie i niemal od urodzenia bawiono się z nią i rozmawiano, umiała już czytać, mając cztery lata, przed ukończeniem piątego roku życia poszła do szkoły, a w wieku lat dziesięciu zapowiadała się jako osóбка najzdolniejsza z rodzeństwa. Dostała stypendium, umożliwiające wstąpienie do szkoły średniej, gdzie z czasem otrzymała świadectwo z niecodziennym wyróżnieniem, mianowicie zwolniono ją z egzaminów maturalnych.

Podczas wojny Joan, podobnie jak Eunice Parchman, wyjechała wraz z całą szkołą z Londynu. Opiekowali się nią przybrani rodzice, nie mniej serdeczni i troskliwi od jej własnych. Jednakże pewnego pięknego dnia, bez żadnego wyraźnego powodu, Joan ni stąd, ni zowąd poszła na miejscowy posterunek policji w Wiltshire i oskarżyła przybranego ojca o gwałt i pobicie, pokazując na dowód liczne sińce. Lekarz stwierdził, że Joan nie jest dziewicą. Opiekunowi wytoczono sprawę o gwałt, ale ponieważ przedstawił niepodważalne i najzupełniej autentyczne alibi, został uniewinniony. Państwo Skinnero-

wie zabrali córkę do domu, przekonani naturalnie, że zaszła pomyłka sądowa. Jednakże już po tygodniu Joan uciekła do sprawcy całego skandalu, pewnego roznosiciela pieczywa z Salisbury. Był żonaty, ale porzucił żonę i Joan mieszkała z nim przez pięć lat. Kiedy znalazł się w więzieniu za niepłacenie alimentów na dzieci, opuściła go i wróciła do-Londynu. Ale nie do rodziców, na których listy nigdy nie odpowiadała.

Minęło jeszcze parę lat, w ciągu których Joan pracowała jako barmanka, zwolniono ją jednak, gdyż lubiła podbierać pieniądze z kasy. Siłą rzeczy zaczęła uprawiać swego rodzaju prostytutkę. Z jeszcze jedną dziewczyną wynajmowała dwa pokoje w dzielnicy Shepherd's Bush, gdzie obydwie przyjmowały klientelę z pobliskich zakładów przemysłowych, płacącą niewiarygodnie mizerne sumy za ich usługi. Z takiego właśnie życia trzydziestoletnią podówczas Joan uratował Norman Smith.

Norman, człowiek słaby i naiwny, poznał Joan u fryzjera w Harlesden, gdzie przychodziła farbować włosy i robić trwałą. Część salonu przeznaczona była dla pań, w drugiej obsługiwano mężczyzn, ale że pomocnicy fryzjerscy krążyli po całym zakładzie, Norman często zatrzymywał się na pogawędkę z Joan siedzącą pod aparatem. Była chyba pierwszą kobietą, na którą w ogóle spojrzał, a na pewno pierwszą, którą zaprosił na randkę. Była tak miła, życzliwa i pełna uroku, że wcale się nie czuł onieśmielony. Zapalał do niej gwałtowną miłością i już za drugim razem, kiedy znaleźli się sam na sam, poprosił ją o rękę. Joan skwapliwie przyjęła oświadczenia.

Norman nie miał pojęcia, w jaki sposób zarabiała na życie. Wierzył w jej opowiadanie, że bierze do domu przepisywanie na maszynie, a dorywczo pracuje jako sekretarka. Mieszkali z matką Normana. Po prawie dwóch latach codziennych zacieklej kłótni ze starszą panią Smith Joan doszła do wniosku, że najskuteczniejszym sposobem uspokojenia teściowej będzie rozwinięcie u niej umiarkowanej do-

tychczas skłonności do butelki. Stopniowo doprowadziła panią Smith do takiego stanu, że ta wydawała wszystkie oszczędności na niezbędne pół butelki whisky dziennie.

— Gdyby Norman się dowiedział, nie przeżyłby tego — powiedziała Joan.

— Nie mów mu, Joanie.

— No to staraj się być już w łóżku, kiedy wraca do domu. Biedaczysko uwielbia cię, stawia cię na piedestale. Serce by mu pękło, jakby się dowiedział, że chlęłaś przez cały dzień, i to w jego własnym domu.

W ten sposób starsza pani Smith, zachęcana przez Joan, została z własnej woli przykuta do łóżka. Spędzała w nim ze swoją whisky cały prawie dzień, a Joan dopomagała sprawie, wsypując do cukru, używanego przez matkę Normana, trzy lub cztery rozkruszone tabletki środków uspokajających, które lekarz zapisywał jej samej „na nerwy”. Kiedy już doprowadziła teściową do stanu permanentnej niemal śpiączki, Joan zaczęła wracać w dzień do dawnego życia i mieszkania na Shepherd's Bush. Zarabiała w ten sposób bardzo niewiele, a do spraw seksualnych nabrała wręcz odrazy. Na uwagę zasługuje fakt, że choć Joan żyła z setkami mężczyzn, w tym z własnym mężem, nigdy nie robiła tego dla przyjemności, nigdy też nie nawiązała z nikim konwencjonalnego romansu pozamałżeńskiego, z wyjątkiem owej historii z roznosicielem pieczywa. Trudno właściwie powiedzieć, dlaczego Joan nie zerwała z prostytutką. Być może musiała dać upust swoim skłonnościom do perwersji, a może była to forma buntu przeciw Normanowi, człowiekowi tak niezdolnie, po mieszczańsku „przyzwoitemu”.

Jeżeli takie były jej motywy, ukrywała swój bunt bardzo skutecznie, Norman bowiem nigdy nic nie zauważył. W końcu sama Joan ostentacyjnie i bez ogródek wszystko mu wyznała.

Stało się to w wyniku jej nawrócenia. Od czasu, gdy skończyła czternaście lat — a teraz zbliżała się już do czterdziestki — w głowie jej nie powstała myśl o religii. Wszelako aby przemienić ją w gorliwą orędowniczkę Biblii, wystarczył dzwonek do drzwi frontowych, za którymi stał przedstawiciel sekty mieniającej się Bractwem Objawienia.

— Nie, dziękuję, może nie dzisiaj — odpowiedziała Joan, ale że owego popołudnia nie miała akurat nic lepszego do roboty, przejrzała pismo, czy może raczej broszurę, którą przybysz zostawił na progu. Za sprawą zbiegu okoliczności — a zjawisko to nieodmiennie towarzyszy naszym poczynaniom — następnego dnia Joan przechodziła akurat obok świątyni Bractwa Objawienia. Na dobrą sprawę, nie był to wcale zbieg okoliczności. Przechodziła bowiem tamtędy setki razy, tyle że nigdy nie zwróciła uwagi, co to za budynek. Rozpoczęły się właśnie wspólne modły. Joan z czystej ciekawości weszła do środka — i została zbawiona.

Sekta pod nazwą Bractwo Objawienia Szóstego Stycznia została założona w Kalifornii w latach dwudziestych przez emerytowanego właściciela zakładu pogrzebowego, niejakiego Elroya Campsa. Szósty styczeń to oczywiście Święto Trzech Króli, uznawane tradycyjnie za dzień, kiedy Trzej Królowie przybyli do Betlejem, aby dać" świadectwo narodzeniu Chrystusa i złożyć mu dary. Elroy Camps i jego uczniowie uważali się za Mędrców, na których spłynęła szczególna łaska: oni bowiem i tylko oni byli świadkami Objawienia Pańskiego, a co za tym idzie tylko oni wraz z nieliczną grupką wybranych dostąpią zbawienia. Elroy Camps wierzył nawet, że jest którymś z kolei wcieleniem jednego z Trzech Króli i wśród członków sekty znany był pod imieniem Baltazara.

W Bractwie wymagano ścisłego przestrzegania nakazów moralnych. Członkowie sekty musieli odwiedzać jej świątynię, w ciągu roku obejść z dobrą nowiną co najmniej sto domów i trwać w wierze, że

w niedługim czasie doczekają ponownego zjawienia się Trzech Króli, kiedy to oni, nowi Mędrcy, zaliczeni zostaną w poczet wybranych. Natomiast resztę świata pochłoną ciemności. Spotkania były namiętne i burzliwe, choć zarazem nie brakowało chwil wesołych, gdy wnoszono herbatę z ciastkami i wyświetlano filmy. Nowi członkowie publicznie wyznawali grzechy, po czym inni bracia komentowali je z zapalem, na zakończenie zaś śpiewano hymny. Większość z nich wyszła spod pióra samego Baltazara.

Oto jeden z nich:

Jak Mędrcy, co niegdyś przybyli do stajni, My serca unosząc ku Niemu zmierzamy; Grzech każdy, jak oni swe dary, niesiemy, Na zmycie ich w Panu nadzieję wciąż mając.

Zrazu dziwny się może wydać fakt, że tak bardzo to wszystko do Joan przemówiło. Należy jednak pamiętać o jej fascynacji wszelkimi dramatycznymi sytuacjami, zwłaszcza gdy wytrącały one z równowagi innych. Słuchała, jak pewna kobieta spowiada się ze swoich grzechów i głośno obwieszcza o takich błahych uchybieniach, jak niepłatne za przejazdy, podkradanie pieniędzy przeznaczonych na prowadzenie czyjegoś domu oraz chodzenie do teatru. Cóż to było w porównaniu z nią! Joan miała już czterdziestkę i doskonale zdawała sobie sprawę, że lata pozostawiły na niej wyraźny ślad. Potwierdzały to wypłowiałe jasne włosy i przezroczyista, biała cera. Co dalej? Niewesoły dom starszej pani Smith na pustelni w Harlesden, czy też wspianiały rozgłos, jaki może jej dać Bractwo Objawienia? A poza tym niewykluczone, że to, co głoszą, jest prawdą. W bardzo krótkim czasie Joan całkowicie w tę prawdę ijuwierzyła.

Jej spowiedź stała się wydarzeniem roku. Opowiedziała o wszystkim. Ekscesy Joan zbulwersowały całą kongregację, uzyskała jednak obiecane zawczasu przebaczenie, podobnie jak otrzymała je kobieta jeżdżąca metrem bez biletu.

Joan-niewierna żona wyznała całą prawdę zdumionemu i rozgoryczonemu Normanowi. Joan-ewangelistka wędrowała od domu do domu w Harlesden, Wood Lane czy Shepherd's Bush i nie tylko rozdawała broszury, ale przy okazji nie szczędziła rozmówcom szczegółów, jak to było, zanim usłyszała wezwanie Pana, jak była kobietą lekkich obyczajów i miała na sobie piętno nierządniczy.

— Stroiłam się w szkarłat i purpurę — mówiła Joan w progu. — Dzierżyłam w ręku czarę pełną zepsucia i plugastwa, zrodzonych z mojej rozpusty. To we mnie gnieździł się duch nieczysty, mnie wypełniała hańba i grzech.

Wkrótce potem znalazł się dowcipniś, który siedząc w fotelu u fryzjera rozprawiał złośliwie na temat duchów nieczystych. Norman na próżno błagał żonę, żeby się opamiętała. Dostyc już cierpienia przysporzyła mu sama świadomość jej dotychczasowego stylu życia. Cała ulica aż huczała od plotek, a kiedy Norman szedł do pracy, ściagały go sprośne okrzyki chłopców z sąsiedztwa.

Ale jak tu potępiać kobietę, która się nawróciła, która z całą pokorą przyjmuje każdy zarzut?

— Wiem o tym, Norman, wiem doskonale, że stoczyłam się w otchłań upodlenia. Zgrzeszyłam przeciw tobie i przeciw Panu. Moja dusza zagubiła się w odmętach niegodziwości.

— Chcę tylko, żebyś o tym nie rozpowiadała — poprosił Norman.

— Baltazar powiedział, że pokuty nie można odbywać w ukryciu.

W tym czasie umarła pani Smith. Joan jak zwykle nie było w domu i matka Normana przez cały dzień pozostawała samotnie w zimnym i brudnym mieszkaniu. Wyszła z łóżka i upadła, a potem przez siedem godzin leżała na podłodze, mając na sobie tylko cienką koszulę nocną. Jeszcze tego samego wieczoru, wkrótce potem, jak znalazł ją

Norman, umarła w szpitalu. Przyczyna zgonu: hipotermia. Po prostu umarła z zimna. I znów cała ulica huczała od plotek i już nie tylko chłopcy krzyczeli w ślad za idącym Normanem.

Matka zostawiła mu dom i tysiąc funtów. Norman "należał do tych ludzi — a są ich rzesze — których ambicją jest dorobienie się baru albo sklepu w małym miasteczku. Nie mieszkał nigdy na prowincji ani nie prowadził sklepu spożywczego, ale takie właśnie były jego marzenia. Odbył specjalny kurs przygotowawczy do pracy na poczcie i mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Coverdale'owie kupili Lowfield Hall, on i Joan stali się właścicielami Sklepu Wiejskiego w Greeving — właśnie Greeving, ponieważ jedyna świątynia Bractwa Objawienia na prowincji znajdowała się w Nunchester.

Państwo Smith prowadzili sklep z katastrofalną wręcz nieudolnością. Czasem otwierali go o dziewiątej, czasem o jedenastej. Poczta była oczywiście czynna w przepisowych godzinach, ale Joan (wbrew wszystkim uroczystym zapewnieniom danym Eunice) potrafiła zostawić Normana samego na cały dzień, tak że nie mógł ruszyć się ze swojego kącika za kratą okienka i obsłużyć wchodzących do sklepu. Stali niegdyś klienci przenieśli się teraz gdzie indziej. Reszta, z powodu braku samochodu zmuszona do wierności, utyskiwała w bezsilnym gniewie. Joan bez żenady czytała całą korespondencję. Jak sama powiadała, odnajdywanie grzeszników wśród ludzi z najbliższego otoczenia należało do jej obowiązków. Otwierała koperty nad parą i ponownie je zaklejała. Norman patrzył na to z udręką i rozpaczą, marząc o tym, aby zdobyć się na odwagę i wreszcie sprać żonę. Wciąż nie tracił nadziei, że kiedyś się na to zdobędzie.

Nie mieli dzieci, a Joan przechodziła okres nazywany przez nią „wczesnym przekwitaniem”. Zważywszy, że skończyła już pięćdziesiąt lat, uzasadniona byłaby refleksja, że przekwitanie nie wypadło u niej ani za wcześnie, ani za późno, ale w najzupełniej właściwym czasie.

— Norman i ja zawsze chcieliśmy mieć dzieci — zwykła mawiać — ale ich nie mamy. Pan Bóg bez wątpienia wie, co czyni. I nie naszą rzeczą jest sądzić jego wyroki.

Rzeczywiście, Pan Bóg wiedział, co czyni. Ciekawe, co Joan Smith zrobiłaby z dziećmi, gdyby je miała. Chybaby je pożarła.

10

George Coverdale przez dłuższy czas podejrzewał któreś z państwa Smith o zagłądanie do korespondencji. Zaledwie na tydzień przed jego wyjazdem na wakacje koperta z listem od syna Piotra miała w miejscu zapieczetowania wyraźne mażnięcie klejem, a paczka z Klubu Książki, do którego należała Jacqueline, niewątpliwie była otwierana i ponownie zawiązana sznurkiem. George nie chciał jednak podejmować żadnych kroków bez niezaprzecznego dowodu w rękę.

Nie korzystał z usług sklepu ani poczty od dnia, kiedy gdzieś przed trzema laty Joan wobec żywo zainteresowanej widowni, złożonej z żon okolicznych pracowników rolnych, radosnym tonem zganiła George'a za to, że żyje z rozwódką, po czym namawiała go usilnie do porzucenia grzesznej żony i pojednania z Bogiem. Po tym incydencie George wysyłał listy w Stantwich, ilekroć natomiast spotykał w miasteczku Joan, witał ją tylko sztywnym skinieniem głowy. Byłby przerażony, gdyby się dowiedział, że wchodziła do jego sypialni, dotykała pościeli i zwiedzała cały dom.

Gdy jednak George wrócił z rodziną z wakacji, nic nie wskazywało na to, aby Eunice podczas ich nieobecności czyniła jakieś odstępstwa od dotychczasowego trybu życia.

— Nie sędzę, kochanie, żeby wychodziła z domu — powiedziała Jacqueline.

— A jednak tak. — Małomiasteczkowa plotka docierała do nich zawsze za pośrednictwem Melindy. — Geoff mi mówił. Dowiedział się od pani Higgs, tej, co jeździ na motorowerze. To bratowa babki Geoffa. Widziała, jak Eunice spacerowała po Greeving.

— W porządku — odparł George. — Skoro włóczenie się po miasteczku sprawia jej przyjemność, nie będę się upierał przy nauce jazdy samochodem. Gdybyś jednak dowiedziała się pocztą pantoflową, że nagle zapałała żądzą nauki, bądź łaskawa mnie o tym powiadomić.

Późne lato, wczesna jesień, i oto roślinność zaczęła się wymykać spod kontroli człowieka, a nawet samej przyrody. Kwiaty wybujały i rozwichrzyły się, żywopłoty zarosły listowiem i jagodami, wyglądającymi spośród wąsów powoju, a klematis, Broda Starca, zrzucił swój lekki, puszysty płaszcz. Melindą chodziła na jeżyny, Jacqueline natomiast robiła z nich galaretkę. Eunice pierwszy raz była świadkiem przyrządzania dżemów. Dotychczas wiedziała tylko, że jeżeli nawet nie spadały jak manna z nieba, to w każdym razie można je było zawsze kupić w słoikach. Giles ani nie zbierał jeżyn, ani nie uczestniczył w festynie urodzaju u Marii Panny. Na korkowej ścianie przyczepił tym razem własny tekst, linijkę, którą mógł ktoś napisać specjalnie dla niego: „Niektórzy powiadają, że najważniejsze jest samo życie — ja wolę czytać”, i wrócił do wertowania upanisadów.

Rozpoczął się sezon polowania na bażanty. Eunice widziała, jak George idzie do pokoju myśliwskiego, zdejmując ze ściany strzelby i przy otwartych drzwiach do kuchni czyści je i ładuje. Przyglądała się

im z zainteresowaniem, lecz najzupełniej niewinnie, nie przypuszczając nawet, że w przyszłości może z nich zrobić użytek.

George wyczyścił i naładował obie strzelby, nie dlatego jednak, aby miał nadzieję, że Giles będzie mu towarzyszył na polowaniu. Kupił pasierbowi drugą strzelbę, tak samo jak kupił mu wędkę i opasłego białego konia, który objadał się teraz na łące. Trzy kolejne jesienie apatii i wręcz oporu ze strony Gilesa uświadomiły George'owi, że powinien wyzbyć się nadziei na zrobienie z pasierba myśliwego, wędkacza lub jeźdźca. Druga strzelba pożyczona została Francisowi Jameson-Kerr, maklerowi giełdowemu, synowi generała.

*

Bażantów było zatrzęsienie i Eunice obserwowała — najpierw z kuchennego okna, a potem z ogrodu przy kuchni, dokąd poszła naciąć kapusty — jak wszyscy trzej pakują do worka kilka samców i jedną samicę. Dwa dla Jameson-Kerrów, dwa dla Piotra i Pauli, reszta natomiast dla Lowfield Hall. Eunice zastanawiała się, jak długo okrwawione pęki piór wisieć będą w drugiej kuchni, zanim doczeka się przyjemności skosztowania tej nie znanej dotąd dziczyzny. Nie zamierzała jednak pytać: postąpiłaby wbrew sobie. Po tygodniu Jacqueline upiekła bażanty, a kiedy Eunice opychała się grubym plastrem piersi leżącym przed nią na talerzu, trzy kuleczki śrutu stoczyły się do tłustego sosu.

Zakupy były domeną Jacqueline. Albo robiła je sama, albo przekazywała telefonicznie do domu towarowego w Stantwich listę potrzebnych produktów, które George później odbierał. Eunice wciąż się niepokoiła, że któregoś dnia mogą ją poprosić, żeby ona zadzwoniła w tej sprawie. I oto pewnego wtorku pod koniec września stało się.

O ósmej rano odezwał się telefon. Lady Royston zawiadamiała, że upadła i chyba złamała rękę, więc czy Jacqueline nie mogłaby odwiedzić jej do szpitala w Nun-chester? Jeden samochód wziął sir Ro-

bert, drugim pojechał syn, a ona wpadła na pomysł, żeby wcześniej, już o wpół do ósmej, zabrać się do zrywania jabłek. Wspięła się na drabinę i obsunęła na nadłamanym szczeblu.

Coverdale'owie siedzieli jeszcze przy śniadaniu.

— Biedna kochana Jessica — powiedziała Jacqueline. — Pewno bardzo cierpi. Zaraz tam pojedę. Lista zakupów jest gotowa, George, więc niech panna Parchman poda ją przez telefon, kiedy otworzą sklep, a ty może będziesz taki kochany i wszystko potem odbierzesz?

George i Giles kończyli śniadanie w milczeniu. Przerwał je tylko George, który odezwał się, chcąc być dobrym ojczymem. Powiedział, że taki znakomity początek dnia może tylko zwiastować deszcz. Giles, który myślał o ogłoszeniu z pisma „Time Out”, że poszukiwany jest dziesiąty pasażer do mikrobusu jadącego do Puny, odparł: — Tak? — i dodał, że nie ma pojęcia o meteorologii. Weszła Eunice, żeby zebrać ze stołu.

— Moja żona musiała wyjechać w charakterze siostry miłosierdzia — oświadczył George, który pod wpływem paraliżującej obecności Eunice przybrał pompatyczny ton — więc może zechce pani zadzwonić pod ten numer i zamówić to, co jest na liście.

— Tak jest, proszę pana — odpowiedziała mechanicznie Eunice.

— Giles, będziesz gotów za pięć minut? A pani zatelefonuje gdzieś koło wpół do dziesiątej, dobrze? Teraz już sklepów nie otwierają tak wcześnie, jak za naszej młodości.

Eunice wpatrywała się w listę. Potrafiła odczytać numer telefonu i na tym właściwie był koniec. Tymczasem George znikł, żeby wyprowadzić Mercedesa. Giles był na górze. Melinda ostatni tydzień swoich wakacji spędzała z przyjaciółką w Lowestoft. Eunice, którą zaczynała ogarniać panika, pomyślała, czy nie poprosić Gilesa o przeczytanie listy — z jej pamięcią jeden raz zupełnie by wystarczył. Powiedziała-

by, że szkła zostawiła gdzieś na górze. Ale pretekst był stanowczo za słaby, bo przecież miała jeszcze całą godzinę, żeby przynieść okulary. Zresztą tak czy owak teraz Giles przemierzał już hall charakterystycznym, niepewnym krokiem lunatyka, aż wreszcie wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą frontowe drzwi. Zrozpaczona Eunice usiadła w kucłni wśród brudnych naczyń.

Cały wysiłek skierowała na pobudzenie swojej tak rzadko używanej wyobraźni. Każda pomysłowa kobieta znalazłaby od razu mnóstwo sposobów zaradzenia kłopotliwej sytuacji. Powiedziałyby, że stukły się jej okulary do czytania (i żeby tego dowieść, podeptałyby je), albo udałyby chorą, albo sfabrykowałyby wezwanie do Londynu, do łóża chorego krewniaka. Eunice jednak zdołała wymyślić tylko tyle, że po prostu sama zanieś listę do domu towarowego w Stantwich i wręczy ją kierownikowi. Ale jak się tam dostać? Wiedziała, że jest autobus, ale nie miała pojęcia, gdzie się zatrzymuje, kiedy kursuje, dokąd właściwie jedzie, a nawet gdzie się ów sklep znajduje. Słyszała tylko, że do przystanku są jakieś trzy kilometry. Tymczasem, wiedzioną siłą przyzwyczajenia, ułożyła naczynia w maszynie do zmywania, wytarła dokładnie blaty kuchenne i poszła na górę, żeby posłać łóżka, a u Gilesa posepnie rzucić okiem na Cytat Miesiąca. Dotyczyłby jej w szczególnie ironiczny sposób, gdyby tylko była w stanie go przeczytać. Piętnaście po dziewiątej. We wtorki Ewa Baalham nie przychodziła, a mleczarz już był. Ale Eunice i tak nie śmiałyby się zdradzić, prosząc ich o pomoc. Powie chyba Jacqueline, że zapomniała zadzwonić, i gdyby Jacqueline wróciła dość wcześnie, żeby załatwić to sama... Znów spojrzała na wyłożoną korkiem ścianę i wtedy wyraźnie stanęła jej przed oczami postać Joan Smith, gdy były tutaj razem.

Joan Smith.

W głowie Eunice zrodził się mglisty plan. Zależało jej na zachowaniu tajemnicy zarówno przed Joan Smith, jak przed Ewą, mleczar-

rzem czy Jacqueline. Ale Joan miała sklep spożywczy, a skoro tylko lista będzie w jej rękach, jakieś wyjście może się znaleźć. Na różową bawełnianą suknię włożyła swój najlepszy, własnoręcznie zrobiony sweter i wyruszyła do Greeving.

— Dawno się nie widziałyśmy! — powitała ją entuzjastycznie Joan. — Wieki całe! To Norman, moja lepsza połowa. Norman, to jest panna Parchman. Mówiłam ci o niej.

— Miło mi panią poznać — powiedział Norman Smith spoza swojej kraty. Uwięziony wśród prętów, wyglądał jak ponure, przeżuwające zwierzę — koziół albo lama — które za długo już przebywa w niewoli, aby pamiętać czasy wolności, ale wciąż jeszcze miota się bezsilnie w swojej klatce. Twarz miał trójkątną, bladą i kościstą, włosy siwe z rudawym odcieniem. Jakby na dowód, że skojarzenie ze stworzeniem przeżuwającym nie było bezpodstawne, po całych dniach nie rozstawał się z miętową gumą do żucia. A to dlatego, że według słów Joan miał nieświeży oddech.

— Czemu zawdzięczamy przyjemność goszczenia pani? — spytała Joan. — Tylko proszę mi nie mówić, że pani Coverdale zamierza zostać klientką naszego skromnego sklepiku. To by dopiero było święto.

— Mam ze sobą listę. — Rozglądając się niepewnie po półkach, zdecydowanym ruchem położyła kartkę przed Joan.

— Jedną chwileczkę. Jest mąka i płatki owsiane, to wiem. Ale, mój Boże, fasola i bazylia, i czosnek! — Joan uciekła się do typowej wymówki złego sklepikarza: — Właśnie czekamy na to wszystko — powiedziała. — Ale proszę czytać, a ja będę sprawdzać, co mamy.

— Nie, niech pani czyta. Ja sprawdzę.

— Znów jestem nietaktowna. Powinnam przecież pamiętać, że ma pani kłopoty z oczami. A więc, po kolei.

Eunice sprawdzała i okazało się, że może tu kupić tylko dwie rzeczy. Wiedziała, że jest uratowana, bo Joan odczytywała listę wyraźnie i wolno. Tó jej wystarczyło. Kupiła mąkę i płatki owsiane. Należało je teraz ukryć i zapłacić z własnych pieniędzy, ale cóż to miało za znaczenie? Wezbrało w niej gorące uczucie do Joan, która znów wybawiła ją z opresji. Pamiętała, że dawno, bardzo dawno temu, w zamierzonych przeszłości, czuła coś podobnego w stosunku do matki, zanim pani Parchman zachorowała i stała się niedołączna. Tak, chętnie wypije proponowaną przez Joan filiżankę herbaty i przez te dziesięć minut pozwoli nogom odpocząć.

— Bo prostu będzie pani musiała zadzwonić tam, do Stantwich — powiedziała Joan, która zrozumiała, że Eunice przyszła do jej sklepu z własnej inicjatywy. — Niech pani skorzysta z naszego telefonu, bardzo proszę. Tu jest spis. Ma pani okulary?

Eunice miała. Te w szylkretowej oprawie. Podczas gdy Joan krzątała się przy herbacie, ona załatwiła telefon, omal nieprzytomna ze szczęścia. Udawanie, że czyta coś, co w rzeczywistości zapamiętała, sprawiło jej przyjemność dającą się porównać z dumą Anglika w podróży, któremu we właściwym momencie udaje się zastosować szczęśliwie jedyny znany idiom francuski, nie budząc przy tym najmniejszych wątpliwości u rozmówcy. Eunice rzadko miała okazję wykazać się umiejętnością czytania. Odkładając więc słuchawkę, czuła w stosunku do Joan to, co czujemy do ludzi, w których obecności popisaliśmy się niespotykanym obeznaniem z obcą nam w istocie dziedziną. Była serdeczna i dumna, wyniosła, ale skromna, skłonna do wylewności. Pochwalała „prześliczny pokoik”, nie zważając na panujący w nim nieład i zaniedbanie, i była tak wzruszona, że prawiła Joan komplementy na temat jej fryzury, kwiciastej sukni i wybornego smaku herbatników w czekoladzie.

— I oni się spodziewają, że pani na własnych plecach przytarga to wszystko do domu! — oburzyła się Joan, choć wiedziała, że tak nie

jest. — Cóż, mówią, że on to człowiek bezwzględny i zbiera, choć nie posiał. Odwiozę panią do domu, dobrze?

— Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

— Ależ nie ma o czym mówić. Cała przyjemność po mojej stronie. — Nie zważając na męża, który ze strapioną miną zaglądał do jakiejś torby niczym do worka z obrokiem, Joan pociągnęła Eunice przed sklep. Po usilnych manipulacjach stara zielona furgonetka ruszyła, krztusząc się i szarpiąc. — No to jedziemy!

Samochód pokaszując toczył się drogą. Joan podwiozła Eunice do frontowych drzwi Lowfield Hall.

— No, ale przysługa za przysługę. Mam tu dla pani coś do przeczytania. — Wyjęła rozprawę pod tytułem „Bóg pragnie, 'abyś był Mędrceem". — I pojedzie pani ze mną na nasze następne spotkanie, prawda? W niedzielę wieczorem. Nie będę już dzwonić, tylko proszę czekać na drodze o wpół do szóstej. Przyjadę po panią, zgoda?

— Dobrze — odrzekła Eunice.

— O, spodoba się tam pani. Nie mamy książeczek do nabożeństwa, jak ci w kościołach, po prostu śpiewamy, miłujemy bliźnich i wypowiadamy to, co nam dyktują nasze serca. A potem jest podwieczorek i pogawędka z braćmi. Bóg chce, abyśmy się radowali, moja droga, gdy już wszystko mu ofiarujemy. Ale tych, którzy się od niego odwracają, czeka płacz i zgrzytanie zębów. Sama pani zrobiła ten sweter? Szalowy. Proszę nie zapomnieć o mące i płatkach.

Joan, zadowolona, odjechała z powrotem do Normana i do sklepu. Można by przypuszczać, że przyjaźń z Eunice Parchman nie przyniesie jej żadnej korzyści, ale w rzeczywistości Joan strasznie brak było w miasteczku jakiejś oddanej przyjaciółki. Norman od czasu, gdy żona wyjawiała, jak naprawdę przedstawiały się pierwsze lata jego małżeńskiego życia, stał się zerem, właściwie cieniem człowieka. Te-

raz już rzadko odzywali się do siebie, a Joań przestała nawet udawać przed znajomymi, że są idealnym małżeństwem. Co więcej, mówiła wszystkim, że Norman to krzyż Pański, który jako żona musi dźwigać, ale że mąż odwrócił się od Boga, nie może być prawdziwym towarzyszem życia dla osoby tak religijnej jak ona. Bóg jest mu niechętny. Dlatego ona, jego służebnica, musi tę niechęć podzielać. Te oraz inne publiczne wypowiedzi, które świadczyły o tym, że Joan posiadała nieomylną osobistą doradczyni Boga, zraziły do niej potencjalnych przyjaciół, takich jak Higgsowie, Baalhamowie i Newsteadowie. Ludzie witali się z nią wprawdzie, ale poza tym jej unikali. Sądziło się, że jest niespełna rozumu i chyba już wtedy było tak rzeczywiście.

Eunice wydawała się jej istotą uległą i naiwną. A przy tym, oddajmy jej sprawiedliwość, była dla niej zbłąkaną owieczką, którą da się może zawrócić na ścieżkę prawdy.

To byłby jej tryumf i radość, gdyby wprowadziła wierną, pełną uwielbienia towarzyszkę w szeregi Bractwa Objawienia i gdyby w oczach grzesznego Greeving została jej serdeczną przyjaciółką.

Eunice, upojona sukcesem, wystawiła wszystko z małego saloniku i właśnie myślała tam kremowe ściany, kiedy wróciła Jacqueline.

— Mój Boże, co za tempo! Biedna lady Royston ma wielokrotne złamanie lewej ręki. Czy to wiosenne porządki we wrześniu? Ależ pani pracowita, panno Parchman. Wprost nie śmiem pytać, czy zajęła się pani moją listą zakupów.

— O tak, proszę pani. Pan Coverdale odbierze wszystko o piątej.

— Cudownie. A teraz wypiję przed lunchem podwójną sherry. Może zrobi sobie pani przerwę i napije się ze mną?

Ale Eunice odmówiła. Poza kilkoma szklaneczkami wina na jakimś rodzinnym ślubie czy pogrzebie nigdy nie piła alkoholu. Była to jedna z nielicznych cech, które dzieliła z Joan Smith. Joan, chociaż w

czasach Shepherd's Bush całkiem chętnie wypijała szklaneczkę dżinu czy portera, z chwilą gdy złożyła ślubowanie Bractwu, wyrzekła się trunków.

Broszura „Bóg pragnie, abyś był Mędrce” pozostała siłą rzeczy nie przeczytana, ale na spotkanie, gdzie nikt nie wymagał, żeby czytała cokolwiek, Eunice poszła. Bawiła ją jazda w furgonetce Joan, śpiewy i podwieczorek, a zanim dotarły z powrotem do Greeving, ustalono na środę wspólną kolację u państwa Smith i obie panie mówiły sobie po imieniu. Były już przyjaciółkami. W jałowej egzystencji Eunice Parchman pani Samson i Annie Cole znalazły następczynię.

Melinda wróciła do szkoły, George nadal polował na bażanty, Jacqueline sadziła cebulki kwiatów, przyszczygała krzewy i podtrzymywała na duchu lady Royston, podczas gdy Giles dostał smętną wiadomość, że dziesiąte miejsce w mikrobusie do Puny jest już zajęte. Liście zmieniały barwę z ciemnozielonej na jasnozieloną, wszystkie jabłka zostały już zebrane, orzechy laskowe zdążyły dojrzeć. Kukułka dawno odleciała, a jaskółki i muchołówki szykowały się właśnie do drogi na południe.

Na błoniach Greeving urządzili spotkanie myśliwi, aby w dwie godziny później być przy zakończeniu polowania w lesie Marleigh.

— Dzień dobry, mistrzu — powitał sir Roberta Roystona stojący, przy swojej furtce George, który przy innej okazji powiedziałby po prostu „Bob”.

— Moje uszanowanie panu — odrzekł Bob we fraku i w cylindrze.

Październik — ze swą namiastką lata, melancholią ciepłych dni, mgłami, obfitością dorodnych plonów i promieniami słońca przemieniał w złoto unoszącą się nad rzeką Beal mgiełkę.

Melinda już by się z pewnością dowiedziała, że kiedy Eunice wychodzi — jak jej się to teraz często zdarzało — wybiera się z wizytą do Joan Smith, a kiedy w niedzielę odchodzi o popołudniowym mroku, furgonetka państwa Smith czeka na nią u wylotu podjazdu. Melinda jednak wróciła do szkoły i w ciągu miesiąca dzielącego ją od pożegnania z domem była u ojca zaledwie raz. A i wtedy zachowywała się niezwykle spokojnie, była czymś wyraźnie pochłonięta i nie wychodziła z domu, słuchała tylko płyt albo siedziała milcząca i pogrążona w zadumie. Bo Melinda się zakochała.

Chociaż więc każdy mieszkaniec Greeving, oprócz dzieci i starców, śledził z uwagą losy przymierza Parchman-Smith, sami Cove-dale'owi niczego się nie domyślali. Eunice zawsze zachowywała się w swoim pokoju tak cicho, że gospodarze często nawet nie wiedzieli, że nie ma jej w domu. Nie wiedzieli też, że kiedy oni wychodzą, zjawia się Joan Smith i popijając na górze herbatę spędza z Eunice przy telewizji niejeden uroczy wieczór. Giles, naturalnie, nigdy się z domu nie ruszał. Ale panie starały się nie rozmawiać na schodach, poza tym dywan tłumił kroki i w ten sposób obie przemykały koło Gilesa niedostrzegalnie, natomiast w pokoju Eunice włączony bez przerwy telewizor doskonale zagłuszał szmer ich głosów.

Jednakże przyjaźń ta urwałaby się już na początku, gdyby Eunice udało się zrealizować to, co zamierzała. Kiedy radość z powodu odczytania listy zakupów przestała być sprawą pierwszoplanową, Eunice ochłonęła w swoim zachwycie dla Joan i zaczęła patrzeć na nią tak, jak patrzyła dotychczas na większość ludzi: Joan można było wyzyskać. Nie chodziło tym razem o zwykły szantaż pieniężny, ale raczej,

jak /w przypadku Annie Cole, o to, żeby mieć Joan w swojej mocy, polegać na niej, gdy idzie o przeczytanie czy napisanie czegoś, i być pewną, że nie zdradzi tajemnicy Eunice, jeśli nawet ją odkryje.

W końcu to Ewa Baalham popchnęła Joan w ręce Eunice.

Ewa była ostatnio mocno rozzalona, bo chociaż zarabiała teraz znacznie więcej u pani Jameson-Kerr, jej czas pracy w Lowfield Hall ograniczył się zaledwie do jednego przedpołudnia tygodniowo. Zdaniem Ewy winę za tę degradację ponosiła Eunice, ta bowiem z łatwością wykonywała wszystkie prace, przy których Ewa zawsze postękiwała, i — co tu ukrywać — wykonywała je znacznie lepiej. Gdy tylko Ewa wpadła na pomysł, jak dopiec rywalce, natychmiast przystąpiła do dzieła.

— Coś mi się widzi, że pani się z tą Smithową bardzo zaprzyjaźniła.

— Czy ja wiem — odparła Eunice.

— Zawsze jesteście razem, u jednej albo u drugiej. Według mnie to nawet więcej niż zwykła przy-' jaźń. W zeszłym tygodniu mój kuzyn Meadows, który ma warsztat samochodowy, widział panią w jej furgonetce. Ale może jest coś, czego pani o niej nie wie...

— Co na przykład? — spytała Eunice, wbrew swojej zasadzie.

— A choćby to, czym się zajmowała przed przyjazdem tutaj. Była ulicznicą, ot co, zwykłą prostytutką. — Ewa nie zamierzała psuć efektu tajemniczości dodając, że sprawa jest powszechnie znana. — Zadawała się z mężczyznami, a jej mąż, biedaczysko, o niczym nie miał pojęcia. '

Tego wieczora Eunice zaproszona była do państwa Smith na kolację. Jedli właśnie to, co lubiła, a czego nie podawało się w Lowfield Hall: jajka na boczku, kielbaski i frytki. Na koniec zjadła jeszcze tabliczkę czekolady ze sklepu. Norman siedział przy stole, nie odzy-

wając się słowem, a potem wyszedł do „Błękitnego Dzika”, gdzie Higgsowie czy Newsteadowie z litości grali z nim w strzałki. Na stole zjawily się pełne po brzegi filiżanki herbaty. Joan przechyliła się pofnie nad stołem i rozpoczęła głoszenie ewangelii, jak na panią Smith przystało. Eunice skończyła jeść ostatni wafelek i postanowiła skorzystać z okazji.

Przerwała Joan swoim donośniejszym i bardziej rozkazującym tonem.

— Coś o tobie słyszałam.

— Mam nadzieję, że coś miłego — pogodnie rzekła Joan.

— Nie wiem, czy to miłe. Słyszałam, że zadawałaś się z mężczyznami za pieniądze.

Jakby święta ekstaza promieniować zaczęła w uróżowanej twarzy Joan. Uderzyła się pięścią w płaską pierś.

— Ależ tak, byłam grzesznicą! — oznajmiła. — Tonęłam w grzechu i grzęzłam w plugawym bagnie. Chodziłam po mieście jako ladczyca, ale Bóg mnie przywołał i — oto proszę — usłyszałam Go! Nie zapomnę dnia, w którym przed licznie zgromadzonymi braćmi wyznałam swoje grzechy i otworzyłam serce przed mężem. Z prawdziwą pokorą obnażyłam duszę w obliczu tych, co mnie słuchali, ażeby ludzie wiedzieli, że nawet najgorsi mogą być zbawieni. Jeszcze herbaty?

Zdumienie sparaliżowało Eunice. Dotychczas żadna potencjalna ofiara szantażu nie zachowywała się w ten sposób. Nabrała dla Joan niemal bezgranicznego szacunku i teraz, zwyciężona, potulnie dała jej filiżankę.

Czy Joan się domyśliła? Niewykluczone. Była wszak kobietą bystrą i bardzo doświadczoną. Jeśli tak się stało, to fakt, że Eunice wpadła we własne sidła, musiał Joan setnie ubawić, choć w najmniejszym

stopniu nie zraził jej do przyjaciółki. Wiedziała przecież, że ludziesą grzeszni. Nie na darmo zaliczała się do grona Mędrców.

Opadały już żółte liście z dębów, jesionów i wiązów, dereń również gubił swoje czerwone listowie. Pozostałe jeszcze kwiaty szcerniały po pierwszym przymrozku, a ziemię pod żywopłotami i powalone drzewa porósł grzyb. U Jamesa Newsteada rozpoczęto naprawę strzechy i ogród pełen był złocistej słomy zebranej z pola pszenicy.

George ubrany we frak i Jacqueline w czerwonej jedwabnej sukni ze złotym haftem pojechali do Convent Garden na „Łaskę Tytusa” i zanocowali u Pauli. Cytat Miesiąca pochodził tym razem z Mallarmego: „Niestety ciało jest żalosne, a ja przeczytałem już wszystkie książki”. Ale Giles, który miał jeszcze duże zaległości w lekturze, zatopił się w Poem. Gdyby — co było całkiem prawdopodobne — nie udało mu się dotrzeć do Indii, mógł poprosić Melinę, żeby po skończeniu przez nich szkoły zechciała z nim zamieszkać. Oczami wyobraźni widział już mieszkanie w starym domostwie, powiedzmy gdzieś w dzielnicy West Kensington, coś w rodzaju domu Usherów na mniejszą skalę, z podłogami hebanowej czerni i chwiejnym blaskiem czerwonego światła, które przesącza się przez okratowane szyby.

Tymczasem Melinda była zakochana, a Giles nic o tym nie wiedział. Wybrany nazywał się Jonatan Dexter i studiował języki nowożytny. George nieraz się zastanawiał — choć nie zwierzał się z tych myśli nawet Jacqueline — czy jego młodsza córka jest tak niewinna, jak jej matka w tym samym wieku. Szczerze mówiąc, miał wątpliwości, ale godził się z tym, że Melinę postępuje na pewno zgodnie z modną obecnie swobodą obyczajów. Bez wątpienia byłby mile zaskoczony faktem, że jego córka jeszcze jest dziewicą, a zarazem zmartwiłby się wiedząc, jak bliska jest zmiany tego stanu.

Kiedy lody zostały już niejako przełamane, Eunice często wychodziła na spacer. Podobnie jak niegdyś ulicami Londynu, tak teraz wędrowała z miasteczka do miasteczka, z Cocklefield do Marleigh, z Marleigh do Cattingham, chodząc po zasłanych liśćmi drogach, a kiedy skończyło się babie lato i nadeszła prawdziwa jesień, wybierała suche jeszcze ścieżki biegnące przez pola lub skrajem lasu. Chodziła bez celu, nie zatrzymując się nawet, aby popatrzeć spoza drzew na otwierające się przed nią długie, szarobłękitne teraz doliny o łagodnie opadających, zalesionych zboczach i właściwie w ogóle nie dostrzegając krajobrazu. Spacerów te niczym się nie różniły od spacerów po Londynie. Były wyrazem jakiegoś ukrytego dążenia do wolności i sposobem na wyładowanie tej energii, której nie zdołały pochłonąć zajęcia domowe.

Eunice i Joan Smith nigdy nie porozumiewały się telefonicznie. Joan przyjeżdżała furgonetką tylko wtedy, gdy była pewna, że w Lowfield Hall nie ma nikogo prócz Eunice. Wybierając się do kogoś z przyjaciół, Jacqueline musiała przejechać przez Greeving i rzadko się zdarzało, aby Joan nie dostrzegła jej ze swego sklepu. Wówczas furgonetka podjeżdżała pod Lowfield Hall. Joan bez pukania wchodziła przez pokój myśliwski i natychmiast Eunice nastawiała wodę na herbatę.

— Jej życie to nieprzerwane pasmo rozrywek. Dziś rano jest u tej pani Cairne i popijają sherry. Można sobie wyobrazić, co myśli Pan Bóg, kiedy patrzy na coś podobnego. Grzesznikom na razie powodzi się doskonale, ale kiedy chcesz ich rano zastać, to gdzie tam, nie sposób! Mam przed południem cztery sprawy do załatwienia w Cocklefield, więc, moja droga, nie zostaję ani chwili dłużej.

Przez „sprawy” Joan nie rozumiała bynajmniej dostarczania korespondencji czy produktów ze sklepu, ale nawracanie bliźnich. Jak zwykle uzbrojona była w stos broszur, wśród których znajdowała się

też najnowsza, oprawiona jak komiks i opatrzona zachęcającym tytułem „Pójdź za mą gwiazdą”.

Joan była tak zagorzałą członkinią Bractwa, że kiedy Eunice wstępowała do sklepu podczas swoich spacerów, zastawała na posterunku tylko Normana. Wyglądał zza prętów swojej klatki i smętnie potrząsał głową.

— Gdzieś wyszła.

Czasem jednak Eunice przychodziła dość wcześnie, aby Joan mogła zabrać ją ze sobą, i wówczas z furgonetki obserwowała, jak przyjaciółka naucza na progach domów.

— Może znajdzie dziś pani wolną chwilę, żeby zerknąć na tę książeczkę?...

Kiedy indziej krążyły po przyklejonych do obrzeży każdego miasta osiedlach dużych bloków, pudłach z cegły, które ściana drzew iglastych odgradzała od starego centrum. Zdarzało się, że jakaś naiwna gospodyni zaprosiła Joan do środka i wtedy przyjaciółka na jakiś czas ginęła. Jednakże częściej drzwi zatrzaśkiwały się przed nią i z twarzą rozświetloną chwałą męczeństwa wracała do furgonetki.

— Podziwiam cię, że tak to spokojnie przyjmujesz — powiedziała Eunice. — Ja bym im wyrybała parę słów do słuchu.

— Pan Bóg wymaga pokory od swoich sług, Eunice. Pamiętaj, że niektórych z nas aniołowie zanoszą na łono Abrahama, kiedy inni 'będą się smażyć w ogniu piekielnym. Przypomnij mi, żebyśmy się zatrzymały koło Meadowsów, bo już prawie wcale nie mamy benzyny.

W oczach wzburzonej kobiety, która „Pójdź za mą gwiazdą” wrzuciła właśnie do kubła na śmieci, obie przyjezdne przedstawiały widok co najmniej dziwny. Joan była chuda jak szczapa, sylwetką przywodziła na myśl zdjęcie na wezwaniu do pomocy głodującym dzieciom, przy czym mimo nawrócenia nie zdołała zmienić nawyku

ubierania się w sposób typowy dla kobiety lekkich obyczajów: krótka spódnica, czarne pończochy z połyskiem, podniszczone lakierki, olbrzymia lśniąca torebka i biały włochaty żakiet z poszerzonymi ramionami. Fryzura przypominała odwrócone ptasie gniazdo — jeśli oczywiście istnieją ptaki, co wiją gniazda ze złocistych drutów — natomiast drobną, mizerną twarz pokrywał jaskrawy makijaż, kombinacja różu, błękitu i karminu.

Eunice stanowiła idealne tło dla Joan. Od czasu przybycia do Lowfield Hall wzbogaciła swoją szafę jedynie o rzeczy zrobione własnoręcznie na drutach, a w owe chłodne dni jesienne nosiła szaroniebieską wełnianą czapkę i tego samego koloru szalik. W grubym rudawym palcie zdecydowanie górowała nad Joan, ale kontrast między nimi najbardziej był widoczny, kiedy szły obok siebie: Joan drobiła kołyszając się z boku na bok, natomiast Eunice, majestatyczna jak Junona, szła wyprostowana i stawiała długie, miarowe kroki.

W głębi serca żadna z nich nie miała wątpliwości, że przyjaciółka wygląda jak idiotka, ale wcale ich to do siebie nawzajem nie zraziło. Przyjaźń często rozwija się najlepiej wtedy, gdy każda ze stron pewna jest swojej wyższości. Nie zdradzając się ze swoim zdaniem, Eunice ceniła Joan za jej mądrość, wiedziała, że może liczyć na jej pomoc, w razie gdyby zmuszona była zmierzyć się ze słowem pisanym, ale zarazem uważała ją za podstarzałą babę robiącą z siebie podlotka, za fatalną gospodynię, a wreszcie za flądre. Joan natomiast, także nie zdradzając się ze swoją opinią, miała Eunice za osobę wielce szacowną, liczyła na ewentualną obronę z jej strony, gdyby Norman zdecydował się wprowadzić w czyn nieśmiałe pogrożki, że kiedyś żonę spierze — nie rozumiała tylko, czemu przyjaciółka ubiera się jak policjantka.

Kiedy Eunice przychodziła do sklepu, Joan dawała jej zawsze w prezencie czekoladę, Eunice zaś zrobiła przyjaciółce na drutach rękawiczki w swoim ulubionym łososiowym kolorze, a w planie miała rozpoczęcie pracy nad sweterkiem.

Pierwszego listopada, na Wszystkich Świętych, Jacqueline obchodziła swoje czterdzieste trzecie urodziny. George podarował jej kożuszek, a Giles płytę z ariami koncertowymi Mozarta. Melindą przysłała pocztówkę z nagryzmołoną pośpiesznie obietnicą, że przywiezie „coś ładnego, kiedy uda jej się wpaść do domu”. Nie ulegało wątpliwości, że nadana przez Piotra i Audrey przesyłka, zawierająca jakąś nową powieść, została otwarta i ponownie zaklejona. George pomaszerował do Urzędu Pocztowego oraz Sklepu Wiejskiego w Greving i złożył zażalenie u Normana Smitha. Ale co można było odpowiedzieć na tłumaczenie, że książka przyszła w podartej kopercie, więc na wszelki wypadek żona sama ją przepakowała? George skinął tylko głową i powiedział, że nie będzie nadawał sprawie dalszego biegu — przynajmniej na razie.

W tym samym tygodniu George zgłosił się na doroczną wizytę kontrolną u doktora Crutehleya i dowiedział się, że ma podwyższone ciśnienie — nie ma powodu do obaw, ale może będzie lepiej, żeby zaczął brać lekarstwo. Nie należał do ludzi łatwo się denerwujących czy wpadających w panikę, ale zdecydował, że powinien wreszcie napisać testament — przedsięwzięcie, z którym zwlekał od lat. Ten właśnie testament dał początek sprawie sądowej, która nadal jeszcze się ciągnie, przez którą Lowfield Hall pozbawione jest właściciela i stoi opuszczone, która zatrąła życie Piotrowi Coverdale i Pauli Caswall i wciąż nie pozwala im zapomnieć o przeżytej tragedii. A przecież spisany był bardzo starannie, z ogromną zapobiegliwością. Któż mógł wówczas przewidzieć, co wydarzy się w Dniu Świętego Walentego? Jaki adwokat, nawet najbardziej przezorny, mógł wyobrazić sobie masakrę w zacisznym Lowfield Hall?

Jacqueline dostała do przejrzenia tekst, kiedy wróciła do domu z zebrania rady parafialnej.

— „Mojej ukochanej żonie, Jacqueline Louise Coverdale — czytała na głos — całą moją posiadłość, znaną jako Lowfield Hall, w Greeving, hrabstwo Suffolk, wolną od obciążeń — jej i jej spadkobiercom na wieczną własność”. Najdroższy, „ukochanej żonie”? Tak mi miło, że to dodałeś.

— Może coś jeszcze? — spytał George.

— A czy to nie powinno być dla mnie tylko dożywotnio? Mam przecież wszystko, co mi zapisał ojciec, i to, co dostałam za dom, a jeszcze doszłoby twoje ubezpieczenie na życie.

— Zgoda, i dlatego wszystkie akcje i walory zapisuję dziewczynkom i Piotrowi. Chcę jednak, żebyś ty miała ten dom, tak bardzo go przecież lubisz. Poza tym nie znoszę tych tak miłych adwokatów testamentów, przyznających żonie tylko dożywocie. Staje się wtedy niepożądaną lokatorką wśród ludzi, którzy nie mogą się wprost doczekać jej śmierci.

— O twoich dzieciach na pewno nie można by tego powiedzieć.

— Ja też jestem tego pewien, Jackie, ale testament pozostaje w mocy. Zarządziłem, że jeśli ty odejdiesz pierwsza, Lowfield Hall ma być po mojej śmierci sprzedane, a dochód ze sprzedaży podzielony między spadkobierców.

Jacqueline podniosła wzrok na męża.

— Chciałabym, żeby tak było.

— Co, kochanie?

— Żebym umarła pierwsza. Różnica wieku między nami martwi mnie właśnie dlatego, że to ty prawie na pewno będziesz pierwszy. Nie mogę nawet myśleć o tym, że mogłabym przez całe lata być wdową, nie wyobrażam sobie choćby jednego dnia bez ciebie.

George pocałował ją.

— Nie mówmy już o testamentach, grobach i epitafiach — powiedział, zaczęli więc rozmawiać o zebraniu rady parafialnej i o zbiórce na budowę nowej sali klubowej w miasteczku, toteż Jacqueline zapomniała o wyrażonym przed chwilą życzeniu.

Życzenie się w końcu nie spełniło, chociaż Jacqueline miała być wdową zaledwie piętnaście minut.

12

Nunchesterski Dom Boży Bractwa Objawienia położony był na Wzgórzu Północnym, które wznosiło się dokładnie ponad targiem bydłęcym. Jadąc z Greevińg nie trzeba więc było przejeżdżać przez miasto i Joan Smith udawało się przebyć ten odcinek w dwadzieścia minut. Eunice bardzo lubiła wieczorne zgromadzenia niedzielne. Teksty hymnów wisiały na planszach, lecz każdy, kto próbował kiedykolwiek udawać w kościele, że zna doskonale całe nabożeństwo poranne (używanie książeczki do nabożeństwa zdradza tylko niewybaczalną ignorancję), wie, jak łatwo poruszać ustami, naśladowując innych, a dłońmi złożonymi tuż przy wargach ukrywać luki pamięci. Eunice zresztą wystarczyło raz wysłuchać hymnu, aby zapamiętać go już na zawsze.

Toteż bardzo szybko jej głęboki kontralt zaczął brzmieć nie gorzej od innych głosów:

Złoto przeczyste barwą boskości, Święte kadzidło wonią miłości, Mirra to balsam. Woli swej siłą, Cierpienia kojąc, Pan nam go zsyła.

Niestety Herbertem czy Keble'em *² Elroy Camps nie był.

Po odśpiewaniu hymnów i wysłuchaniu spontanicznego wyznania grzechów kilkorga braci i sióstr — atrakcja niewiele ustępująca telewizji — posilano się herbatą z ciasteczkami i oglądano filmy o ciemnoskórych członkach Bractwa Objawienia, walczących z grzechem gdzieś na krańcach świata (*in partibus infide-ium*, jak byśmy powiedzieli) albo kolportujących list apostolski Baltazara wśród cierpiących głód, zbyt słabych, aby stawiać opór. Nie odmawiano sobie też przyjacielskich ploteczek, przeważnie na temat tych śmiertelników, którzy nie zdołali dotychczas dojrzeć światła, z tym, że rozmowy miały jak najbardziej pobożny charakter, a brzemię odpowiedzialności i winy dźwigał w tym wypadku Pan Bóg. Nie znaczy to wszakże, iż bracia nie stosowali się do nakazu boskiego: Przybywajcie do mnie wszyscy przytłoczeni ciężarem, odpoczynek będzie wam dany.

W sumie członkowie Bractwa byli i są wspaniale zżytą społecznością. Śpiewają, śmieją się i z upodobaniem zagłębiają się w wyznania grzechów własnych i nowych braci nawróconych. O Bogu rozmawiają, jakby był postępowym kierownikiem szkoły, który starszym uczniom pozwala mówić sobie po imieniu. Ich hymny przypominają młodzieżowe przeboje, a broszurę potrafi ubarwić komiksowa historyjka. Idea człowieka wybranego, który staje się Mędrce i podąża za gwiazdą, nie jest wcale zła. Z pewnością wielu pozujących na Chrystusa młodych ludzi przyjęłoby religię Campsa za własną, na drodze stoją jednak dwie przeszkody rjje do pokonania, peszące każdego poniżej czterdziestki, a także, na dobrą sprawę, większość ludzi powyżej tego wieku. Pierwsza z nich to nakaz całkowitego wyrzeczenia się seksu, bez względu na to, czy ktoś żyje w stadle małżeńskim, czy nie; druga to nacisk na pomstę, czekającą niewiernych — czyli, należy rozumieć, wszystkich nie zrzeszonych w Bractwie Objawienia — po-

² *Angielscy poeci metafizyczni (przyp. tłum.).

mstę, którą niekoniecznie wyrze sam Bóg, bo mogą jej dokonać wybrańcy, Jego narzędzia. W praktyce członkowie Bractwa nie zajmują się naturalnie biciem swoich sąsiadów-heretyków, ale można przypuszczać, że gdyby w ten sposób postępowali, spotkałaby ich raczej pochwała zamiast dezaprobaty. W końcu, skoro Bóg jest kierownikiem szkoły, oni nie na próżno są jego najlepszymi uczniami.

Eunice niewiele przyswoiła sobie z tej doktryny, która nie była zresztą wyraźnie sformułowana, założeń jej należało się raczej domyślać. Po raz pierwszy chyba w życiu przebywała w większym towarzystwie i sprawiało jej to przyjemność. Bracia i siostry byli mniej więcej w jej wieku albo starsi. Nikt nie zadawał żadnych pytań, nie próbował na siłę wtrącać się do jej spraw czy też stawiać ją w takiej sytuacji, żeby musiała coś przeczytać. Byli przyjaźnie usposobieni, nie szczędzili pochlebstw i częstowali szczerze herbatą, ciasteczkami i keksem, spodziewali się bowiem rychłego jej nawrócenia. Ona jednak, z tego samego powodu co zawsze, wcale nie zamierzała się nawracać. Publiczne spowiedzi jej nie zrażały, ponieważ prócz typowych grzesznych myśli i dążeń, mogłaby nie wyjawiać swojej tajemnicy, gdyby jednak zdecydowała się na ten krok, musiałaby składać obowiązkowe wizyty u okolicznych mieszkańców. A po wspólnych wyprawach z Joan wiedziała aż za dobrze, co takie odwiedziny za sobą pociągają. Konieczność czytania. Zwracania uwagi ludzi na pewne zagadnienia w „Pójdź za mą gwiazdą”, wyszukiwania w Biblii odpowiednich ustępów, przekonywania, które często popierać trzeba odwoływaniem się do słowa drukowanego.

— Muszę się zastanowić — odpowiedziała zwykłym sobie apatycznym tonem na nalegania Joan. — To poważny krok.

— Krok w stronę Betlejem, nigdy go nie pożałujesz. Syn Człowieczy przychodzi w nocy niby złodziej, lecz panna głupia lampie zgasnąć pozwoliła. Zapamiętaj to, Eunice.

Rozmowa odbyła się w pewne zimne i dżdżyste popołudnie, kiedy Eunice wybrała się pieszo do sklepu w miasteczku, ażeby napić się herbaty, pogawędzić nieco i kupić swój tygodniowy zapas czekolady, która znowu stała się nieodłącznym składnikiem jej menu. W chwili gdy razem z Joan wychodziła ze sklepu, Jacqueline opuszczała właśnie dom pani Cairne po załatwieniu jakiejś sprawy Stowarzyszenia Kobiecego. Spozobregła obie kobiety, one jednak jej nie zauważyły. Chociaż Joan doszła zaledwie do trójkątnego trawniczka, nie ulegało wątpliwości, że pożegnanie, jakiego Jacqueline była świadkiem, nie może być uznane za typowe pożegnanie sklepikarki z klientką. Joan, ze swoim donośnym, krzykliwym śmiechem, szturchnęła Eunice w ramię, jak to zwykle robią kobiety jej pokroju, chcąc żartobliwie napomnieć przyjaciółkę. Potem Eunice ruszyła w stronę Lowfield Hall i jeszcze dwa razy się obejrzała, żeby pomachać Joan, która z zapalem odpowiadała jej tym samym gestem.

Jacqueline uruchomiła samochód i dopędziła Eunice zaraz za mostem.

— Nie wiedziałam, że się panie przyjaźnicie — powiedziała, kiedy panna Parchman bez specjalnego entuzjazmu usiadła obok.

— Czasem się widzujemy — odrzekła Eunice.

Trudno było coś na to odpowiedzieć. Jacqueline czuła, że na dobrą sprawę nie bardzo może nakazywać swojej gospodyni, z kim się ma przyjaźnić, a z kim nie powinna. W każdym razie nie w dzisiejszych czasach. Był to dzień, kiedy Eunice nie miała wychodnego, ale od wyjazdu Coverdale'ów na wakacje wszyscy dawno już zapomnieli o wyznaczonych pierwotnie wolnych popołudniach czy wieczorach. Wychodziła, kiedy chciała. Bo właściwie, dlaczego by nie? Nie zaniedbywała przecież swoich obowiązków w Lowfield Hall, o tym w ogóle nie było mowy. A jednak Jacqueline, która nie miała swojej gospodyni nic do zarzucenia, wprawiły w zdumienie mgliste obawy, jakie ogarnęły George[^] pięć miesięcy temu, poczuła się nagle nieswojo.

Eunice siedziała obok niej i jadła czekoladki. Nie robiła tego głośno ani nieestetycznie, ale czyż nie był dziwny sam fakt, że je zajada, żując w milczeniu i nawet nie proponując, aby pani Coverdale też się poczęstowała? Żadna siła nie zmusiłaby Jacqueline do zjedzenia czekoladki, ale mimo wszystko... I na dobitkę ta zażyłość z panią Smith, jakby były serdecznymi przyjaciółkami. Postanowiła nie wspominać o całej sprawie George'owi z obawy, aby nie utwierdził jej w tych wątpliwościach.

Natomiast tego wieczora, ze swoistą kobiecą przewrotnością, wyносиła Eunice pod niebiosa, zwracając szczególną uwagę na pięknie wyczyszczone srebra.

W Norwich Melinda Cöverdale — rozsądnie czy nie — straciła dziewictwo z Jonatanem Dexterem. Stało się to wówczas, gdy wypili u niego w pokoju butelkę wina, a Melinda spóźniła się na ostatni autobus. Oczywiście ani wino, ani autobus nie były dziełem przypadku. Oboje myśleli o tym w duchu przez cały wieczór, ale nazajutrz okoliczności te okazały się dla Melindy dogodnym usprawiedliwieniem. Melindzie zresztą nie potrzeba było specjalnego pocieszenia, bo kiedy codziennie widywała Jonatana, a większość nocy spędzała w jego pokoju, była po prostu bardzo szczęśliwa. Przez dwa tygodnie język staroangielski Sweeta i gramatyka historyczna Baugh leżały nietknięte, a co do Goethego, Jonatan zupełnie gdzie indziej odnalazł swoje powi-nowactwo z wyboru.

W Lowfield Hall Jacqueline zrobiła na Boże Narodzenie cztery puddingi. Jeden z nich przeznaczony był dla Caswallów, którzy nie mieli odwagi przyjeżdżać z dwojgiem małych dzieci do Greeving na święta. Jacqueline zastanawiała się, co kupić George'owi, ale miał już wszystko — ona zresztą też. Eunice asystowała jej przy lukrowaniu świątecznego ciasta i kiedy gipsowy Święty Mikołaj, ptaszki i liście ostrokrzewu umocowane już były na polewie, Jacqueline spodziewała

się, że służąca powie cokolwiek na ten temat — przypomni sobie coś z przeszłości albo rozmarzy się na chwilę — Eunice jednak poprzestała na wyrażeniu nadziei, że ciasta wystarczy, a i to dopiero wtedy, gdy Jacqueline zapytała ją o zdanie.

Religie Wschodu przestały istnieć dla Gilesa od czasu, kiedy rozczarował się do Indii. Poza tym i tak nie dałyby się pogodzić z planami, jakie Giles miał co do losów własnych i Melindy. Wyobrażał sobie, jak mieszkają razem — oboje zagorzali katolicy — i cierpią męki, chcąc zachować cnotę i czystość. Być może zostałby zakonnikiem, a gdyby i Melindą wstąpiła do klasztoru, niewykluczone, że dostawaliby — powiedzmy dwa razy do roku — specjalne dyspensy, żeby się zobaczyć i w skromnym odzieniu wypić razem herbatę w jakiejś zacisznej kafejce, nie pozwalając oczywiście, aby ręce ich się spotkały. Albo jak Lancelot i Ginewra — z pominięciem, rzecz jasna, zaznanych wcześniej rozkoszy — którzy spotykają się przedzieleni nawą kościelną, posyłają sobie długie i głębokie spojrzenia, po czym bez słowa się rozstają. Nawet Gilesowi pomysł ten zdawał się dość ekscentryczny. Zanim jednak mógł przywdziać szaty duchowne, musiał zostać katolikiem, dlatego też rozglądał się w Stantwich za kimś, kto by mu udzielił stosownych nauk. „Łacina i greka okazały się użyteczne, toteż Wergiliusza i Sofoklesa zaszczycono nieco łaskawszą uwagą”. Giles umieścił owo zdanie Chestertona na ścianie, obok powiesił fragment o pociąganiu za sznurek i do tego zaczął studiować Newmana.

Zima odarła z liści drzewa w lesie i żywopłoty, a za pługiem pana Meadowsa polatywały z krzykiem mewy. Czerwone światło hrabstwa Suffolk stało się blade i opalizujące, natomiast niebo — Ziemia najdalej się teraz odwróciła od Słońca — jakby zielonkawe, ze smugami wydłużonych, maślanożółtych chmur. „Kiedy śnieg drogi wszystkie

zawiewa i tylko sowa śród nocy śpiewa*.³ Dym z kominów unosił się szarymi pióropuszcami ponad dachami domów.

— Jakie masz plany z okazji Narodzin Pana? — spytała Joan takim tonem, jakim się zaprasza przyjaciela na przyjęcie urodzinowe.

— Co proszę? — Eunice nie zrozumiała.

— Mówię o Bożym Narodzeniu.

— Zostaję w Lowfield Hall. Będą goście.

— To skandal, że akurat dzień Narodzenia Pańskiego spędzać musisz w gronie grzeszników. W tej bandzie wszyscy tyle samo warci. Pani Higgs, która jeździ motorowerem, powiedziała Normanowi, że Giles zadaje się z księżmi katolickimi. Pan Bóg nie życzy sobie, moja droga, abyś zatruwana była takim jadem.

— To jeszcze chłopiec — odparła Eunice.

— Nie można tego powiedzieć o jego ojcu-cudzo-łożniku. Śmiał przychodzić tutaj i zarzucać Normanowi, że zagląda do jego korespondencji! Mój Boże, jak daleko jeszcze posuną się bezbożnicy w prześladowaniu wybranych! A może przyjdiesz do nas? U nas, naturalnie, będzie bardzo spokojnie, ale chyba mogę ci obiecać uczciwą przekąskę i towarzystwo oddanych przyjaciół.

Eunice powiedziała, że chętnie. Piły właśnie herbatę w niechlujnym saloniku Joan, kiedy trzeci oddany przyjaciel — w osobie Normana Smitha — wkroczył do pokoju spragniony obiadu. Zamiast mu go podać, Joan wróciła po raz któryś z kolei do swojej spowiedzi. Była ją w stanie wywołać nawet najmniejsza wzmianka o bliźnich, którzy zgrzeszyli — przynajmniej jej zdaniem — w podobny sposób.

³* William Szekspir, „Stracone zachody miłości”, akt V, sc. 2, przełożył Leon Ulrich (przyp. tłum.).

— Ty, Eunice, żyjesz cnotliwie, więc nie możesz sobie nawet wyobrazić, jakie pędziłam życie, kiedy wydawałam swoje ciało, świątynię Pana, na pastwę hołoty z Shepherd's Bush. Ulegałam jej mimo całej ohydy żądań, godziłam się na wszelkie odrażające zachcianki, o których nie wspomniałabym żadnej kobiecie — a wszystko dla pieniędzy, bo mój mąż nie potrafił zarobić na jakie takie utrzymanie.

Norman zdobył się wreszcie na odwagę. Był po dwóch whisky w „Błękitnym Dziku”. Podszedł do Joan i chlasnął ją w twarz. Joan, kobieta bardzo drobna, spadła z krzesła, wydając jakieś gulgoczące dźwięki.

Eunice wstała wolno i groźnie. Ruszyła na Normana i chwyciła go za gardło. Jedną ręką trzymała zwiotczałą skórę szyi — w sposób, w jaki mogłaby trzymać pasmo włóczki — drugą opuściła mu ciężko na ramię.

— Daj jej spokój.

— Mam tego wysłuchiwać, co?

— Bo cię tak potrząsnę, że wyzioniesz ducha. — Eunice wprowadziła pogroźkę w czyn. Sprawiało jej to wyraźną przyjemność i nawet poczuła niejakiemu zdziwienie, że nigdy dotąd nic podobnego nie robiła. Norman kulił się i drżał, gdy nim trzęsła, oczy wyszły mu na wierzch, usta rozwarły się szeroko.

Joan nie zawiodła się licząc, że Eunice zawsze stanie w jej obronie.

Teraz usiadła i powiedziała dramatycznym tonem:

— Na Boga, uratowałaś mi życie!

— Brednie — odezwał się Norman. Wyrwał się Eunice i stał teraz pocierając szyję. — Rzygać mi się chce, jak na was patrzę. Stare wiedźmy.

Joan wdrapała się z powrotem na krzesło i dokonała oględzin: miała spuszczone oczko w pończosze i zapowiedź niewielkiego sińca pod okiem. Norman nic jej właściwie nie zrobił. Był za słaby, a co najważniejsze, za bardzo bał się żony. Na szczęście nie uderzyła się w głowę, kiedy spadała z krzesła. Coś jednak stało się z nią w wyniku owego słabego ciosu i upadku. Przeobrażenie miało raczej charakter psychiczny, nie fizyczny, i kto wie, czy w jakiś sposób nie wiązało się ze zmianami hormonalnymi wieku przekwitania. Bez względu na przyczynę pani Smith nie była już tą samą osobą. Naturalnie przemiana dokonywała się stopniowo i owego wieczoru objawiła się jedynie mocniejszym blaskiem oczu i podwyższonym tonem głosu. Ale właśnie ten wieczór stał się początkiem. Joan dotarła na skraj przepaści, w której nie było już nic poza czystym szaleństwem; balansowała przez pewien czas na brzegu, aż wreszcie po dwóch miesiącach pchnął ją na dno nieokiełznany fanatyzm.

— Wejdźmy od frontu — powiedziała Eunice, kiedy wracały ze spotkania Bractwa Objawienia. Czują, że Joan nie jest mile widziana w Lowfield Hall, chociaż z ich dotychczasowych rozmów nic podobnego nie wynikało, a nawet wręcz przeciwnie: podczas pierwszej wizyty zapewniała Eunice, że Coverdale'owie nie mieliby nic przeciwko zwiedzeniu przez nią ich domu, bo przecież „w miasteczku wszyscy są przyjaciółmi”. W obecności Eunice ani George, ani Jacqueline nie wspominali nigdy o swoich podejrzeniach dotyczących korespondencji, ale w jakiś sposób — chyba dzięki swej szczególnej, choć czasem zawodnej intuicji — Eunice po prostu, wiedziała, jak się sprawy mają, była też pewna, że gdyby przyprowadziła do domu panią Higgs od motoroweru albo żonę Jima Meadowsa, obie zostałyby serdecznie

przyjęte przez każdego członka rodziny Coverdale'ów, który by je akurat zobaczył.

Joan nie zamierzała długo tu zabawić, bo Eunice — chodziło o jakiś tajemniczy plan związany z prezentem gwiazdkowym — miała tylko wziąć jej miarę. Były już właśnie na górnym piętrze, kiedy otworzyły się nagle drzwi i na schody wyszedł Giles.

— Mnie się on wydaje niespełna rozumu — powiedziała Joan już w pokoju Eunice. Gwałtownym ruchem zdjęła biały płaszcz. — Jakby niedorozwinięty, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

— Nie piśnie słowa — zapewniała ją Eunice.

Myliła się jednak.

Giles nie pisnąłby słowa, gdyby go nie zapytano. Nie było to w jego stylu. Schodził na dół po słownik grecki, który, jak mu się zdało, zostawił w saloniku. Zastał tam przy telewizji matkę słuchającą koncertu muzyki kameralnej. George wyszedł na pół godziny zobaczyć się z generałem, bo mieli zastanowić się wspólnie, jak nie dopuścić do projektowanej budowy czterech nowych domów na parceli koło mostu.

Jacqueline podniosła oczy na Gilesa i uśmiechnęła się.

— O, kochanie — powiedziała — to ty?

— Mhm — mruknął i pod stosem niedzielnych gazet zaczął szukać po omacku swojego Liddella i Scotta.

— Zdawało mi się, że ktoś jest na schodach, ale pomyślałam, że to pewnie wraca panna Parchman.

Od czasu do czasu przemykało Gilesowi przez myśl, że powinien może przynajmniej raz dziennie odezwać się do matki całym zdaniem, a nie tylko monosylabami. W gruncie rzeczy bardzo ją kochał. Przemógł się więc. Wstał — ze strzechą na głowie, pryszczaty i krót-

kowzroczny, nieobecny myślami młody profesor, uginający się pod ciężarem uczonej księgi.

— Miałaś rację — powiedział w charakterystyczny dla siebie sposób, jak zwykle dowodzący całkowitego oderwania od rzeczywistości. — Przyszła z tą starą ze sklepu.

— Z jaką starą? Wyrażaj się jasno, Giles.

Giles nie znał nazwisk ludzi z miasteczka. Bez koniecznej potrzeby nigdy tam nie bywał.

— Mówię o tej trzepniętej blondynce — odparł Giles.

— Pani Smith?!

Skinął głową i oddalił się w kierunku drzwi. Słownik miał otwarty i mruczał coś pod nosem, co dla Jacqueline brzmiało jak „anatema, anatema”. Straciła nagle cierpliwość. Zapomniała na chwilę, co powiedział i jakie znaczenie może mieć ta wiadomość.

— Giles, kochanie, nie powinieneś mówić o ludziach, że są trzepnięci. Giles, błagam, zaczekaj chwilę. Czy czasem wieczorem nie mógłbyś posiedzieć z nami na dole? Chodzi mi o to, że nie możesz aż tyle czasu poświęcać na lekcje, sam wiesz doskonale, że mógłbyś je odrabiać z zamkniętymi oczami. Stajesz się odludkiem, niedługo będziesz jak ten, co to siedział na słupie!

Giles ponownie skinął głową. Napomnienie, prośba, pochlebstwo — wszystko to nie dotarło do jego świadomości. Pocierając jedną ze swoich krost, zastanawiał się z całą powagą.

Wreszcie przemówił: — Święty Szymon Słupnik — i wolnym krokiem wyszedł z pokoju, zostawiając drzwi otwarte.

Jacqueline, poirytowana, trzasnęła nimi z impetem. Tymczasem koncert się skończył, ale ona jeszcze przez jakiś czas siedziała i myślała o tym, jak gorąco kocha syna, jak dumna jest z jego sukcesów w

nauce, jak wielkie łączy z nim nadzieje — ale że byłaby znacznie szczęśliwsza, gdyby choć trochę bardziej przypominał dzieci George'a. Potem jednak — ponieważ i tak wszelkie próby oddziaływania na Gilesa kończyły się fiaskiem, a przecież nadejdzie dzień, kiedy chłopak będzie wreszcie normalny i miły — Jacqueline wróciła myślą do tego, co jej powiedział. Joan Smith. Ale nie zdążyła głębiej się zastanowić nad sprawą, bo wrócił George.

— Coś mi się widzi, że popsujemy im szyki. Albo przewiduje się na tym terenie założenie parku narodowego, albo nie. Gdyby miało dojść do rozprawy, musimy się wszyscy złożyć i wziąć adwokata. Mówisz, że rada parafialna jest stanowczo przeciwna?

— Tak — odpowiedziała Jacqueline. — George, pani Smith ze sklepu jest na górze. Przyszła z panną Parchman.

— Tak mi się zdawało, że widziałem na drodze furgonetkę Smithów. A to pech!

— Kochanie, nie chcę jej tutaj. Wiem, że to śmieszne, ale słabo mi się robi, kiedy pomyślę, że ona tu jest. Rozpowiada wszystkim, że Jeffrey dostał rozwód z mojej winy, podając ciebie jako współodpowiedzialnego, mówi, że to alkoholik, i tak dalej, i tak dalej. Poza tym wiem na pewno, że otworzyła ostatni list od Audrey.

— Nic w tym nie ma śmiesznego. Ta 1 kobieta jest niebezpieczna. Czy jej coś mówiłaś?

— Nie widziałam jej. Wiem od Gilesa.

George otworzył drzwi. Zrobił to dokładnie w chwili, kiedy Eunice i Joan wymykały się po ciemku na dół. Zapalił światło, doszedł korytarzem do schodów i tam spotkał obie kobiety.

— Dobry wieczór, pani Smith.

Eunice była wyraźnie zmieszana, ale Joan okiem nie mrugnęła.

— O, jak się pan miewa, panie Coverdale? Wieki się nie widzieliśmy. Okropnie zimno, prawda? Ale też czego się można spodziewać o tej porze roku.

George otworzył drzwi frontowe i trzymał przed nią szeroko otwarte.

— Dobranoc — rzucił krótko.

— Do zobaczenia! — Joan wybiegła na zewnątrz, chichocząc jak uczennica, którą przyłapano na wagarach.

George wolno zamknął drzwi. Kiedy się odwrócił, Eunice już znikła. Jednakże rano, przed śniadaniem, poszedł do niej do kuchni. Tym razem nie dokonywała cudów z jego frakową koszulą. Robiła grzanki. Dotychczas był przekonany, że jest po prostu nieśmiała i na karb nieśmiałości składał wszystkie jej dziwactwa. Teraz jednak — podobnie jak niegdyś przed pół rokiem — zaczął wyczuwać wokół niej jakąś niemiłą aurę. Odwróciła się rzucając mu takie spojrzenie, jakim obdarzyła go raz krowa, rozdrażniona tym, że za blisko podszedł do jej cielęcia. Nie powiedziała „dzień dobry”, nie odezwała się ani słowem, bo wiedziała, dlaczego przyszedł. George'a chwyciła gwałtowna niechęć do tej kobiety i zapragnął, żeby w kuchni znowu był bałagan, żeby garnki czekały nie umyte od poprzedniego wieczoru, a wśród tego wszystkiego uwijała się jakaś nieudolna cudzoziemka.

— Niestety, panno Parchman, mam pani do zakomunikowania coś niezbyt przyjemnego, więc postaram się mówić krótko. Żona i ja nie zamierzamy wtrącać się do pani spraw osobistych, ma pani pełną swobodę w wyborze przyjaciół. Ale musi pani zrozumieć, że Joan Smith nie ma wstępu do tego domu.

Biedny George uderzył w zbyt może patetyczny ton. Ale kto w tej sytuacji zdobyłby się na inny?

— Ona nie robi nic złego — powiedziała Eunice i coś powstrzymała ją przed dodaniem „proszę pana”. Od tego czasu ani George, ani Jacqueline nie mieli już nigdy słyszeć z jej ust owego grzecznościowego zwrotu.

— O tym już ja będę sądził. Oczywiście ma pani prawo znać przyczyny mojej niechęci do Joan Smith. Moim zdaniem trudno mówić, że ktoś nie robi nic złego, skoro wiadomo, że rozpowszechnia złośliwe oszczerstwa i nadużywa stanowiska męża, który jest kierownikiem oddziału pocztowego. To wszystko. Nie mogę, rzecz jasna, zabronić pani odwiedzać Joan Smith w jej własnym domu. To już inna sprawa. Ale tutaj jej sobie nie życzę.

Eunice nie zadawała żadnych pytań ani się nie usprawiedliwiała. Wzruszyła tylko swoimi szerokimi ramionami, odwróciła się i wyciągnęła ruszt, na którym leżały trzy spalone grzanki.

George wyszedł natychmiast. Ale już za progiem kuchni usłyszał głos Eunice i był pewien, że powiedziała: „Niech pan patrzy, co przez pana narobiłam!”

W samochodzie opowiedział całą historię Gilesowi, bo miał go akurat obok, był pod wrażeniem porannego spotkania z Eunice, a poza tym raz przynajmniej mógł się nie głowić, o czym by tu z chłopcem porozmawiać.

— Sam rozumiesz, nie jest mi łatwo wygłaszać podobne sądy, ale ta kobieta ma w sobie coś naprawdę nieprzyjemnego. Może nie powinienem ci tego mówić, ale przecież jesteś dorosły i musisz wiedzieć, musisz być na to wyczulony. Nie potrafię znaleźć dla niej właściwego słowa...

— Odpychająca — podsunął Giles.

— Otóż to! — George był tak zadowolony — nie tylko z powodu znalezienia trafnego przymiotnika, ale i dlatego, że sam Giles mu go

podpowiedział i to całkiem chętnie — aż oderwał wzrok od drogi, ale zaraz musiał szarpnąć gwałtownie kierownicą, bo potraciłby sędziwego labradora pana Meadowsa, spacerującego najspokojniej w świecie środkiem drogi. — Patrz, gdzie idziesz, staruszkule! — zawołał za nim George z ulgą i czułością w głosie. — „Odpychająca” to dobre słowo. Tak, na jej widok ciarki mnie przechodzą. Tylko co można zrobić, Giles, mój chłopcze? Chyba się z tym pogodzić?

— Mhm.

— Powiem szczerze, że trochę mnie to zdenerwowało. Ale kto wie, może przesadzamy? W końcu tak skutecznie wyręcza twoją matkę w pracy.

Giles ponownie odpowiedział: „Mhm”, otworzył teczkę i zaczął mamrotać urywki z Owidiusza. George, zawiedziony i świadom faktu, że tamto natchnione włączenie się Gilesa do ich najzupełniej jednostronnej dyskusji już się nie powtórzy, westchnął tylko i dał spokój. Błysnęła mu jednak dość przerażająca myśl. Otóż miał intuicyjne przeświadczenie, że gdyby Eunice umiała prowadzić samochód i gdyby to ona przed pięcioma minutami siedziała na jego miejscu za kierownicą, nie skręciłaby, aby ominąć psa — czy nawet dziecko.

*

Jacqueline zostawiła na stole w kuchni wiadomość, że nie będzie jej przez cały dzień. Nie chciała widzieć się z Eunice, która sprzątała właśnie na górze „dziecinna” łazienkę. Niedobrze się stało, jak stwierdziła po namyśle, że Giles powiedział jej o Joan Smith, a jeszcze gorzej, że dała się ponieść nastrojowi chwili i zwierzyła się ze wszystkiego George'owi. Eunice mogła teraz odejść albo zagrozić odejściem. Jacqueline przejechała przez miasteczko, kierując się w stronę domu Jameson-Kerrów, a kiedy zobaczyła brudne okna, grubą warstwę kurzu na wszystkich sprzętach i czerwone ręce przyjaciółki, powiedziała

sobie, że musi zatrzymać służącą za 'wszelką cenę i że wobec tego sporadyczne wizyty Joan Smith nie są wcale ceną wygórowaną.

Joan zauważyła przejeżdżający samochód i ubrała się w swój włochaty płaszcz.

— Do Lowfield Hall, co? — spytał Norman. — Dziwne, że jeszcze nie zamieszkałaś z tą panną Frankenstein.

Joan zrezygnowała już z częstowania męża swoją biblijną gadaniną. Był jedynym człowiekiem, któremu udało się od tego uwolnić.

— Już ty nic na nią nie mów! Gdyby nie ona, pewno bym już nie żyła.

Norman, żując gumę, zajrzał do jednego ze swoich worków.

— Tyle krzyku o jeden policzek.

— Gdyby nie ona — zawołała Joan, a był w tym przebłysk dowcipu — nie przeglądałbyś worków z pocztą, tylko byś je szył!

Wskoczyła do furgonetki i z hałasem przejechała przez most. Eunice była w kuchni i wkładała do pralki prześcieradła, koszule i obrusy.

— Widziałam, jak odjeżdżała samochodem, więc pomyślałam sobie, że wpadnę. Miałaś wczoraj awanturę?

— Bo ja wiem. — Eunice zamknęła pokrywę pralki i nastawiła wodę na herbatę. — On mówi, że masz tu nie przychodzić.

Joan zareagowała głośno i gwałtownie.

— Wiedziałam, że tak będzie! Czuję pismo nosem. Nie po raz pierwszy, Eunice, i nie ostatni prześladowuje się sługi Boże. — Zatoczyła koło chudą ręką, omal nie strącając dzbanka z mlekiem. — Tylko popatrz, ile ty dla nich robisz! Czy robotnik w winnicy nie jest wart swego zarobku? Gdybyś nie miała tej klitki na górze, musiałby ci pła-

cić dwa razy tyle, ale on o tym nawet nie pomyśli. Jest li tylko odnajmującym pokój, a od kiedy to gospodarze mają prawo wtrącać się do czyichś przyjaźni? — Głos jej stał się drżący i piskliwy. — Nawet jego córka rozpowiada na prawo i na lewo, że on ma faszystowskie zapędy. Nawet krewni trzymają się od niego z daleka. Biada temu, kim pogardza Pan!

Eunice, nieporuszona tą przemową, patrzyła tępo na czajnik z gotującą się wodą. Nie wezbrała w niej fala uwielbienia dla Joan, nie dał o sobie znać żaden odruch lojalności. Nie miało do niej dostępu żadne uczucie rozpalające człowieka w chwili, gdy zagrożone są jego podstawowe prawa. Od poprzedniego wieczora czuła po prostu, że zaczęto się wtrącać do jej spraw osobistych. Wreszcie dobitnie, lecz głosem zupełnie bezbarwnym powiedziała:

— Nie mam zamiaru się przejmować.

Joan wybuchnęła krzykliwym śmiechem. Była ogromnie uradowana. Podniecenie wprost ją rozsadzało.

— Wspaniale, kochanie, oto cała moja Eunice! Zmusisz go, żeby się poddał. Pokażesz mu, że nie każdy musi tańczyć tak, jak on zagra.

— Zaparzę herbatę powiedziała Eunice. — Rzuć okiem na jej kartkę. Zostawiłam na górze okulary.

W ciągu całego semestru Melinda była w domu zaledwie dwa razy, teraz semestr właśnie się skończył. Jonatan wybierał się z rodzicami do Kornwalii, skąd miał wrócić dopiero po Nowym Roku. Państwo Dexte- rowie zaprosili również Melindę, ale nawet miłość nie

mogła sprawić, żeby wyrzekła się Gwiazdki w Lowfield Hall. Po rozstaniu z Jonatanem i wzajemnych zapewnieniach, że codziennie będą do siebie dzwonić i często pisać, Melinda odjechała pociągiem do Stantwich.

I znów Geoff Baalham podwiózł Melinę od Rozdroża pod Szubienicą. Nie był to specjalny zbieg okoliczności, ponieważ mniej więcej o tej porze Geoff kończył zawsze rozwożenie jajek i wracał do domu. Jednakże osiemnastego grudnia o piątej po południu było już ciemno, Geoff miał w ciężarówce zamknięte okna i włączone ogrzewanie, a Melinda siedziała w afgańskim kożuszku i wielkim futrzanym kapeluszu. Tylko buty były te same.

— Cześć, Melinda! Rzadki z ciebie gość. Tylko mi nie mów, że to studia zatrzymują cię w Norwich.

— A co na przykład?

— Nowy chłopak, przynajmniej tak słyszałem.

— Czy w tej dziurze każda sprawa musi być publiczną tajemnicą? A teraz mów, co słyhać.

— Barbara spodziewa się dziecka. W lipcu będziemy mieli nowe Baalhamiátko. Melinda, czy jesteś w stanie wyobrazić sobie mnie w roli ojca?

— Będziesz znakomity. Strasznie się cieszę, Geoff. Pamiętaj, pozdrów ode mnie Barbarę.

— Na pewno pozdrowię — odpowiedział Geoff. — Zaraz, zaraz, co jeszcze? Moja ciocia Nellie paskudnie przewróciła się na rowerze i teraz leży z potłuczoną nogą. A słyszałaś, że twój tata wyrzucił z domu panią Smith?

— Nie mów!

— Fakt. Przyłapał ją, jak wymykała się z waszą szanowną gospodynią, i zabronił jej pokazywać się w tym domu, a potem ją wyrzucił. Ma cały bok posiniaczony, przynajmniej tak słyszałem.

— Wstrętny reakcjonista, sam powiedz. Przeróżające!

— Nie wiem, czy takie przeróżające, jak się pomyśli, co ona wygaduje o twojej mamie i że otwiera ich listy. W każdym razie tak słyszałem. No, tu cię zostawiam i powiedz mamie, że podrzucę jajka w poniedziałek z samego rana.

Geoff ruszył do domu, do Barbary i kurcząt, myśląc o tym, jaka miła dziewczyna z tej Melindy — co za cudaczny kapelusz! — i że jej chłopak wygrał los na loterii.

— Czy naprawdę wyrzuciłeś z domu panią Smith i posiniaczyłeś jej cały bok? — zawołała Melinda, wpadając z impetem do saloniku, gdzie George na dywanie przykrytym brezentem czyścił strzelby, ponieważ w pokoju myśliwskim było za zimno.

— Piękne powitanie z ojcem nie widzianym od miesiąca! — George wyprostował się i ucałował córkę. — Dobrze wyglądasz. Jak się ma twój chłopiec? A teraz, co to za bajki, że poturbowałem panią Smith?

— Geoff Baalham mi mówił.

— Zupełna bzdura. Palcem baby nie tknąłem. Nawet nie odezwałem się do niej, powiedziałem tylko

„dobranoc”. Powinnaś się już chyba znać na małościasteczkowych plotkach, Melindo.

Melinda zerwała z głowy kapelusz i rzuciła go na krzesło.

— Ale powiedziałaś, że nie wolno jej tu więcej przychodzić?

— Owszem.

— Ach, biedna panna Parchman! Takie wtrącanie się do jej przyjaźni to istny feudalizm. Zamartwialiśmy się, że nikogo nie zna i nigdzie nie chodzi, a jak już znalazła sobie przyjaciółkę, ty jej zabraniasz tu przychodzić. Wstyd doprawdy!

— Melindo... — zaczął George.

— Postaram się być dla niej dobra. Będę miła i troskliwa. Strach pomyśleć, że panna Parchman może w ogóle nie mieć żadnych przyjaciół.

— Moje zastrzeżenia ograniczają się tylko do jej zamężnej przyjaciółki — odpowiedział George z nutką złośliwości w głosie i roześmiał się, kiedy Melinda wzburzona wybiegła z pokoju.

Tak oto owego wieczoru Melinda nadała fatalny bieg wydarzeniom, które bezpośrednio spowodować miały śmierć jej samej, jej ojca, macochy i przyrodniego brata. Zajął się sprawą, ponieważ była zakochana. Niezbyt odpowiada prawdzie twierdzenie, że cały świat miłuje zakochanego, bo to raczej zakochany miłuje cały świat. Pod wpływem własnego uczucia Melinda pragnęła obdarzyć miłością i szczęściem innych ludzi, ale tragedia polegała na tym, że obrała sobie za przedmiot właśnie Eunice Parchman.

Po obiedzie Melinda poderwała się z krzesła i ku zdumieniu Jacqueline pomogła Eunice sprzątnąć ze stołu. Eunice też była zdumiona, a w dodatku skonsternowana. Chciała czym prędzej uporać się ze zmywaniem, żeby o ósmej obejrzeć serial policyjny z Los Angeles, a tu napatoczyła się ta postrzelona dziewczyna, której wszędzie było pełno i która mieszała tłuste talerze ze szklankami do wody. Nie zamierzała nic mówić — nie leżało to w jej charakterze — ale miała nadzieję, że Melinda sama się zorientuje i pójdzie sobie.

Mimo żywiołowego sposobu bycia Melinda nie pozbawiona była delikatności i taktu, toteż zdawała sobie sprawę, że postąpiłaby nieloyalnie wobec ojca, wspominając o wydarzeniach ubiegłej niedzieli.

Zaczęła więc z innej strony, przy czym trudno by trafić na gorszy temat, z wyjątkiem jednego.

— Pani ma na imię Eunice, prawda, panno Parchman?

— Tak — odrzekła Eunice.

— To biblijne imię, ale pani na pewno o tym wie. Chociaż myślę, że tak naprawdę jest greckie. Eunika, a może raczej Eunike. Będę musiała spytać Gilesa. Nie miałam greki w szkole.

Jakiś talerz wpadł z łoskotem do zmywarki. Melinda, która zawsze szczekała naczyniami, nawet nie zwróciła na to uwagi. Usiadła na stole.

— Sprawdź. To chyba z Listu do Tymoteusza. Jasne! Eunike, matka Tymoteusza.

— Siedzisz na ścierce — powiedziała Eunice.

— O, przepraszam. Będę musiała sprawdzić, ale coś mi się zdaje, że tam jest mowa o matce Eunike i babce Lois. Pani matka nie miała chyba na imię Lois?

— Edith.

— To musi być staroangielskie. Prawda, że imiona to arcyciekawa sprawa? Ja swoje bardzo lubię. Moim zdaniem rodzice wykazali sporo dobrego smaku dając nam imiona Piotr, Paula i Melindą. Piotr przyjeżdża w przyszłym tygodniu, na pewno się pani spodoba. Gdyby miała pani syna, dałaby mu pani na imię Tymoteusz?

— Nie wiem — odpowiedziała Eunice, zastanawiając się jednocześnie, skąd to nagłe prześladowanie. 'Czyżby Melindą zaczęła jej dokuczać za namową ojca? A może chcą z niej po prostu zakpić? Jeżeli nie, to dlaczego ta narwana dziewczyna ciągle się uśmiecha i taka jest rozbawiona? Eunice starła energicznie wszystkie blaty i osuszyła zlew.

— A więc jakie jest pani ulubione imię? — padło kolejne pytanie inkwizytorki.

Eunice nigdy się nad tym nie zastanawiała. Znała tylko imiona swoich krewnych czy nielicznych znajomych i te, które słyszała w telewizji. Gorączkowo szukała wśród tych ostatnich, aż wreszcie przypomniała sobie ulubionego bohatera, którego najnowsze przygody mogły ją ominąć, gdyby się teraz nie pośpieszyła.

— Steve — odparła, po czym powiesiła ścierkę i wymaszerowała z kuchni. Ten wysiłek umysłowy zupełnie ją wyczerpał.

Melinda się nie zraziła. Biedna stara Parchman dąsa się najwyraźniej przez tę historię z Joan Smith, ale z czasem jej przejdzie. Lody zostały przełamane i Melinda żywiła nadzieję, że jeszcze przed końcem ferii nawiąże z gospodynią przyjazne stosunki.

— Eunike — powtórzył Giles, kiedy Melinda zadała mu pytanie, i powiedział: — Jeden gość, rozumiesz, spił się na przyjęciu i gdzieś o trzeciej nad ranem wracał zataczając się do domu, aż wylądował przy wejściu do jakiegoś dużego budynku mieszkalnego. No i przyjrzał się wszystkim nazwiskom przy dzwonekach i jedno było: Ś. W. Paweł. Więc nacisnął ten dzwonek, a kiedy facet zszedł na dół w piżamie, wściekły i zaspany, gość zapytał: „Niech mi pan powie, czy dostawał pan jakieś odpowiedzi na swoje listy”.

Giles wybuchnął gromkim śmiechem, zachwycony własnym dowcipem, po czym nagle sposepniał. Może nie powinien opowiadać takich kawałów, mając w perspektywie rychłe nawrócenie?

— Odbiło ci, braciszku — rzekła Melinda. Nie doceniała, i nigdy już nie miała docenić, że była jedyną osobą, w której obecności Giles wypowiadał więcej niż jedno oderwane zdanie. Myśli jej zaprzętała Eunice, którą zaraz potem odnalazła, uzbrojona w Biblię, a nazajutrz w słownik imion własnych. Pożyczyła jej czasopisma, dała do przejrzania wieczorną gazetę Georgia, a kiedy Eunice powiedziała jak

zwykle, że nie ma przy sobie okularów, usłużnie pobiegła po nie na górę.

Eunice żyła teraz w udręce wprost nie do zniesienia. Nie dość, że Melindą i Giles cały dzień kręcili się po domu i Joan Smith nie mogła jej odwiedzać, to na dobitkę Melindą albo bez przerwy siedziała u niej w kuchni, albo chodziła za nią „jak pies” — tak Eunice określiła to później w rozmowie z Joan. Poza tym cierpiała ustawiczne katusze, bo co mogła począć z tymi wszystkimi książkami i gazetami, podtykanymi jej co chwila pod nos — ale do tego już się Joan nie przyznawała.

— Eunice, domyślasz się naturalnie, o co w tym wszystkim chodzi? Wstydzą się swojego brzydkiego postępowania, więc namówili dziewczynę, żeby cię udobruchała.

— Czy ja wiem — odpowiedziała Eunice. — Ona mi działa na nerwy.

A nerwy — co sama przyznawała — dawały o sobie znać, jak jeszcze nigdy dotychczas. Była jednak bezsilna wobec Melindy, tej żywiołowej, nieokiełznanej dziewczyny. I od czasu do czasu, kiedy Melindą perorowała w jej obecności na temat imion, Biblii, Gwiazdki czy historyjek rodzinnych, zastanawiała się, co by też było, gdyby chwyciła któryś z długich kuchennych noży i zrobiła z niego użytek. Nie myślała oczywiście, co uczyniliby wówczas Coverdale'owie albo co stałoby się z nią samą — interesował ją skutek bezpośredni: przymknęłaby nareszcie tę buziuchnę, a białą szyję splamiłaby tryskająca krew.

*

Dwudziestego trzeciego przyjechali Piotr i Audrey Coverdale'owie.

Piotr był wysoki, miłej powierzchowności, przypominał raczej matkę niż ojca. Miał trzydzieści jeden lat. Dzieci nie mieli, zapewne świadomie, bo Audrey na pierwszym miejscu stawiała sukcesy zawodowe. Prowadziła bibliotekę uniwersytetu, na którym Piotr wykładał ekonomię polityczną. Ta elegancka, wytworna intelektualistka, o cztery lata starsza od męża, a więc zaledwie siedem lat młodsza od Jacqueline, była do niej szczególnie przywiązana. Zanim wstąpiła na bibliotekoznawstwo, studiowała w Królewskiej Akademii Muzycznej, której studentką, jeszcze przed pierwszym zamążpójściem, była również Jacqueline. Obie panie czytały podobne książki, przepadały za mozartowską i przedmozartowską operą, lubiły rozmawiać o modzie i sukniach. Pisywały do siebie regularnie, z tym, że listy Audrey czytała także Joan Smith.

Goście byli w domu zaledwie od dziesięciu minut, kiedy Melinda uparła się, że zaprowadzi ich do kuchni i przedstawi Eunice.

— Ona należy do domowników. To naprawdę okropne wstecznicstwo, żeby traktować ją niby jakiś sprzęt kuchenny.

Eunice przywitała się, podając wszystkim rękę.

— Czy wyjeżdża pani gdzieś na święta, panno Parchman? — spytała Audrey, która podobnie jak Jacqueline pochlebiała sobie, że ma zawsze na podorędziu temat do rozmowy z każdym, bez względu na jego pozycję społeczną.

— Nie — odpowiedziała Eunice.

— Jaka szkoda! Naturalnie nie dla nas. Pani strata to nasz zysk. A jednak miło jest spędzić święta z rodziną.

Eunice odwróciła się plecami i zaczęła wyjmować filiżanki do herbaty.

— Skądęście wzięli tę okropną kobietę? — Audrey spytała później Jacqueline. — Kochanie, aż skóra przy niej cierpnie. To istota pozbawiona cech ludzkich.

Jacqueline oblała się rumieńcem, zupełnie jakby dotknięto ją osobiście.

— Mówisz jak George. Nie zależy mi na przyjaźni ze służącą, chcę, żeby była, jaka jest, bo cudownie pracuje i w ogóle nie czuje się jej obecności. Mogę cię zapewnić, że zna swoją robotę.

— To samo można powiedzieć o węzach boa — odparła Audrey.

I tak nadeszła Wigilia.

George i Melindą przynieśli do domu gałązki ostrokrzewu i udekorowali nimi całe Lowfield Hall, natomiast z żyrandola w bawialni zwieszała się jemioła, dar pana Meadowsa, zdjęty z jego dębów. Coverdale'owie dostali ponad sto kart świątecznych, które wisiały teraz na sznurkach, tworząc pomysłową kompozycję autorstwa Melindy. Do Gilesa przyszły tylko dwie kartki, jedna od ojca i jedna od wuja, które jego zdaniem były tak szkaradne, że postanowił umieścić je na korkowej ścianie, gdzie Cytat Miesiąca głosił: „Zakochać się w sobie, to rozpocząć romans całego życia”. Melindą zrobiła łańcuchy z papieru, jasnoczerwone i zielone, jaskrawoniebieskie i ciepłozółte, dokładnie takie, jakie robiła rokrocznie od piętnastu lat. Jacqueline oceniała je podobnie, jak jej syn swoje karty świąteczne, ale za nic w świecie by tego nie powiedziała.

Bawialnia w dniu Wigilii prezentowała się wyjątkowo odświętnie. Panowie mieli na sobie smokingi, panie długie suknie. Jacqueline wystąpiła w kremowym aksamicie, a Melindą w kreacji z lat dwudziestych z podniszczonego granatowego krepdeszynu, haftowanej paciorkami kupionymi w Oxfamie. Otwierali podarunki, zaśmiecając dywan różnokolorowym papierem i błyszczącymi sznurkami. Podczas gdy Jacqueline rozwijała złotą bransoletkę, prezent od George'a, a Gi-

les z uczuciem zbliżonym do entuzjazmu oglądał sześć tomów pełnego wydania Gibbona, Melinda otworzyła paczkę od ojca.

Był to magnetofon.

15

Wszyscy pili szampana, nawet Giles. Matka wymogła na nim, żeby zszedł na dół, i siedział teraz, markotny, pogodzony z myślą o spędzeniu tu całego dnia. Nazajutrz miało być jeszcze gorzej, bo szykowało się przyjęcie. Melinda podzielała opinię brata — te wszystkie Cairny i Roystony! — i siedziała obok niego na podłodze, opowiadając, jaki cudowny jest Jonatan. Giles nie brał sobie tego specjalnie do serca. W końcu Byron nie przejmował się istnieniem pułkownika Leigh, a gdyby takie posiedzenia z Melindą odbywały się codziennie, święta byłyby nawet znośne. Wyobrażał sobie, że wszyscy dostrzegli ich zażyłość i są pod wrażeniem jej zagadkowego charakteru.

Jacqueline jednak nie zwracała wcale uwagi na syna, zadowolona tylko, że nareszcie siedzi z nimi razem, bo myślała intensywnie o jedynej nieobecnej w tej chwili osobie spośród domowników.

— Doprawdy, uważam — powiedziała — że należy zaprosić tu do nas pannę Parchman.

Rozległ się zgodny jęk, do którego nie przyłączyła się tylko Melinda.

— Banko w damskim wydaniu — odezwała się Audrey, a jej mąż dodał, że święta powinny być zawsze pogodne i wesołe.

— Ale trzeba też pamiętać o pokoju i dobrej woli — odrzekł George. — Jak wiecie, osobiście nie uważam tej kobiety za osobę sympatyczną, ale w końcu mamy Boże Narodzenie i nie jest miło pomyśleć, że siedzi samotnie.

— Kochanie, ogromnie się cieszę, że jesteśmy tego samego zdania. Pójdę i poproszę ją, a potem dodam jeszcze jedno nakrycie.

Ale Eunice nigdzie nie można było znaleźć. Posprzątała kuchnię, przygotowała warzywa i poszła do sklepu w miasteczku. A tam, w saloniku, którego nie przystrajał ani ostrokrzew, ani papierowe girlandy, Eunice, Joan i ponuro usposobiony Norman jedli pieczonego kurczaka, mrożony groszek i ziemniaki z puszki, a następnie świąteczny pudding ze sklepu. Eunice smakował ten posiłek, chociaż nie miałyby też nic przeciw kielbaskom. Joan nawet je przygotowała, ale zapomniała podać na stół i Norman, zaniepokojony osobliwym zapachem, znalazł je po tygodniu pleśniejące na patelni. Pili wodę mineralną, a potem mocną herbatę. Norman przyniósł sobie trochę piwa, ale Joan włożyła je do pojemnika na śmieci tuż przed wizytą śmieciarzy. Rozpływała się w zachwytach nad łososiowym sweterkiem, który zrobiła dla niej Eunice, wybiegła z pokoju, żeby go włożyć, potem paradowała w nim po mieszkaniu i przed upstrzonym śladami palców lustrem stroiła groteskowe pozy modelki. Eunice dostała olbrzymie pudło czekoladek i keks z zapasów sklepowych.

— Kochanie, jutro też przyjdiesz, prawda? — spytała Joan.

W ten sposób Eunice spędziła ze Smithami również drugi dzień świąt, pozostawiając Jacqueline całą robotę z przyrządzaniem jedzenia i napojów dla trzydziestu osób, które przyszły tego wieczora. Na Jacqueline podziałało to w sposób szczególny, dwojaki. Jak gdyby wróciła do dawnych czasów, kiedy cały ciężar prowadzenia domu spoczywał na jej barkach, i pod nieobecność Eunice zaczęła ją cenić nawet wyżej, niż kiedy służąca była w domu. Tak oto byłoby stale, gdyby Eunice odeszła. Przy tym jednak po raz pierwszy spojrzała na swo-

ją gospodynię oczami George'a, Audrey i Piotra i dostrzegła jej nieokrzesanie i prostactwo, ujrzała kobietę, która przychodzi i wychodzi, kiedy jej się podoba, i według której Coverdale'owie zależni są od niej tak bardzo, że ma ich wszystkich w ręku.

Minął Nowy Rok i Piotr z Audrey wrócili do domu. Proponowali Melindzie, żeby pojechała do nich na ostatni tydzień wakacji, ale odmówiła. Wyraźnie się czymś niepokoiła i to z każdym dniem coraz bardziej. Straciła humor, snuła się z kąta w kąt i nie przyjmowała zaproszeń przyjaciół z miasteczka. George i Jacqueline przypuszczali, że tęskni za Jonatanem, i taktownie nie zadawali żadnych pytań.

Melinda była im za to szczerze wdzięczna. Gdyby jej obawy okazały się uzasadnione — a wszystko na to wskazywało — i tak prędzej czy później musieliby się dowiedzieć. Miała jednak nadzieję, że wyjdzie z tarapatów obronną ręką, tak żeby George niczego się nie domyślił. Dzieci nie rozumieją rodziców, podobnie jak rodzice dzieci. Melinda miała szczęśliwe dzieciństwo i serdecznego, kochającego ojca, ale jej nastawienie do niego uległo wypaczeniu pod wpływem rówieśników, którzy inaczej traktowali swoich rodziców. Rodzice to zatwardziałe kołtuny, potrafią tylko prawić kazania. Wobec tego George i Jacqueline też muszą być tacy i osobiste doświadczenie Melindy nie zdołało tego wyroku zmienić. Wiedziała, że jest ulubienicą George'a. Tym gorzej. Tym boleśniejszy będzie zawód i rozczarowanie, jeżeli ojciec o wszystkim się dowie, a jego bezkrytyczna miłość przerodzi się w odrazę. Wyobrażała sobie wyraz jego twarzy, surowy i pełen niedowierzania wobec choćby najlżejszego podejrzenia, że coś podobnego mogło się przydarzyć jego najmłodszemu dziecku, jego ukochanej dziewczynce. Biedna Melinda. Zemdlałaby chyba z wrażenia, gdyby się dowiedziała, że George od dłuższego już czasu domyślał się, iż jej związek z Jonatanem nie ma bynajmniej platonicznego charakteru. Nie był tym wprawdzie zachwycony, ale dopóki wierzył, że młodych łączy miłość i zaufanie, z filozoficznym spokojem godził się z takim stanem rzeczy.

Oczywiście Melindą codziennie odbywała długie rozmowy telefoniczne z Jonatanem — George'a czekało zapłacenie potwornego rachunku — ale jak dotąd ani słowem się przed chłopcem nie zdradziła. Jednakże teraz, czwartego stycznia, czuła, że musi mu powiedzieć. Nie było to tak okropne, jak nieunikniona rozmowa z ojcem, ale zawsze przykre. Wszystko, co wiedziała o tego typu wyznaniach, pochodziło z lektury powieści i czasopism oraz z plotek miejscowych kumoszek. Kiedy kobieta przyznawała się w końcu mężczyźnie, przedstawiała go obchodzić, porzucał ją, nie chciał o niczym wiedzieć, a w najlepszym razie godził się wziąć na siebie odpowiedzialność, dając jednak wyraźnie do zrozumienia, kto tu jest naprawdę winien. Mimo wszystko musiała Jonatanowi powiedzieć. Ani dnia dłużej nie była w stanie sama dźwigać ciężaru tego straszliwego sekretu, tym bardziej, że rano po obudzeniu chwyciły ją torsje.

Zaczekała, aż George pojedzie do pracy, a Jacqueline z Gilesem wybiorą się drugim samochodem do Nun-chester. Jacqueline sądziła, że kiedy ona zajmie się zakupami, Giles tymczasem pójdzie spotkać się z kimś z przyjaciół — nareszcie! — w rzeczywistości jednak miał tego dnia otrzymać pierwsze nauki od Ojca Madigana. Eunice słała na górze łóżka. W Lowfield Hall były trzy telefony, jeden w saloniku, drugi w hallu i trzeci przy łóżku Jacqueline. Melindą postanowiła użyć aparatu w saloniku, ale kiedy zbierała się właśnie na odwagę, żeby wykręcić numer, telefon zadzwonił. Jonatan.

— Poczekaj sekundę, Jon — powiedziała. — Zamknę drzwi.

Akurat w momencie, kiedy Jonatan na chwilę położył słuchawkę obok telefonu, żeby zapalić papierosa, i kiedy Melinda zamykała drzwi saloniku, Eunice podniosła słuchawkę koło łóżka Jacqueline. Wcale nie szpiegowała. Sprawy Melindy były jej aż nazbyt obojętne i za bardzo mierziły ją względy okazywane przez dziewczynę, żeby miała zamiar rozmyślnie podsłuchiwać. Podniosła słuchawkę, bo tylko w ten sposób mogła dokładnie odkurzyć telefon. Gdy jednak rozle-

gły się pierwsze słowa Melindy, zdała sobie sprawę, że warto posłuchać dalszego ciągu.

— Och, Jon, okropna historia! Od razu ci wszystko wyjaśnię, chociaż śmiertelnie się boję powiedzieć. Jestem w ciąży. Wiem na pewno. Chorowałam dziś rano i mam już prawie dwa tygodnie opóźnienia. To będzie straszne, jak tatuś i Jackie się dowiedzą, on będzie w rozpacz, znenawidzi mnie, no i co ja mam robić?

Prawie płakała. Dławiąc się łzami, które lada chwila miały popłynąć strumieniem, czekała chwilę wśród pełnej napięcia ciszy. Jonatan odezwał się spokojnie:

— Cóż, Mel, masz dwa wyjścia.

— Tak? Powiedz jakie. Jedyne, co mi przychodzi do . głowy, to uciec gdzieś i umrzeć!

— Kochanie, nie rozklejaj się. Możesz przecież zawsze usunąć...

— Wtedy by się na pewno dowiedzieli. Gdybym nie mogła tego zrobić przez ubezpieczalnię, musiałabym mieć pieniądze, bo inaczej chcieliby znać adres kogoś z najbliższej rodziny.

Melinda dostała ataku hysterii. Podobnie jak niemal wszystkie kobiety w owej szczególnej sytuacji, dała się ponieść ślepej, bezrozumnej panice, usiłując wyzwolić się z klatki, jaką stało się jej własne ciało. Eunice zmarszczyła nos. Nie mogła dłużej słuchać tych bzdur i bredni. Być może w grę wchodziło jeszcze coś innego, jakieś podświadome ukłucie zazdrości lub rozgoryczenie, które kazało jej położyć słuchawkę. Właśnie położyć, a nie odłożyć na widełki. Nierozsądnie byłoby zrobić to przed końcem rozmowy tamtych dwojga. Odeszła, żeby zetrzeć kurz z toaletki, toteż dalszego ciągu rozmowy nie słyszała.

— Nie jestem zwolennikiem skrobanki — powiedział Jonatan. — Melindo, weź się w garść i uspokój się. Posłuchaj, tak czy owak chcę

się z tobą ożenić. Myślałem tylko, że powinniśmy poczekać, aż będziemy mieli dyplomy, pracę i co tam jeszcze. Ale to nie ma znaczenia. Pobierzemy się jak najprędzej.

— Och, Jon, jak ja cię kocham! Ale czy możemy? Musiałabym im powiedzieć, chociaż oboje mamy już skończone osiemnaście lat, ale, Jon...

— Żadne ale. Pobierzemy się, będziemy mieli to dziecko i będzie fajno. Przyjeżdżaj do Norwich jutro zamiast za tydzień, ja też wrócę autostopem, zatrzymasz się u mnie i wtedy pomyślimy, co dalej, okej?

Według Melindy było nawet bardzo „okej” — jeszcze przed chwilą płakała załamana, a teraz radość rozpieła jej serce. Nazajutrz pojedzie do Jonatana, a George'owi powie, że zamieszka u koleżanki w Lowestoft. Okłamywanie ojca to rzecz okropna, ale w końcu chodzi o zbożny cel — lepsze to, niż gdyby się dowiedział, a oni mieliby czekać na zapowiedzi albo na pozwolenie zawarcia ślubu i tak dalej... Piątego stycznia czuła się zupełnie dobrze. Zanim jeszcze spakowała walizkę, wiedziała, że jej obawy są bezpodstawne, że charakterystyczne objawy były najwyraźniej skutkiem zdenerwowania, a poczucie ulgi sprawiło, że znikły. Mimo wszystko jednak pojechała i ze stacji wzięła taksówkę do mieszkania Jonatana, chcąc jak najprędzej go powiadomić, że żadnego dziecka nie będzie.

Fakt, że zna czyjaś tajemnicę, przypomniawszy Eunice czasy, kiedy szantażowała homoseksualistę i oczywiście Annie Cole. Informację, jaką Eunice miała teraz w zanadrzu, usłyszałaby z przyjemnością Joan Smith, Joan, która czuła się trochę dotknięta, że Eunice nigdy jej nic nie mówi o osobistych sprawach Coverdale'ów. A jednak i tym razem Eunice nie zamierzała nic wyjawiać. Powierzona tajemnica przestaje być tajemnicą, szczególnie kiedy zdradza się ją komuś takiemu jak Joan Smith, która w mig rozpowiedziałyby wszystko wśród nielicz-

nych wiernych jeszcze klientów. Nie, Eunice chciała ukryć bezpiecznie sekret w swojej płaskiej, szerokiej piersi, bo przecież nigdy nie wiadomo, w którym momencie się przyda.

Dlatego też, kiedy następnego wieczoru wsiadła do furgonetki czekającej na nią na drodze do Greeving, o niczym nie wspomniała.

— Zauważyłam, że dziewczyna Coverdale'ów wracała wczoraj do szkoły — powiedziała Joan. — Trochę za wcześnie, he? Coś mi się widzi, że to oznacza tydzień rozwiązłego życia z tym jej chłopakiem. Ona źle skończy. Pan Coverdale to taki tyran, że potrafi wyrzucić z domu własne dziecko, jeżeli tylko zwęszy rozpustę.

— Czy ja wiem? — odparła Eunice.

Święto Trzech Króli, szósty stycznia, to dla uczniów Elroya Campsa najważniejsza data w kalendarzu. Zebranie stało się sensacyjnym wydarzeniem — dwa prawdziwe spontaniczne wyznania, z których jedno mogło nawet konkurować ze spowiedzią Joan, potem zaimprowizowana modlitwa, wykrzyczana przez Joan piskliwym głosem, wreszcie pięć hymnów.

Podążaj za gwiazdą! Podążaj za gwiazdą!

A Mędrzy nie zboczą z obranej raz drogi. Przez puszcze wędrują, przez góry, rozłogi, Bo gwiazda ich wiernie do celu prowadzi, I tych, co są biali lub czarni, lub śniadzi.

Jedli placek z kminkiem i pili herbatę. Joan była coraz bardziej podniecona, aż wreszcie dostała jakiegoś dziwnego ataku. Upadła na podłogę, wygłaszając prorocтва jak nawiedzona, i wymachiwała rękami i nogami. Dwie kobiety musiały zabrać ją do sąsiedniego pomieszczenia i uspokoić, chociaż w sumie członkowie Bractwa bardziej byli tą sceną zbudowani niż przerażeni.

Jedynie pani Elder Barnstaple, która uczestniczyła w tych spotkaniach wyłącznie przez wzgląd na męża, sprawiała wrażenie zaniepo-

kojonej. Przypuszczała jednak, że Joan po prostu udaje. Nikt z obecnych nie domyślał się, jak jest naprawdę, a mianowicie, że Joan Smith z każdym dniem bliższa jest obłądu i coraz wyraźniej traci kontakt z rzeczywistością. Była jak pływak, który osłabł i nie jest w stanie uchwycić się oślizłej skały. Teraz palce jej zsuwały się bezradnie, a prąd szaleństwa wciągał ją w odmęty.

Nie odzywała się prawie, kiedy wracały furgonetką do domu, od czasu do czasu tylko wybuchała nerwowym chichotem, przypominającym głos jakiejś nadprzyrodzonej istoty, która nawiedza długie i mroczne drogi wiejskie.

Nadeszła mroźna zima, zawodził lodowaty wiatr. Ewa Baalham twierdziła, że dni są coraz dłuższe, i miała rację, ale nikt tego prawie nie dostrzegał. W Greeving spadł pierwszy śnieg — puch śnieżny, (który od razu stopniał i ponownie zamarzał.

Na korkowej ścianie cytował ze świętego Augustyna: „Za późno pokochałem Cię, Panie, doskonałość Twa wieczna i nowa zarazem, spóźnionym ja z miłością moją”. Giles uważał, że jego droga do Rzymu nie należy do najprostszych, a to dlatego, że Ojciec Medigan, do niedawna jeszcze nawykły do obcowania z wieśniakami z Tipperary, spodziewał się po chłopcu ich niewiedzy i ślepej wiary. Nie mógł jakoś zrozumieć, że grekę i łacinę Giles zna lepiej od niego, a Tomasza z Akwinu przestudiował, zanim skończył szesnaście lat. W Norwich Melinda zaznawała błogiego szczęścia z Jonatanem. Nadal zamierzali się pobrać, ale dopiero za rok i trzy miesiące, kiedy Melinda zrobi dy-

plom. Zależało jej na dobrej posadzie, toteż zmierzała do celu wytrwale pracą nad Chaucerem i Gowerem, w przerwach zaś pochłaniała ją miłość i układanie rozlicznych planów.

Zimne blade słońce sunęło nisko po zimnym bladym niebie, niebieskawym i przejrzystym, kiedy indziej zaś wykwitowało świetlistym kłębkim na tle wysokich szarych chmur.

Dziewiętnastego stycznia Eunice skończyła czterdzieści osiem lat. Pamiętała o swoich urodzinach, ale nikomu o nich nie mówiła, nawet Joan. Od lat już nie dostawała z tej okazji pocztówek z życzeniami czy prezentów.

Była w domu sama. O jedenastej zadzwonił telefon. Nie lubiła odbierać telefonów, nie zdążyła się jeszcze do tego przyzwyczaić i za każdym razem była przerażona. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie lepiej w ogóle zignorować dzwonek, ale w końcu niechętnie podniosła słuchawkę i powiedziała: „Halo”.

Dzwonił George. Fabryka Konserw „Coverdale” zmieniła niedawno agencję reklamową i teraz szef owej agencji miał przyjechać na lunch, po czym przewidziane było zwiedzenie fabryki. George przygotował krótką historię firmy, założonej jeszcze przez jego dziadka, i przez roztargnienie zostawił w domu notatki.

Był przeziębiony, toteż głos miał stłumiony i chrapliwy.

— Panno Parchman, papiery, o które mi chodzi, leżą w biurku w saloniku. Nie jestem pewien, w którym miejscu, ale kartki są spięte razem i na wierzchu napisane jest dużymi literami: „Przedsiębiorstwo «Co- verdale» od roku 1895 do dnia dzisiejszego”.

Eunice nic nie odpowiedziała.

— Byłbym wdzięczny, gdyby pani to znalazła. — George kichnął gwałtownie. — Przepraszam. Na czym stanąłem? Aha. Nasz kierowca

jest już w drodze, więc proszę włożyć papiery do dużej koperty i oddać mu, kiedy się zjawi.

— Dobrze — zgodziła się Eunice bezradnie.

— Zaczekam przy telefonie. A pani poszuka, dobrze? Jak się znajdują, proszę wrócić i mi powiedzieć.

Biurko pełne było papierów, wiele z nich spiętych razem i opatrzonych takimi czy innymi tytułami. Eunice wahała się przez chwilę, po czym nie rozmawiając dłużej z George'em odłożyła słuchawkę. Telefon natychmiast zadzwonił ponownie. Nie odebrała go. Poszła na górę i schowała się w swoim pokoju. Telefon dzwonił jeszcze czterokrotnie, po czym odezwał się dzwonek do drzwi. I tym razem Eunice nie zareagowała. Co prawda nie obchodziła swoich urodzin, ale nie mogła oprzeć się poczuciu krzywdy, że zdarzyło jej się to właśnie tego dnia. Urodziny powinno się spędzać przyjemnie i w spokoju, bez takich niemiłych historii.

George nie mógł zrozumieć, co się stało. Kierowca wrócił z pustymi rękami, doradca odjechał nie zapoznawszy się z historią firmy. George zadzwonił po raz szósty i wreszcie połączył się z żoną, która wróciła właśnie z Nunchester po farbowaniu włosów. Nie, panna Parchman nie jest chora i przed chwilą wyszła na spacer. Po powrocie do domu George przede wszystkim odnalazł papiery, które leżały na samym wierzchu.

— Panno Parchman, co się stało? Ogromnie mi zależało na tych materiałach.

— Nie mogłam ich znaleźć — odpowiedziała Eunice.

Nakrywała do obiadu nie patrząc na George'a.

— Ależ leżały na wierzchu. Nie rozumiem, jak mogła je pani przeoczyć. Mój kierowca stracił na przyjazd tutaj całą godzinę. A po-

za tym, nawet jeżeli nie mogła pani znaleźć, trzeba było wrócić do telefonu i powiedzieć mi o tym.

— Rozłączyli.

George wiedział, że to kłamstwo.

— Dzwoniłem jeszcze cztery razy.

— Telefon wcale się nie odzywał — odparła Eunice, zwracając ku niemu swoją drobną twarz, która jakby nagle się powiększyła, nabrzmiała z oburzenia. Godziny samotnych rozmyślań napełniały Eunice goryczą, teraz więc użyła wobec George'a tonu, jaki jej ojciec tak często słyszał w ostatnich tygodniach życia.

— Nic nie wiem o żadnych innych telefonach. — Jak na nią, była niezwykle wymowna. — Nie ma co mnie pytać, bo po prostu nie wiem. — Ciemny rumieniec oblał najpierw jej szyję, a potem całą twarz. Odwróciła się do George'a plecami.

George wyszedł z pokoju, bezsilny, skoro Eunice odżegnywała się od wszelkiej odpowiedzialności, a tym samym od przeprosin czy jakiegokolwiek dyskusji. Od kataru mąciło mu się w głowie, miał wrażenie, jakby wypchano ją wilgotną watą. Jacqueline robiła makijaż przed lustrem toaletki.

— Kochanie, ona nie jest sekretarką — powtórzyła słowa, których użył George, kiedy wahała się, czy przyjąć Eunice, na służbę. — Nie możesz za dużo od niej wymagać.

— Za dużo! Czy rzeczywiście za dużo wymagałem prosząc, żeby znalazła wyraźnie zatytułowane papiery i oddała je kierowcy? Poza tym nie o to mi nawet chodzi. Dotychczas niezupełnie rozumiałem, co to jest milcząca bezczelność, był to dla mnie pusty frazes. Teraz rozumiem. Ona nawet nie podaje naszego numeru czy nazwiska, kiedy odbiera telefon. Gdyby świnia potrafiła powiedzieć „halo”, zrobiłaby to właśnie tak jak panna Parchman.

Jacqueline wybuchnęła śmiechem rozmazując przy tym tusz.

— Iw dodatku bez słowa odłożyła słuchawkę! Dlaczego nie podeszła, kiedy znów telefonowałem? Telefon dzwonił z całą pewnością, to wierutne kłamstwo, że nie dzwonił. A kiedy ze mną rozmawiała, była wprost niegrzeczna.

— Zauważyłam, że nie lubi robić nic, co wykracza, że tak powiem, poza jej ustalone obowiązki. Zawsze jest to samo. Jeżeli zostawiam jej kartkę z dyspozycjami, spełnia prośbę, ale jakby niechętnie, a przy tym nie lubi nigdzie dzwonić ani odbierać telefonów. — Jacqueline mówiła pogodnym tonem, jak gdyby chciała zbyć śmiechem te wszystkie typowo męskie fanaberie, udobruchać George'a i uspokoić go, bo przecież miał teraz większy katar od niej.

George zastanawiał się chwilę, wreszcie położył żonie rękę na ramieniu.

— Jackie, to na nic, ona musi odejść.

— Och nie, George! — Jacqueline obróciła się gwałtownie na taborecie. — Bez niej nie dam sobie rady. Nie możesz ode mnie tego żądać tylko dlatego, że ci nie znalazła tych papierów.

— To nie tylko to. Chodzi o jej bezczelność i o sposób, w jaki na nas patrzy. Czy zauważyłaś, że nigdy nie wymienia naszego nazwiska? I nie mówi już nigdy „proszę pana” i „proszę pani”. Co prawda nie zależy mi na tym, w końcu nie jestem snobem — dodał George, choć mu na tym zależało i mimo wszystko był snobem — ale nie zniosę grubiaństwa i kłamstw.

— George, proszę cię, daj jej jeszcze jedną szansę. Co ja bez niej zrobię? Po prostu sobie nie wyobrażam.

— Są inne służące.

— Owszem, wciąż ta sama Ewa i przyjezdne cudzoziemki — odparła z goryczą Jacqueline. — Kiedy urządziliśmy w święta przyjęcie, miałam próbkę, jak by to wyglądało. Może ty się dobrze bawiłeś, ale o sobie nie mogę tego powiedzieć. Przez cały dzień przygotowywałam jedzenie, a przez cały wieczór ani na chwilę nie usiadłam. Z nikim chyba nie zamieniłam słowa, poza pytaniem, czy ktoś nie chce się jeszcze czegoś napić.

— Iz tego powodu mam znosić służącą, która mogłaby być chlubą załogi Oświęcimia?

— George, błagam, daj jej jeszcze jedną szansę.

George skapitulował. Jacqueline zawsze potrafiła

owinąć go wokół palca. Przecież gotów był zapłacić każdą cenę, byle tylko ukochana żona czuła się szczęśliwa i zadowolona i pięknie wyglądała. Cóż znaczą najwyższe choćby koszty, gdy chodzi o spokój i nieskazitelnie prowadzony, wytworny dom bez żadnych kłopotów gospodarskich? Nie ma chyba nic, czego by w tym celu nie poświęcił.

Oprócz własnego życia — mógłby tylko zastrzec — oprócz własnego życia.

Jednakże w tej sytuacji George — zgodnie ze swoimi nawykami zawodowymi — postanowił zastosować wobec Eunice politykę silnej ręki, utemperować ją i skierować na właściwą drogę. Nie był słaby ani tchórzliwy i nie wyznawał maksymy, że spraw niemiłych lepiej nie widzieć i udawać, że nie istnieją. Musi więc Eunice napomnieć, jeżeli w odpowiedzi na jego uśmiech czy „dzień dobry” spojrzy spode łba albo coś burknie, a może porozmawia z nią spokojnie, żeby się dowiedzieć, gdzie tkwi przyczyna jej niezadowolenia i w którym momencie oni nie stanęli na wysokości zadania.

W rezultacie napomniał ją zaledwie raz, a i to w sposób żartobliwy.

— Panno Parchman, czy nie mogłaby się pani zdobyć chociaż na uśmiech, kiedy do pani mówię? Doprawdy nie wiem, czym zasłużyłem sobie na tak ponurą minę.

Wzrok George'a napotkał błagalne spojrzenie Jacqueline. Eunice nie zdradziła zainteresowania, wzruszyła tylko nieznacznie ramionami. Po tej próbie więcej się już nie odzywał. Wiedział zresztą doskonale, jak by się odbyła ich ewentualna rozmowa w cztery oczy. „Nic się złego nie dzieje. I w ogóle co tu mówić, kiedy nie ma o czym”. Jednakże zdawał sobie sprawę — nawet jeżeli Jacqueline była tego nieświadoma — że pozwalając, aby Eunice Parchman miała nad nimi pewną władzę, zyskują w jakimś sensie jej względy. George'owi chodziło o żonę, a jednak z niesmakiem chwycił się na tym, że przy każdej okazji obdarza gospodynię głupawym uśmiechem, pyta, czy w jej pokoju jest dość ciepło, czy nie narzeka na brak wolnego czasu, a kiedyś nawet o to, czy „byłaby tak uprzejma i zechciała” zostać w domu pewnego popołudnia, kiedy spodziewali się gości na obiedzie. Jego troskliwość nie spotkała się z najmniejszym nawet oddźwiękiem.

Luty zaczął się burzą śnieżną.

Dotychczas Eunice przyzwyczajona była do rozmokłej brei, która zatykała studzienki w Tooting, a prawdziwy wiejski śnieg знаła tylko z obrazków i z telewizji. Nigdy nie przyszło jej przez myśl, że śnieg może sprawić kłopot i zmienić coś w utartym trybie ludzkiego życia. Rankiem pierwszego lutego, w poniedziałek, George był na nogach wcześniej od Eunice i z naburmuszonym, zaspanym Gilesem wykopywał na całej długości podjazdu dwie koleiny dla Mercedesa. Po głównej drodze pług śnieżny pana Meadowsa przejechał już o brzaśku. Bagażnik samochodu zaopatrzony został w łopate, wysokie buty i grube worki, po czym George i Giles wyruszyli do Stantwich niby uczestnicy wyprawy polarnej.

Olbrzymie płatki śniegu wirowały na tle siniego nieba, a cały krajobraz przykrywała jakby pierzyna, na której odcinały się jedynie ciemne linie żywoplotów i tworzący oddzielną plamę szkielet drzewa. Tego dnia, a może i następnego, Jacqueline skazana była na siedzenie w domu. Załatwiła kilka telefonów, żeby odwołać fryzjera, lunch z Paulą i spotkanie przewidziane na wieczór. Ewa Baalham nie zadała sobie trudu, żeby zadzwonić i uprzedzić, że nie przyjdzie. Po prostu się nie zjawiała. We Wschodniej Anglii w lutym pewne rzeczy należało traktować jako coś zupełnie naturalnego.

W ten sposób Jacqueline uwięziona została z Eunice Parchman. Bała się skorzystać z samochodu, nic więc dziwnego, że i sąsiadki nie kwapiły się z odwiedzinami. Dawniej uznałaby, że śnieżycą może być zupełnie niezłym tematem do rozmowy z Eunice, ale teraz wiedziała już, że nie warto nawet próbować. Eunice godziła się ze śniegiem tak samo, jak godziła się z deszczem, wiatrem czy słońcem. Bez słowa zamiotła chodnik prowadzący z zewnątrz do drzwi pokoju myśliwskiego i frontowe schody. W milczeniu krzątała się wokół swoich zajęć. Wreszcie Jacqueline usłyszała samochód (George'a wracający po myślnie mimo rosnących zasp, ale gdy ona, nie mogąc ukryć radości, krzyknęła z ulgą, Eunice potraktowała całą sprawę, jakby to był zwykły dzień podczas najzupełniej normalnej pogody.

I wtedy Jacqueline zaczęła rozumieć punkt widzenia męża. Ta śnieżna niewola dzielona ze służącą była co najmniej niemiła, a właściwie wręcz przykra i niemal złowieszczą. Eunice zawzięcie przemierała pokoje, uzbrojona w ścierkę do kurzu i szmatki do polerowania. W pewnej chwili, kiedy Jacqueline pisała przy biurku list do Audrey, na pół zapisana kartka uniosła się jej nagle przed nosem, podczas gdy ścierka przejechała wolno po blacie inkrustowanym skórą i drzewem różanym. Jacqueline — jak mówiła później mężowi — poczuła się nagle niczym głuchy pacjent w zakładzie dla obłąkanych, gdzie Eunice pełni funkcje oddziałowej. A gdy praca była już skończona i Eunice szła na górę oglądać popołudniowe seriale, Jacqueline miała wra-

zenie, jakby to nie tylko śnieg przytłaczał swoim ciężarem Lowfield Hall. Zdała sobie sprawę, że stara się ostrożnie stąpać, że cicho zamyka drzwi, a czasem zatrzymuje się po prostu w dziwnym białym świetle, odbitym w niezwykły sposób od śniegu — połyskliwego i zimnego, który przywodził na myśl marmur.

Jacqueline nie miała pojęcia — nigdy by na to nie wpadła — że Eunice boi się jej znacznie bardziej, niż ona służącej, że po tym incydencie z materiałami o historii fabryki Eunice zamknęła się całkowicie w swojej skorupie, bo gdyby tylko zaczęła mówić albo pozwoliła mówić Coverdale'om, jej największy wróg — słowo pisane — wyłoniłby się zaraz i ją zaatakował. Czytając w fotelu przesuniętym do kaloryfera, czytając, żeby nie wchodzić Eunice w drogę i w ten sposób się jej przypodobać, Jacqueline nigdy by nie przypuszczała, że czynnością tą zamiast udobruchać Eunice może się jej tylko jeszcze bardziej narazić albo wręcz obudzić w niej nienawiść.

Codziennie w ciągu tego tygodnia Jacqueline musiała wypić podwójną porcję sherry, żeby nabrać humoru przed obiadem.

— Czy nie za dużo cię to wszystko kosztuje? — spytał George.

— Rozmawiałam dziś przez telefon z Mary Cairne. Powiedziała, że chętnie zniosłaby nawet jawne chamstwo, nie mówiąc już o milczącej bezczelności, byle tylko mieć taką służącą, jak panna P.

George pocałował żonę, ale nie mógł sobie odmówić małej złościwości.

— Niech więc spróbuje. Miło wiedzieć, że panna P. będzie miała dokąd pójść, kiedy ją zwolnię.

Ale nie zrobił tego, bo w czwartek, czwartego lutego, zdarzyło się coś, co sprawiło, że Coverdale'owie zapomnieli na razie o tym, jak bardzo są ze swej gospodyni niezadowoleni.

Norman Smith zaczynał mieć tego wszystkiego dosyć. On też skazany był na śnieżną niewolę z istotą, której nie znoślił, a była nią jego własna żona.

Dawniej Norman nieraz mówił Joan, że jest stuknięta, ale w taki sam właściwie sposób, w jaki Melinda Coverdale mówiła to Gilesowi. Nie chciał przez to bynajmniej powiedzieć, że jego żona jest obłąkana. Teraz jednak nie miał co do tego wątpliwości. Łoże dzielili nadal. Należeli do tej kategorii małżonków, którzy sypiają razem, wcale się nad tym nie zastanawiając, którzy nawet skłóceni śpią w tym samym łóżku. Jednakże kiedy Norman budził się w nocy, coraz częściej okazywało się, że Joan przy nim nie ma, a po chwili słyszał jej głos, dobiegający z innej części domu: śmiała się sama do siebie szaleńczym śmiechem, śpiewała urywki hymnów Bractwa Objawienia albo piśkliwym, łamiącym się głosem wygłaszała prorocтва. Przestała w ogóle sprzątać dom, odkurzać towary w sklepie czy też zamiatać podłogę. Na dobitkę co dzień rano stroiła się w dziwaczne łaszki, zachowane jeszcze z czasów Shepherd's Bush, i malowała twarz niczym clown.

Joan powinna była pójść do lekarza. Norman doskonale zdawał sobie sprawę, że w tym stanie psychicznym jego żona wymaga leczenia. Musiała być pod opieką psychiatry, ale w jaki sposób miał ją do niego zaprowadzić? Jak się do tego zabrać? W Greeving doktor Crutchley przyjmował dwa razy na tydzień w swoim specjalnie do tego celu zaadaptowanym domku, gdzie na gabinet przeznaczone zostały dwa osobne pokoje. Norman wiedział, że z własnej inicjatywy Joan się tam nie wybierze, a nie wyobrażał sobie, żeby mógł pójść w tej sprawie sam. Jak to, miałby siedzieć w poczekalni wśród tych kaszlących i zakatarzonych Meadow-sów, Baalhamów czy Eleighów, a potem wyjaśniać zapracowanemu i zmęczonemu lekarzowi, że żona śpiewa nocami, że wrzaskliwym głosem serwuje jego klientom wyjąt-

ki z Biblii, a do tego nosi podkolanówki i krótkie spódnice, jakby była podlotkiem?

Poza tym o najgorszym przejawie jej obłędu Norman nie mógł jednak nikomu powiedzieć.

Otóż Joan ostatnio nabrała przeświadczenia, że ma prawo — boskie albo przynależne cenzorowi boskiemu — do kontroli wszelkiej korespondencji, przechodzącej przez Urząd Pocztowy w Greeving. Norman nie był w stanie ukryć przed nią worków z listami. Raz spróbował zamknąć je na klucz w ubikacji na dworze, ale rozbiła zamek młotkiem.

W otwieraniu kopert nad parą była już prawdziwym ekspertem. Norman skrzywił się i zatrząsł ze złości, kiedy usłyszał, jak żona mówi pani Higgins, że to Bóg pokarał Alana i Pat Newsteadów zabijając ich jedyne wnuczka. Joan zaczerpnęła tę informację z listu zrozpaczonego ojca. A kiedy oznajmiła panu Meadowsowi, temu od warsztatu samochodowego, że George Coverdale jest zadłużony u swojego dostawcy wina, Norman zaczekał, aż sklep opustoszeje, po czym uderzył Joan w twarz. Odpowiedziała tylko wrzaskiem. Dosięgnie go jeszcze zemsta boża, Bóg uczyni go napiętnowanym wyrzutkiem, który nie będzie śmiał pokazać się między ludźmi.

To akurat prorocstwo miało się spełnić aż nazbyt dosłownie.

W piątek, piątego lutego, kiedy zaczęła się odwilż i można było bez trudu pokonać drogę między Greeving a Lowfield Hall, George Coverdale wkroczył o dziewiątej rano do miejscowego sklepu. Ściśle biorąc, najpierw dobijał się energicznie do frontowych drzwi domu, zmuszając w ten sposób Normana, żeby wstał od śniadania i otworzył sklep.

— Wcześniej pan przyszedł, panie Coverdale — powiedział Norman, wyraźnie zaniepokojony.

George bardzo rzadko przestępował próg ich sklepu, toteż Norman wiedział, że ta wizyta nie wróży nic dobrego.

— Moim zdaniem dziewiąta to wcale nie jest wcześnie. O tej porze jestem już zwykle w pracy, a jeżeli dzisiaj jest inaczej, to dlatego, że sprawa, którą chcę z panem omówić, jest zbyt poważna, aby można ją było odłożyć na później.

— Tak, słucham?... — Być może Norman broniłby się jakoś, ale z chwilą, kiedy w drzwiach ukazała się Joan — z blond włosami nawiniętymi na lokówki i swoim kościstym ciałem spowitym w brudną czerwoną podomkę — stracił odwagę.

George wyjął z teczki kopertę.

— Ten list był otwarty i ponownie zaklejony — rzekł, po czym umilkł na chwilę.

Wstrętem napełniała go myśl o tym, jak Joan Smith rozpowiada w miasteczku, że jego dostawca wina grozi mu sprawą sądową. Było to tym ohydniejsze, że list przysłano na skutek pomyłki komputera. George, który zapłacił należność we właściwym czasie, czyli na początku grudnia, przez telefon wyjaśnił sprawę z dostawcą i otrzymał od niego korne i uniżone przeprosiny za niedopatrzenie ze strony firmy. Nie zamierzał jednak tłumaczyć się przed tymi tu ludźmi.

— Na kopercie są ślady kleju — powiedział — wewnątrz natomiast znalazłem włos i ośmielałem się przypuszczać, że pochodzi on z głowy pańskiej żony.

— Ja tam nic nie wiem — burknął Norman. Bezwiednie zareagował słowami Eunice Parchman i to doprowadziło George'a do pasji.

— Ale może będzie wiedział naczelnik w Stantwich. Dziś jeszcze do niego napiszę. Wyłożę mu całą sprawę, przy czym nie omieszkać wspomnieć o innych przypadkach, które dawały mi powód do podejrzeń, i zażądam oficjalnego dochodzenia.

— Nie mogę panu w tym przeszkodzić.

— Oczywiście, że nie. Uważałem tylko, że powinienem zawiadomić pana o swoim zamiarze, aby zawczasu pana ostrzec. Do widzenia.

Do tej chwili Joan nie odezwała się słowem. Teraz jednak, kiedy George ruszył w stronę wyjścia, z niesmakiem popatrując na zakurzone pudełka płatków kukurydzianych i kosze pełne przywiedłych i omszałych ze starości warzyw, Joan rzuciła się naprzód jak pająk albo krab atakujący swoją ofiarę. Odwrócona do George'a plecami, rozkrzyżowała ramiona na szybie i zagroziła mu drogę do drzwi. Rękawy z czerwonej wełny zsunęły się jej z rąk, a były to same kości powleczone skórą. Odrzuciła głowę i krzyknęła do George'a:

— Wężowe nasienie! Bezecny rozpusznik! Biada niewiernym i cudzołożnikom!

— Pani Smith, proszę mnie przepuścić — powiedział spokojnie George. Nie na próżno służył na pustyni pod ostrzałem.

— Wiesz, co cię czeka, ty fałszywy języku? Ognie piekielne. — Joan wymachiwała mu pięścią przed nosem. — Pan skarże bogacza, który biednym chleb od ust odejmuje. Pan na wysokościach ześle mu zagładę. — Twarz nabiegła jej krwią, białeły wywrócone białka.

— Panie Smith, proszę zabrać żonę! — powiedział George, doprowadzony do pasji.

Norman wzruszył ramionami. Trząśnięty ze strachu przed Joan i był absolutnie bezradny.

— W takim razie ja to zrobię. A jeśli zechce pan zaskarżyć mnie o czynną zniewagę, bardzo proszę.

Odepchnął Joan i otworzył drzwi. Giles, zawsze jak najdalszy od angażowania się w cokolwiek, siedział przed domem w samochodzie i

przyglądał się tej scenie z zainteresowaniem. Joan, chwilowo tylko pokonana, wybiegła za George'em i wrzaskliwie coś bełkocząc, uchwyciła się jego płaszcza. Podomka łopotała na lodowatym wietrze. Tymczasem w oknie ukazała się pani Cairne, a pan Meadows zajął stanowisko przy dystrybutorach na swojej stacji. George nigdy w życiu jeszcze nie był w tak okropnej sytuacji — aż trząśnięty z niesmaku i obrzydzenia. Cała sprawa budziła w nim wstręt. Gdyby był przypadkiem świadkiem czegoś podobnego — rozwścieczony mężczyzna, na pół rozebrana kobieta, uczepiona jego płaszcza i wykrzykująca przekleństwa pod jego adresem — natychmiast by gdzieś skreślił i czym prędzej się ulotnił. A tu proszę: występuje w roli głównej.

— Niech się pani uspokoi i puści mnie! — George zorientował się, że krzyczy do niej przez ramię. — To oburzające!

Wreszcie Norman Smith wyszedł przed sklep, przytrzymał żonę i siłą zaciągnął ją do środka. Potem, jak mówili Meadowsowie, ci z warsztatu samochodowego, uderzył ją w twarz. George jednak już na to nie czekał. Zachowując resztki godności, wszedł do samochodu i odjechał. Raz przynajmniej zadowolony był z powściągliwości Gilesa. Chłopiec uśmiechał się, jakby nieobecny duchem.

— Wariatka — stwierdził, po czym zaraz pograżył się w swoich tajemnych rozmyślaniach.

Zajście to zepsuło George'owi humor na cały dzień. Jednakże w liście do naczelnika poczty w Stantwich nie wspomniał o porannej scenie ani też nie dał do zrozumienia, że ma podstawy, aby podejrzewać właśnie państwa Smith.

— Liczę na spokojny weekend — zwierzył się Jacqueline. — Codziennie walczę ze śniegiem w drodze do pracy, do tego jeszcze ta dzisiejsza awantura, więc mam po prostu dosyć. Chyba nigdzie się nie wybieramy ani nikt nie przychodzi?

— Idziemy tylko jutro po południu do Archerów.

— Usypiającej herbaty z pastorem nie można nazwać wydarzeniem towarzyskim, więc jakoś to przeżyję.

Przyjazdu Melindy nie oczekiwali, a Giles się nie liczył. To jakby mieć na stałe w domu nieszkodliwego ducha, myślała czasem ze smutkiem Jacqueline. Ukazywał się niekiedy, ale nikomu nie dokuczał, nic też nie niszczył i na ogół pozostawał w obrębie nawiedzonego pokoju, zachowując się całkiem cicho. Jacqueline zastanawiała się, z czyjej twórczości Giles zaczerpnął Cytat Miesiąca: „Mam nadzieję, że nigdy już nie popełnię żadnego grzechu śmiertelnego ani powszedniego, jeżeli tylko mi się to uda”.

Był to ostatni cytat, jaki Giles miał przypiąć do korkowej ściany, i chyba stosowny, ponieważ autor tych słów — król Francji, Karol VII — wypowiedział je podobno na łożu śmierci.

Tak się jednak złożyło, że Melindą przyjechała. Nie była w Lowfield Hall od piątego stycznia, toteż nękały ją wyrzuty sumienia. Naturalnie wróciłaby tak czy owak na trzynastego, czyli na urodziny ojca, ale aż pięć tygodni bez odwiedzin w domu to byłoby stanowczo za długo. Poza tym wynikła historia z magnetofonem. Ten prezent od George'a, największy skarb Melindy, budził zazdrość wszystkich koleżanek. Melindą nie lubiła odmawiać tym, co prosiły ją o pożyczenie magnetofonu, ale kiedy któraś wzięła go na koncert muzyki ludowej, a potem zostawiła na całą noc w nie zabezpieczonym samochodzie, uznała, że czas najwyższy więcej go nie narażać.

Nie uprzedzając nikogo o swoim przyjeździe, Melindą dotarła do Stantwich o zachodzie przymglonego słońca, a na Rozdrożu pod Szubienicą była już po zapadnięciu zmroku. Spóźniła się trochę na przejazd Go- effa Baalhama, który minął to miejsce przed dziesięcioma minutami, ale zabrała się z panią Jameson-Kerr i dowiedziała się od niej, że George i Jacqueline udali się do plebanii na podwieczorek.

Melindą weszła do domu przez pokój myśliwski i ruszyła od razu na górę, żeby odnaleźć Gilesa. Ale Gilesa nie było. Wziął Forda i po wysłuchaniu nauk Ojca Madigana wybrał się do kina. Dom był przytulny, nieskazitelnie czysty, idealnie wysprzątnany i cichy. Tak, cichy, jeśli nie liczyć stłumionych pomruków telewizora Eunice Parchman, które przenikały przez sufit na pierwszym piętrze. Melinda postawiła magnetofon na komodzie w swoim pokoju. Przebrała się w suknię zrobioną własnoręcznie z indyjskiej narzuty na łóżko, ramiona owinęła szalem, na szyi zawiesiła sznur jakichś muszelek i bardzo zadowolona z uzyskanego efektu zeszła do saloniku. Znalazła tam plik nowych pism, które wzięła ze sobą do kuchni. Po dziesięciu minutach, kiedy Eunice zeszła na dół, żeby wyjąć z zamrażarki potrawkę z kurczenia, przewidzianą na kolację dla państwa Coverdale, zastała Melindę przy stole nad jakimś czasopismem.

Melinda wstała grzecznie.

— Jak się pani miewa, panno Parchman? Co słychać? Może napije się pani herbaty? Właśnie zaparzyłam.

— Owszem — rzekła Eunice i w ten sposób udało jej się, po raz pierwszy i ostatni w życiu,omalże uprzejmie przystać na czyjaś propozycję. Zmarszczyła brwi. — Oni się pani nie spodziewają.

— Przecież tutaj mieszkam, tu jest mój dom — mogłaby odpowiedzieć Melinda, ale nie była drażliwa ani kłótniwa. Poza tym, nadarzała się sposobność, żeby okazać pannie Parchman trochę serdeczności, bo przecież podobnie jak rodzinę, i ją zaniedbywała od Nowego Roku. Uśmiechnęła się więc, odparła, że decyzję o przyjeździe podjęła niespodziewanie, i spytała, czy panna Parchman będzie piła z mlekiem i z cukrem.

Eunice skinęła głową. Tak samo jak niektóre kobiety boją się pajaków, tak ona czuła, że dosłownie obezwładnia ją rozłożone na stole czasopismo. Miała nadzieję, że Melinda skupi na nim swoją uwagę i

zamknie się wreszcie, żeby ona mogła wypić spokojnie herbatę, na którą nie wiadomo po co się zgodziła. Było jednak jasne, że Melinda zajmie się pismem wyłącznie przy jej współudziale. Przewracała strony komentując wszystko na bieżąco, od czasu do czasu podnosiła oczy na Eunice i uśmiechała się do niej, a nawet podsuwała jej pismo, żeby pokazać jakiś obrazek.

— Nie podoba mi się ta długość do pół łydki, a pani? O, niech pani spojrzy, jak ta dziewczyna pomalowała sobie oczy! To robota na ładnych parę godzin, ja bym nie miała cierpliwości. Wraca moda z lat czterdziestych. Czy w czasach pani młodości rzeczywiście tak się ubierano? Czy używała pani jaskrawoczerwonej szminki i nosiła pończochy? W życiu nie miałam pończoch.

Eunice, która nadal nosiła pończochy i nigdy nie miała nawet pary rajstop, odpowiedziała, że moda jej w ogóle nie interesuje. Strata czasu, stwierdziła.

— A mnie to bawi. — Melinda przewróciła kartkę. — Tu jest ankieta. „Odpowiedz na dwadzieścia pytań, a przekonasz się, czy kochasz naprawdę”. Muszę koniecznie wypisać odpowiedzi, chociaż i tak wiem, że jestem zakochana. Ale przekonajmy się. Ma pani może ołówek, pióro albo coś w tym rodzaju?

Eunice energicznie potrząsnęła głową.

— Mam długopis w torbie. — Zaraz po wejściu do domu Melindą rzuciła gdzieś w pokoju myśliwskim swój sfatygowany worek, zrobiony z tureckiego dywanika. Eunice, widząc, jak dziewczyna wraca z tym workiem, miała nadzieję, że razem z nim, z długopisem i czasopi- smem przeniesie się gdzie indziej, ale Melindą wróciła na swoje miejsce przy stole.

— No, zaczynamy, pytanie pierwsze: „Czy wolałabyś być razem z nim, niż...?” Oj, widzę odpowiedzi na dole, to na nic. Zróbmy tak:

pani będzie mi zadawać pytania i zaznaczać, czy dostałam trzy punkty, dwa, jeden albo wcale. Zgoda?

— Nie mam okularów — odpowiedziała Eunice.

— Ależ ma je pani. Są w kieszeni.

Były istotnie. Okulary w szylkretowej oprawie, które Cove-
rdale'owie znali jako jej szkła do czytania, wystawały z prawej kie-
szeni fartucha. Eunice ich nie włożyła. Nic w ogóle nie zrobiła, bo nie
wiedziała, co zrobić. Nie mogła powiedzieć, że jest zajęta — bo niby
czym? — a na dodatek zostało jeszcze prawie pół kubka gorącej her-
baty, którą poczęstowała ją Melinda.

— O, tutaj. — Melinda podsunęła jej pismo. — Proszę, niech pa-
ni czyta. Będzie świetna zabawa.

Eunice wzięła pismo w obie ręce i zacinając się odtworzyła z pa-
mięci pierwszą linijkę przeczytaną przez Melinę. „Czy wolałabyś
być razem z nim, niż...?” Urwała.

Melinda przechyliła się przez stół i wyjęła okulary z kieszeni far-
tucha panny Parchman. Eunice nie miała odwrotu. Jej twarz oblał ru-
mieniec koloru czerwonego wina. Podniosła oczy na dziewczynę, nie
mogąc opanować drżenia dolnej wargi.

— Co pani jest? — W tej chwili dla Melindy wszystko stało się
jasne, chociaż Eunice nie zdawała sobie z tego sprawy. Melinda na-
tychmiast znalazła odpowiedź na swoje pytanie. Panna Parchman raz
już zareagowała w podobny sposób, zapytana o imię, jakie dałaby sy-
nowi, gdyby go miała. Najwyraźniej spotkało Eunice w życiu coś, co
nadal przepełniało ją bólem, tymczasem ona, Melinda, wyjątkowo
niedelikatnie rozdrapała dawną ranę, rezultat zawiedzionej miłości.
Biedna Eunice Parchman — kochała kiedyś, a teraz jest starą panną.

— Nie chciałam pani dotknąć — odezwała się łagodnie Melinda.
— Przepraszam, jeżeli powiedziałam coś, co pani sprawiło przykrość.

Eunice nie odpowiedziała. Nie wiedziała, o czym, do diabła, ta dziewczyna mówi. Ale Melinda wzięła to milczenie za objaw przygnębienia i poczuła, że musi zaraz coś zrobić, wszystko naprawić, zająć myśli Eunice czym innym.

— Naprawdę strasznie przepraszam. Może zrobimy quiz na sąsiedniej stronie, dobrze? O tym, czy się jest dobrą gospodynią. Proszę najpierw rozwiązać go dla mnie — przekonaj się pani, że jestem do niczego — a potem ja zrobię to samo. Założę się, że dostanie pani maksimum punktów.

Melinda podała Eunice okulary.

W tej chwili Eunice powinna była skorzystać z nieporozumienia. Wystarczyło powiedzieć, że owszem, Melinda sprawiła jej przykrość, i z godnością wyjść. Taki postępek przywróciłby jej utraconą sympatię Coverdale'ów i odpowiedział George'owi na jego pytanie. Jaki jest zasadniczy powód apatii i przygnębienia panny Parchman? Żal opuszczonej kobiety, zawód miłosny. Jednakże Eunice nigdy nie umiała radzić sobie z ludźmi, bo nie rozumiała ani ich samych, ani ich przypuszczeń, ani wniosków, jakie wyciągali. Rozumiała tylko, że jest na krawędzi otchłani, bo lada moment zdradzi się ze swą ułomnością, a ponieważ myśl o tej ułomności stale i wciąż ją przytłaczała, zdawało jej się, że owa otchłań jest znacznie bliżej, niż to było w istocie. Eunice sądziła, że Melindą wszystkiego się już domyśliła i te złośliwe przeprosiny są tylko dalszą próbą potwierdzenia jej przypuszczeń.

Okulary, które Melinda trzymała kciukiem i palcem wskazującym, zawisły między obiema kobietami. Eunice nie zrobiła najmniejszego ruchu, żeby je wziąć. Usiłowała myśleć. Co robić, jak się z tego wykręcić, na jaki desperacki krok się zdecydować? Melinda zdumiona opuściła rękę, a po chwili spojrzała z bliska przez okulary i przekonała się, że są ze zwykłego szkła. Przeniosła spojrzenie na zaczerwienioną twarz Eunice, na pozbawione wyrazu oczy i nagle cząstki łamigłówki, dotychczas do niczego nie pasujące — to, że Eunice nigdy nie czytała

książki, nie zajrzała do gazety, nie napisała żadnej kartki, nie dostała listu — ułożyły się na swoich miejscach.

— Panno Parchman — powiedziała spokojnie Melinda — czy pani cierpi na dysleksję?

Eunice przemknęło przez myśl, że to pewnie nazwa jakiejś choroby oczu.

— Co proszę? — spytała z niejaką nadzieją.

— Przepraszam. Chodzi mi o to, że pani nie umie czytać, prawda? Nie umie pani czytać ani pisać.

Milczenie trwało całą minutę.

Melinda też się zaczerwieniła. Wprawdzie domyśliła się wreszcie wszystkiego, ale brakło jej dostatecznej wrażliwości, aby mogła zrozumieć, jakim ciosem dla Eunice jest to odkrycie. Miała zaledwie dwadzieścia lat.

— Czemu nam pani nie powiedziała? — spytała widząc, że Eunice wstaje. — Przecież byśmy zrozumieli. Mnóstwo ludzi ma dysleksję, tysiące. Na ostatnim roku trochę się nawet zajmowałam tym problemem. Panno Parchman, czy mogłabym panią uczyć czytać? Mogę zacząć w czasie ferii wielkanocnych.

Eunice wzięła oba kubki i wstawiła je do zlewu. Stała zwrócona plecami do Melindy. Wylała resztkę swojej herbaty. Następnie odwróciła się wolno i nie zdradzając się wcale z tym, jak prędko i mocno bije jej serce, wbiła w Melinę swoje na pozór beznamienne, nieubłagane spojrzenie.

— Jeżeli komuś powiesz, że jestem tym, co to mówiłaś, to słowo, powiem ojcu, że chodzisz z tym chłopcem i będziesz z nim miała dziecko.

Mówiła tak zdawkowo i spokojnie, że Melinda w pierwszej chwili nie bardzo rozumiała, o co chodzi. Nie stykała się z ciemnymi stronami życia i nigdy jeszcze nikt jej naprawdę nie groził.

— Co pani powiedziała?

— Słyszałaś. Jeżeli im powiesz, ja im powiem o tobie. — Eunice na ogół nie używała obelg, ale tu się na nie zdobyła. — Jesteś podły wyciruch. Podła, wścibska jędra.

Melinda zbladła. Wstała i wyszła z kuchni, potykając się o długą spódnicę. W hallu nogi prawie odmówiły jej posłuszeństwa, tak była roztrzęsiona. Usiadła w fotelu przy zegarze stojącym. Siedziała tam, przyciskając pięści do policzków, aż zegar wybił szóstą i drzwi do kuchni się otworzyły. Fala mdłości wezbrała w Melindzie na samą myśl o tym, że miałyby znów zobaczyć Eunice Parchman, uciekła więc do saloniku, upadła na kanapę i wybuchnęła płaczem.

Tam po kilku minutach znalazł ją George.

— Skarbie, co to ma znaczyć? Co się stało? Nie wolno tak płakać. — Podniósł ją i przytulił do siebie. Miała jakąś sprzeczkę ze swoim chłopcem, pomyślał, i dlatego przyjechała, do pustego, nieprzytulnego domu. — No, powiedz tatusiowi. — Zapomniał, że Melinda ma dwadzieścia lat. — Opowiedz mi wszystko, a od razu poczujesz się lepiej.

Jacqueline powiedziała tylko:

— Zostawiam was samych.

George nigdy się nie wtrącał, kiedy załatwiała coś z Gilesem, ona natomiast nigdy nie zabierała głosu w sprawach pomiędzy mężem a jego dziećmi.

— Nie, Jackie, nie odchodź. — Melinda usiadła, ocierając łzy. — Och, jaka ja jestem głupia! Powiem wam obojgu, chociaż to straszne.

— Jeżeli tylko nie jesteś chora ani ranna — powiedział George — nic nie jest straszne.

— O, Boże! — Melinda przełknęła ślinę i odetchnęła głęboko. — Tak się cieszę, że już jesteście!

— Melindo, proszę cię, powiedz nam, co się stało.

— Myślałam, że będę miała dziecko, ale to nieprawda — opowiadała pośpiesznie Melinda. — Jestem z Jonatanem od listopada. Wiem, że będziecie się gniewać, wiem, że was zawiodłam, ale kocham Jonatana, a on mnie kocha i wszystko jest dobrze, naprawdę, i wcale nie spodziewam się dziecka.

— To wszystko? — spytał George.

Córka wlepiła w niego wzrok.

— I nie gniewasz się na mnie? Nie jesteś zgorszony?

— Melindo, nie jestem nawet zdziwiony. Na litość boską, masz mnie za takiego wapniaka? Jak myślisz, czy nie zauważyłem, że świat zmienił się trochę od czasów mojej młodości? Nie powiem, że mi tego nie żal, nie powiem, że nie chciałbym, aby w twoim wypadku wyglądało to inaczej i abyś nie traktowała tych spraw zbyt lekko. Ale nie jestem ani trochę zgorszony.

— Kochany! — Melinda objęła go za szyję.

— A teraz może powiesz nam — zaczął znów George, uwalniając się z uścisku — dlaczego płakałaś. Chyba nie martwisz się specjalnie, że nie jesteś w ciąży?

Melinda zdobyła się na blady uśmiech.

— To ta panna Parchman. Niewiarygodne, a jednak prawdziwe, tatusiu. Dowiedziała się. Musiała podsłuchać, jak na Boże Narodzenie rozmawiałam z Jonem przez telefon, i kiedy ja, no, dowiedziałam się czegoś o niej, uprzedziła, że wam powie. Zagroziła mi. Teraz, przed chwilą. Uprzedziła, że powie wam o mojej ciąży.

— Co, co takiego?!

— Powiedziałam, że to niewiarygodne.

— Melindo, naturalnie, że ci wierzę. Ta kobieta po prostu zagroziła ci szantażem, tak?

— Jeżeli to jest szantaż — tak.

— Jak się dokładnie wyraziła?

Melinda powtórzyła George'owi słowa Eunice.

— I nazwała mnie „wyciruch”. To było okropne.

Jacqueline, która dotychczas nie odezwała się słowem, powiedziała:

— Naturalnie musi odejść. Zaraz. Natychmiast.

— Tak, kochanie, obawiam się, że masz rację. Wiem, co dla ciebie znaczy jej pomoc, ale mimo wszystko...

— Nic nie znaczy. W życiu nie słyszałam o czymś równie wstrętnym i oburzającym. Żeby grozić Melin- dzie! Trzeba jej od razu wymówić. George, ty musisz to zrobić, bo ja za siebie nie ręczę.

George spojrział na żonę z gorącą wdzięcznością za jej lojalność. Potem spytał:

— Melindo, co to było, czego się o niej dowiedziałaś?

Fatalne pytanie. Szkoda, że George nie zadał go już po odprawieniu Eunice. Odpowiedź córki bowiem wywarła na nim znacznie większe wrażenie niż na niej samej uzyskana informacja, i w rezultacie litość i współczucie ostudziły jego gniew.

Eunice była przekonana, że pogróżka odniosła skutek i duma z tego osiągnięcia w znacznej mierze uśmierzyła niepokój. Ta smarkata naprawdę się przejęła. Nie zdradzi Eunice, bo jak mówiła Joan, ojciec wówczas wyrzuciłby ją z domu. Od kwadransa, robiąc pilnie na drutach, Eunice oglądała rewię telewizyjną, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Melinda. Po pierwszym wstrząsie zawsze przychodzą i błagają, żeby nic przypadkiem nie mówić. A mimo że się im już przyrzekło, chcą się na nowo upewnić. Tak było z tamtą mężatką i z Annie Cole. Eunice otworzyła drzwi.

Wszedł George.

— Panno Parchman, domyśla się pani, dlaczego przychodzę. Córka, rzecz jasna, opowiedziała mi, co zaszło. Przykro mi, ale nie mogę mieć u siebie osoby, która w moim domu stosuje pogróżki wobec kogoś z mojej rodziny, toteż będzie pani uprzejma wyprowadzić się możliwie jak najprędzej.

Eunice, dla której był to ogromny wstrząs, nawet się nie odezwała. Program telewizyjny przerwano na reklamy, przy czym jedna z nich — akurat nadawana — składała się głównie z napisów: wykaz domów towarowych we Wschodniej Anglii.

— Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu — mówił dalej George — proponuję wyłączyć telewizor. To chyba i tak pani nie interesuje.

Eunice zrozumiała: on wie. Tak w zasadzie niewrażliwa, była szczególnie wyczulona na tę jedną sprawę. Tymczasem George, obserwując Eunice, również zrozumiał. Jej rumieniec i zmieniony wyraz twarzy uświadomiły mu, że pod wpływem wzburzenia posunął się za daleko i popełnił grzech najbardziej ohydny, podobny wyśmiewaniu się z garbu kaleki.

— Nie podpisywaliśmy żadnej umowy — rzekł szybko — więc mógłbym prosić, żeby odeszła pani od razu, ale zważywszy wszystkie okoliczności, niech to będzie za tydzień. Zdaży się pani rozejrzeć za inną pracą. Jednakże w tym czasie bardzo proszę przebywać raczej w swoim pokoju, a zajęcia domowe pozostawić mojej żonie i pani Baalham. Gotów jestem dać konieczne referencje dotyczące pani umiejętności, natomiast nie będę ręczył za pani charakter.

Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Trudno byłoby wyobrazić sobie Eunice Parchman we łzach; teraz też się nie rozplakała. Była sama, i to tutaj, gdzie mogłaby dać upust swoim uczuciom, a jednak nie zdradziła najłżejszego wzruszenia. Nie potrząsnęła nawet głową, nie westchnęła, nie dostała torsji. Włączyła ponownie telewizor i oglądała dalszy ciąg programu, chociaż skuliła się w fotelu nieco bardziej ociężale niż zwykle.

Dotychczas trzy osoby wiedziały, że Eunice jest analfabatką, ale dla żadnej z nich fakt ten nie był nagłą i zdumiewającą rewelacją. Rodzice bagatelizowali sprawę, pani Samson zorientowała się z czasem, jak to z Eunice jest, ale tolerowała obojętnie ten stan rzeczy, podobnie jak mongolizm pewnego dziecka z ulicy Tęczowej. W każdym razie nie zamierzała o tym mówić, a już na pewno nie z samą Eunice. Z nią nikt nigdy o tym nie rozmawiał. Nie zdarzyło się dotychczas, aby aż tyle ludzi się równocześnie dowiedziało o jej analfabetyzmie. W ciągu następnych dni po rozmowie z George'em Eunice, mniej lub więcej uwięziona w swoim pokoju, nie myślała wcale o tym, gdzie ma się podziać, co powinna przedsięwziąć, jaką pracę znaleźć ani gdzie za-

mieszkać. Nie zastanawiała się prawie nad dniem jutrzejszym — pani Samson i Annie Cole przygarną ją przecież, jeżeli zjawi się u nich z walizkami — rozpamiętywała natomiast dokonane przez Coverdale'ów odkrycie, o którym z pewnością mówiło już całe Greeving. Na samą myśl o tym nie ważyła się wyjść z domu. Nie zdecydowała się nawet na odwiedziny w miejscowym sklepie, a raz, kiedy Jacqueline nie było i zatelefonowała Joan, nie skorzystała ze skrzekliwych zaprosin przyjaciółki i pozostała w ukryciu na górze.

Była przekonana, że Coverdale'owie nie robią nic innego, tylko rozpowiadają o jej ułomności i śmieją się z tego razem z przyjaciółmi. Miała jednak rację tylko częściowo. George i Jacqueline bowiem, powodowani wielkodusznością, a także w obawie przed ośmieszeniem się, że dopiero teraz dostrzegli analfabetyzm służącej, powstrzymywali się od złośliwych komentarzy. Mówili znajomym, że odprawiają Eunice z powodu jej arogancji. Między sobą jednak wciąż roztrząsali całą sprawę, a nawet chwilami śmieli się, sami sobie nie wierząc, i wyglądali niecierpliwie poniedziałku, a kiedy Eunice schodziła ukradkiem na posiłki, zamykali się w saloniku.

Eunice, której obca była jakakolwiek lojalność czy też poczucie obowiązku wobec Joan, uznała, że najlepiej uniknąć spotkania z przyjaciółką i uciec zawczasu z Greeving. Jeszcze tylko brakowało współczucia tej kobiety, jej troskliwości i nudnych pytań, bo przecież Joan też musiała już o wszystkim wiedzieć. I rzeczywiście. Ściśle biorąc, wiedziała o zwolnieniu Eunice, bo poinformowała ją o tym we wtorek pani Higgs, która tym się różniła od drugiej pani Higgs, że nie jeździła na motorowerze. Joan czekała na odwiedziny Eunice, próbowała wszelkimi sposobami dostać się do Lowfield Hall, a kiedy się to nie udało, chwyciła się jedyne go dostępnego dla niej środka — bo nawet ona bała się dzwonić — i wysłała wiadomość pocztą.

W tym roku Dzień Św. Walentego wypadł w niedzielę, toteż kartki z życzeniami powinny były nadejść już w sobotę. Cove-dale'owie nie dostali z tej okazji nic, chociaż wśród urodzinowych kart dla George'a dotarła także jedna walentynka. Była zaadresowana do Eunice i Jacqueline oddała ją służącej mówiąc spokojnie:

— To do pani, panno Parchman.

Obydwie kobiety zaczerwieniły się, obydwie wiedziały, że Eunice nie będzie umiała kartki przeczytać.

Zabrała ją na górę i w osłupieniu przyglądała się jaskrawemu obrazkowi, który przedstawiał dwa cherubinki oplatające błękitne serce girlandą z różowych róż. Cała kartka była zapisana. Eunice wyrzuciła ją do śmieci.

Trzynastego lutego George skończył pięćdziesiąt osiem lat i dostał z tej okazji powinszowania od żony i wszystkich dzieci. „Kochany, Twoja na zawsze, Jackie”. „Najlepsze życzenia i ucałowania, Paula, Brian, Patryk i mały Giles”. „Szczęścia i pomyślności od Audrey i Piotra”. „Mnóstwo serdeczności, Melinda — do zobaczenia w sobotę po 'południu". Nawet Giles wysłał pocztówkę, z wybraną niezbyt fortunnie — a może wręcz przeciwnie? — reprodukcją „Wygnańca z raju" Ma- saccia. Nie zdobył się na to, żeby kupić prezent, chociaż od Jacqueline George dostał zegarek, mający zastąpić stary, który służył dwadzieścia pięć lat, a od żonatego syna i córki — po jednym talonie: na płytę i na książkę. Tego wieczoru wybrali się na obiad „Pod Anioła" w Cattingham.

George pojechał do Stantwich i zabrał Melindę ze stacji. Ofiarowała mu dość szkaradny szalik, który wyglądał jak z Oxfamu, sklepu dla ubogich, chociaż Melinda wcale nie tam go kupiła. George podziękował córce serdecznie.

— Już pora, żebym w moim wieku dał sobie spokój z tym całym świętowaniem — powiedział — ale przecież żadne z was na to nie pozwoli.

— Cóż — odrzekła Melinda, której udało się właśnie poświęcić trochę czasu kolejnej sztuce z listy lektur — ten, kto urodził się w dniu, w którym zapomnę przesłać wiadomość Antoniuszowi, umrze jako żebrak.

— Mój Boże, dziecko zajęło się dla odmiany pracą!

Kiedy weszli do domu, Melinda spojrzała pytająco na ojca. George zrozumiał.

— Na górze — odpowiedział i ruchem głowy wskazał sufit.

Melinda uśmiechnęła się.

— Czyżbyście nałożyli na nią areszt domowy?

— W pewnym sensie. Odchodzi w poniedziałek rano.

Przed wyruszeniem ubrali się odświętnie — Jacqueline w kremowy aksamit, Melinda w swoje połyskliwe błękity — i kiedy wkraczali do hotelowej sali restauracyjnej, sprawiali imponujące wrażenie. Dorodna rodzina. Nawet Giles, wysoki i szczupły, prezentował się wcale nieźle w swoim jedynym garniturze i podgojonymi akurat krostami.

Potem kelnerzy i pozostali goście mieli żałować, że nie przyjrzelili się dokładniej tej szczęśliwej rodzinie, tej rodzinie skazańców. Gdyby tylko wiedzieli, przysłuchiwaliby się wesołej rozmowie Coverdale'ów, poświęciliby więcej uwagi toalecie Jacqueline, dowodom niezwykłego intelektu Gilesa, wdziękowi Melindy, dystynkcji George'a. Nie wiedzieli jednak i dlatego indagowani przez reporterów, albo przyznawali się do własnej ignorancji, albo, co zdarzało się o wiele częściej, zmyślali przeróżne zwiastuny tragedii i złe przeczucia, które —

wierzyli w to święcie — dawały o sobie znać tamtego wieczora. Policja również przesłuchiwała część gości, ale o ich braku orientacji najlepiej świadczy fakt, że nikt nie przypominał sobie pewnej rozmowy Coverdale'ów, której treść przyśpieszyłaby rozpoznanie sprawy.

Owa wymiana zdań dotyczyła programu telewizyjnego na następnego wieczór, kiedy to od siódmej do dziesiątej z minutami miał iść sfilmowany spektakl „Don Juana”.

— Melindo, czy rzeczywiście musisz wracać jutro wieczorem? — spytał George. — Szkoda, żebyś nie obejrzała tego programu, podobno to największe telewizyjne wydarzenie roku.' Odwiózłbym cię do Stantwich w poniedziałek z samego rana.

— Nie mam żadnego wykładu w poniedziałek. Dopiero o drugiej są zajęcia z moim opiekunem naukowym.

— Melindo, w gruncie rzeczy chodzi o to — powiedziała ze śmiechem jej macocha — że George odwożąc tę Parchman na stację, chce mieć w samochodzie jakieś wsparcie moralne.

— Nic podobnego. Będę miał Gilesa.

Jacqueline i Melinda roześmiały się. Giles spojrzał poważnie ponad talerza z kaczką i zielonym groszkiem. Coś w nim drgnęło. Czy przyczyną było nawrócenie? A może urodziny George'a? Bez względu na powód odezwał się, i to jak trafnie.

— Nigdy nie opuszczę pana Micawbera.

— Dziękuję ci, Giles — powiedział cicho George.

Nastąpiła krótka chwila osobliwego milczenia, w której nie mówiąc do siebie ani na siebie nie patrząc, Giles i jego ojczym nawiązali tak bliski kontakt, jak jeszcze nigdy dotąd. Gdyby pozostało im więcej czasu, mogliby się nawet zaprzyjaźnić. Tego czasu miało jednak zabraknąć. George chrząknął i powiedział:

— Melindo, mówię poważnie. Czemu nie miałabyś zostać na filmie?

Powodem jej wahania nie było oderwanie od pracy, ale od Jonatana. Od wielu tygodni spędzali ze sobą wszystkie dni i prawie wszystkie noce. Już dziś wieczorem będzie piekielnie za nim tęsknić. Czy musi przeżyć jeszcze jedną noc bez niego? Jeżeli odmówi, postąpi egoistycznie. Kocha ojca. Jakże cudownie zachowali się i on, i Jacqueline w tej okropnej sprawie zeszłego tygodnia. Jacy byli lojalni i niezłomni. I ani słowa wymówki, a nawet przestrogi, żeby była rozważna. Ale znów Jonatan...

Znalazła się na rozstajnych drogach. Jedna ścieżka wiodła do życia i szczęścia, do małżeństwa i dzieci; druga była ślepym zaułkiem. Innej drogi nie było. Zastanowiła się — i wybrała.

— Zostaję — powiedziała.

Joan widziała ze sklepu, jak Mercedes przejeżdża przez miasteczko w drodze „Pod Anioła”. Po pięciu minutach była już w Lowfield Hall, wewnątrz, bo właśnie w charakterystyczny ostatnio dla siebie sposób — dowód kompletnego obłędu — przemknęła przez pokój myśliwski i zaskoczyła Eunice, pochłaniającą przy kuchennym stole jajko z frytkami i sernik cytrynowy.

— Eunice, na pewno czujesz się okropnie. Toć to czarna niewdzięczność, po tym, co dla nich zrobiłaś. I to za takie głupstwo!

Eunice nie była zadowolona z wizyty Joan. Owo „głupstwo” oznaczało niewątpliwie analfabetyzm. Straciła chęć do jedzenia, więc tylko patrzyła groźnie na Joan i czekała na najgorsze. W rezultacie nie usłyszała nic złego, przeciwnie, coś bardzo dobrego, ale musiała na to poczekać.

— Kochanie, spakowałaś już rzeczy? Z pewnością masz jakieś plany. Przy twoich umiejętnościach możesz od razu znaleźć doskonałe miejsce, ale wiedz, że zapraszamy cię gorąco do siebie. Dopóki Joanie ma wolne łóżko i dach nad głową, jesteś mile widziana. Chociaż Bóg jeden wie, jak długo będziemy mieli ten dach nad głową, bo przecież niegodziwiec czyha. — Joan aż się zadyszała, toteż bez tchu, ale mimo to ze skromną minką spytała: — Nie dostałaś dzisiaj żadnej korespondencji?

Twarz Eunice zalał ciemny rumieniec.

— A bo co?

— O, czerwieni się! Myślisz, że masz w „miasteczku wielbiciela”? Otóż masz, najdroższa. Mnie. Czemu, u licha, nie przeczytałaś mojej pocztówki? Wiedziałam, że nie będzie ich w domu. Napisałam, że wpadnę.

Eunice dotychczas podejrzewała, że to Melinda zakpiła sobie z niej, wysyłając walentynkę. Teraz poczuła niewysłowioną ulgę. Joan nie wie, nic jeszcze do niej nie dotarło! Ułga była tak duża, że Eunice prawie bez sił opadła na oparcie fotela. W tej chwiliomalże pokochała Joan; gotowa była wszystko dla niej zrobić. Kiedy odzyskała równowagę ducha, a nawet dobry humor, zaparzyła herbatę, wysiliła swoją mizerną wyobraźnię, wymyślając takie powody odprawienia jej z Lowfield Hall, jakie by zadowolily Joan, opowiedziała z rozgoryczeniem, co myśli o Coverdale'ach, i obiecała Joan, że nazajutrz, ostatniego już wieczoru, wybierze się do świątyni w Nunchester.

— Nasze ostatnie wspólne chwile, Eunice. Liczyłam jeszcze na twoje towarzystwo w środę, bo zaprosiliśmy na kolację wielbego Barnstaple'a z żoną. Ale Pan Bóg nie pozwoli z siebie drwić, kochanie. Powstaniesz jeszcze w całej swojej chwale, gdy tamten znajdzie się w piekle, gdy oni wszyscy zaczną zbierać plon swoich bezecnych grzechów. O, na pewno osiągnie ich zasłużona kara.,

Eunice prawie nie słuchała tej gadaniny Joan, ale jednocześnie uprzedzała jej życzenia, jak przystało na biblijną Martę: nalewała herbatę, krajała sernik, obiecywała niezliczoną ilość rzeczy, między innymi to, że przy najbliższej okazji przyjedzie odwiedzić Joan, że będzie do niej pisać (akurat pisać!), i poprzysięgała jej — w sposób całkiem dla siebie niezwykły — dozogonną przyjaźń.

Joan zazwyczaj wyczuwała instynktownie, kiedy można jeszcze bezpiecznie zostać, a kiedy należy wyjść, jednakże tym razem obie kobiety były tak przejęte i tyle miały sobie do powiedzenia, że Mercedes wjechał na podjazd akurat w chwili, kiedy furgonetka skręcała na drogę. Eunice poszła od razu spać.

— Znów harówka od poniedziałku — powiedziała Jacqueline, zostawiając lśniącą smugę na zakurzonej toalecie, po której przeciągnęła palcem. — Czuję się, jakbym miała za sobą dziewięć miesięcy wakacji. Ech, wszystko, co dobre, zawsze ma swój koniec.

— I wszystko, co złe — odparł George.

— Nie martw się. Cieszę się tak samo jak ty, że widzę ją po raz ostatni. Kochanie, udany był dzień?

— Cudowny. Ale przy tobie wszystkie dni są cudowne.

Wstała, uśmiechając się do George'a, a on wziął ją w ramiona.

W niedzielę rano Coverdale'owie, ostatniego ranka w ich życiu, wyznawali półszepem w kościele, że robili to i owo, czego nie po-

winni byli robić, zaniedbali natomiast niektórych powinności. Mówili to z przekonaniem i najzupełniej szczerze, chociaż w istocie nie zastanawiali się nad sensem wypowiedzianych słów. Pastor Archer wygłosił kazanie o tym, że należy okazywać serce ludziom starszym, krewnym w podeszłym wieku, co akurat nikogo z Coverdale'ów nie dotyczyło, chociaż dla Eunice Parchman i Joan Smith nie byłoby to bez znaczenia. Po wyjściu z kościoła Coverdale'owie poszli do Jameson-Kerrów na kieliszek sherry, dlatego też lunch był spóźniony, dopiero o trzeciej po południu.

Pogoda była nijaka, bezwietrzna, wilgotna, chmury zasnuwały niebo, a jednak widać już było pierwsze oznaki wiosny. Wczesna wiosna nie jest wcale zielona, lecz czerwona, gdyż pod wpływem na nowo krążących, ożywczych soków każda gałązka w żywopłocie obleka się połyskliwym szkarłatem. W ogrodzie Lowfield Hall zaczęły pokazywać się przebiśniegi, pierwsze kwiaty wiosny, ostatnie kwiaty, jakie oglądali Coverdale'owie.

Przed wyjściem do kościoła Melinda zadzwoniła do Jonatana i była to ich ostatnia rozmowa. Giles po raz ostatni widział podniesienie w czasie mszy. Co prawda nie przyjęto go jeszcze na łono Kościoła, ale zacny Ojciec Madigan wyspowiadał go i udzielił rozgrzeszenia, toteż prawdopodobnie Giles był w stanie łaski. Po raz ostatni George i Jacqueline ucięli niedzielną popołudniową drzemkę, po czym o piątej George przeniósł telewizor do saloniku i wetknął antenę do gniazdka między oknami na frontowej ścianie.

Po przebudzeniu się Jacqueline przeczytała artykuł na temat „Don Juana”, zamieszczony w „Radio Times”, a następnie poszła do kuchni przyrządzić herbatę. Za pięć pół do szóstej Eunice przeszła przez kuchnię w swoim ciemnoczerwonym palcie, wełnianej czapce i szalu. Obydwie udały, że się nie widzą i Eunice wyszła z domu przez pokój myśliwski, cicho zamykając za sobą drzwi. Melinda wzięła magneto-

fon, zajrzała do sanktuarium Gilesa i powiedziała mu, że zamierza nagrać operę.

— Pewnie nawet nie zejdziesz, żeby ją obejrzeć — dodała.

— Jeszcze nie wiem.

— Dobrze by było. Chciałabym, żebyś zszedł.

— Zgoda — odparł Giles.

Ciemny zimowy dzień zmienił się niepostrzeżenie — bez zachodu słońca — w ciemny zimowy wieczór. Nie było ani wiatru, ani deszczu, ani gwiazd. Można by sądzić, że księżyc umarł, bo nie pokazywał się od wielu już nocy. Faliste pola, bezludne, kręte drogi i małe, gęste laski wokół leżącego na uboczu Lowfield Hall tonęły w nieprzeniknionym mroku. Może nie całkiem nieprzeniknionym, bo z drogi prowadzącej do Stantwich przejezdny dostrzegłby Hall jako jaskrawą plamę światła. Jakże daleko sięga blask tej świeczki! Tak świeci dobry uczynek pośród niegodziwości świata.

Joan i Eunice dotarły do świątyni Bractwa Objawienia za pięć szóstą. Podczas śpiewania hymnów i w trakcie spowiedzi Joan zachowywała się spokojnie, chociaż w tym opanowaniu było coś złowieszczonego. Potem, kiedy jadły ciasto z kminkiem, a Joan wtajemniczała nowego członka Bractwa w szczegóły swej grzesznej przeszłości, podeszła do niej pani Barnstaple, aby dość chłodnym tonem uprzedzić, że nie będzie mogła odwiedzić z mężem państwa Smith w środę wieczorem. Barnstaple'owie mieszkali w Nunchester i chociaż plotki rozchodzą się szybko, do Nunchester wszakże nie dotarły. Pani Barnstaple podjęła decyzję o odwołaniu wizyty dlatego, że chociaż uważała Joan za oddanego członka sekty, któremu Pan Bóg udzielił przebaczenia, żołądek jej — jak wyznała mężowi — nie zniósłby podczas posiłku żadnej już opowieści z okresu Shepherd's Bush. Jednakże

Joan potraktowała odmowę pani Barnstaple jako reakcję na wiadomość o dochodzeniu wszczętym przez George'a Coverdale, więc natychmiast zerwała się i wrzasnęła przeraźliwie.

— Biada nikczemnikowi, który uszy niewinnych oszczerstwami syci! — Joan niekoniecznie czerpała cytaty z Biblii. Równie często wygłaszała w biblijnym stylu sentencje, które jej zdaniem powinny się w owej księdze znajdować. — Na pył i proch zetrze go Pan. Chwała niech będzie Panu, który służebnicę bożą orężem swym i prawą ręką uczynił.

Joan rozsadzała nieposkromiona energia. Darła się skrzekliwie, ślina tryskała jej z ust. Przez chwilę członkowie Bractwa przyglądali się tej scenie z zainteresowaniem, ale nie byli to przecież ludzie psychicznie chorzy, jedynie zbłąkani fanatycy, toteż kiedy Joan zaczęła przewracać oczami i wrywać, szarpać włosy, pani Barnstaple usiłowała ją powstrzymać. Joan pchnęła poczciwą damę tak mocno, że tamta upadła do tyłu w ramiona męża. Proszono Eunice o pomoc, ale wolała nie narażać się Joan, która panowała teraz nad całym zgromadzeniem, wykrzykiwała niezrozumiałe słowa i w furii rzucała się na wszystkie strony.

Wtem uspokoiła się równie nagle, jak wybuchnęła.

Niespodziewana ta przemiana przypominała zachowanie się medium na seansie spirytystycznym. Dopiero przed sekundą Joan była jakby we władzy wściekłego ducha, a tu naraz opadła na fotel, wyczerpana i milcząca. Słabym głosem zwróciła się do Eunice:

— Jedźmy już, Eunice, jeżeli można.

Dwadzieścia po siódmej wyszły ze świątyni. Joan prowadziła furgonetkę ostrożnie jak początkujący kierowca.

Usiedli w przepisowej odległości o jakieś sześć metrów od telewizora: George i Jacqueline na kanapie, Melinda na podłodze, przy ojcu, Giles natomiast zgarbiony w fotelu. Magnetofon był włączony. W trakcie uwertury Melinda z niepokojem ciągle przy nim manipulowała, ale gdy zaczęła się opera, zapomniała prawie o jego istnieniu. Pochłaniała ją teraz bez reszty wcielanie się we wszystkie kobiece role. Była już Anną, miała być Elwirą, a z czasem także i Zerliną. Oparła głowę o poręcz kanapy po stronie George'a, bo w jej oczach George utożsamiał się właśnie z Komandorem, który stacza pojedynki i ginie w obronie czci swojej córki, chociaż Jonatan nie bardzo jej pasował do postaci Don Juana.

Jacqueline, wytworna w zielonych aksamitnych spodniach i złocistej jedwabnej bluzce, notowała ołówkiem jakieś spostrzeżenia na marginesie strony z „Radio Times”. Szeptem powtórzyła za Ottaviem: „Masz we mnie męża i ojca dobrego”, po czym rzuciła czułe spojrzenie na George'a. Jednakże George — mężczyzna, i to przystojny, mający powodzenie — mimo woli utożsamiał się z Don Juanem. Nie marzył wcale o wianuszkach kobiet wokół siebie, pragnął jedynie Jacqueline, a jednak...

„Wyrwę mu serce” — zaśpiewała Elwira i wszyscy roześmieli się ze zrozumieniem, wszyscy — z wyjątkiem Gilesa. Siedział tam wyłącznie przez wzgląd na Melinę, bo ta epoka racjonalizmu i dobrych manier nigdy go nie pociągała. On jeden za dwadzieścia ósma, kiedy to dobiegała końca ostatnia aria drugiej sceny, usłyszał kroki na wysypanym żwirem podjeździe, ponieważ tylko jego jednego nie pochłaniała całkowicie muzyka. Ale nie zareagował oczywiście. Nie leżało to w jego charakterze.

Rozpoczęła się scena trzecia i Jacqueline, najwyraźniej oburzona, dopisała coś do swoich notatek. Była już prawie za pięć ósma. Don Juan śpiewał właśnie: „*O guarda, guarda!* Spójrz tylko, spójrz!”, kiedy furgonetka państwa Smith wjechała na podjazd Lowfield Hall i

podkraǳła się, z bocznymi jedynie światłami, pod same drzwi. Ale Coverdale'owie nic nie zauważyli ani nie usłyszeli. Nawet Giles na nic tym razem nie zwrócił uwagi.

Joan prowadziła z początku tak nerwowo i nierówno, że ten ustawiczny slalom po sąsiadujących ze sobą pasach ruchu przeraził nawet flegmatyczną Eunice.

— Uspokój, się, bo się pozabijamy.

Napomnienie ze strony kogoś, kto rzadko się odzywa, jest o wiele skuteczniejsze od upomnienia osoby zręǳnej. Joan była jednak w takim stanie, że nie słuchała żadnych rad. Wóz albo przewóz, uznała, i furgonetka pędziła drogą do Greevin,g.

— Wstąp na chwilę — zaproponowała Eunice.

— To jakby Daniel miał wejść do jaskini lwa — odparła Joan i wybuchnęła skrzekliwym śmiechem.

— Chodź. Czemu ftie? Herbata dobrze ci zrobi.

— Odważna jesteś, Eunice. Pewnie, co mi szkodzi? Przecież mnie nie zabiją.

Furgonetka na najwyższym biegu kangurem wpadła na podjazd. Dopiero Eunice, nie mająca pojęcia o prowadzeniu, uchwyciła dźwignię biegów i wcisnęła sprzęgło, żeby mogły ciszej podjechać pod dom. Zostawiły furgonetkę na rozległym zwirowanym placu, nie opodal smugi światła, która padała spomiędzy zasłon okna bawialni.

— Oglądają telewizję — powiedziała Eunice.

Nastawiła wodę na herbatę, gdy tymczasem Joan zatrzymała się w pokoju myśliwskim.

— Biedne ptaszyny — powiedziała. — To świństwo. Co one mu zrobiły?

— A co ja mu zrobiłam? — spytała Eunice.

— Otóż to. — Joan zdjęła ze ściany jedną ze strzelb i żartobliwie wymierzyła w Eunice. — Pif-paf, już po tobie! Eunice, jak byłaś mała, bawiłaś się w Indian?

— Nie pamiętam. Chodź już, herbata czeka. — Mimo zadziornego tonu, Eunice bała się, czy histeryczny głos Joan nie przeniknie do bawialni i nie wybije się ponad muzykę. Weszły na pierwsze piętro. Eunice niosła tacę, ale na poddasze nie dotarły. Joan Smith nigdy już nie miała odwiedzić królestwa Eunice, a słowa ich ostatecznego 'pożegnania' miały pozostać nie wypowiedziane. Drzwi do pokoju Jacqueline były otwarte. Joan weszła do środka i zapaliła światło.

Eunice zauważyła, że wszystkie lakierowane powierzchnie pokrywa warstwa kurzu z talku i kłaczków wełny, a łóżko nie jest zasłane tak równo, jak przez nią. Postawiła tacę na nocnej szafce i wyrównała narzutę. Joan krążyła na palcach po pokoju, nie opuszczając obcasów na dywan, i chichotała bezgłośnie, posapując jak ktoś, kto naśladuje lokomotywę. Kiedy doszła do łóżka Jacqueline, wzięła do ręki fotografię George'a, po czym położyła ją twarzą na dół.

— Domyśli się, czyja to sprawka — powiedziała Eunice.

— Nieważne. Sama mówiłaś, że nic ci już nie mogą zrobić.

— To prawda. — Po sekundzie wahania Eunice odwróciła również fotografię Jacqueline. — Chodź, napijmy się wreszcie tej herbaty.

— Ja naleję — oświadczyła Joan. Podniosła dzbanek i silnym strumieniem wylała jego zawartość na sam środek narzuty. Eunice cofnęła się, zasłaniając usta ręką. Płyn zebrał się w zagłębieniu, po czym zaczął przesiąkać przez kolejne warstwy pościeli.

— No, to już koniec! — jęknęła Eunice.

Joan wyszła na schody i przez chwilę nasłuchiwała. Wróciła do pokoju. Wzięła puszkę talku, zdjęła pokrywkę i cisnęła puszkę na łóżko. Wznoszące się białe chmury pyłu sprawiły, że Eunice zaczęła kaszleć. Następnie Joan otworzyła szafę.

— Co chcesz zrobić? — wyszeptała Eunice.

Joan nie odpowiedziała. Trzymała wieszak z czerwoną wizytową kreacją z jedwabiu. Chwyliła palcami za dekolt i gwałtownym szarpnięciem rozerwała suknię w ten sposób, że w jednej ręce miała jej przód, w drugiej tył. Eunice była przerażona, wstrząśnięta, choć jednocześnie podekscytowana. Fascynowało ją rosnące zacietrzewienie Joan. Teraz i ona zanurzyła ręce w szafie, wyciągnęła tak często przez nią prasowaną zieloną suknię i w sam jej środek wbiła nożyczki do paznokci Jacqueline. Joan wyrwała jej nożyczki i zaczęła na chybił trafił ciąć wszystkie ubrania, posapując z zadowolenia. Eunice przydeptała nogą stos podartej garderoby, obcasem miażdżąc szkło oprawionych w ramki fotografii, powyciągała szuflady i rozrzuciła całą biżuterię, kosmetyki i listy, które wysunęły się spod opasujących je wstążek. Śmiała się przy tym chrapliwie, a Joan wtórowała jej obłąkańczym rechotem. Obydwie pewne były, że muzyka z dołu zagłusza wszelki hałas.

Tak też na razie było. Kiedy Eunice i Joan dokonywały spustoszenia nad głowami Coverdale'ów, ci słuchali akurat jednej z najgłośniejszych arii w całej operze, Arii Szampańskiej. Zaraz po jej zakończeniu Jacqueline wyszła z bawialni, aby przyrządzić kawę. Skorzystała z tej właśnie chwili, bo nie podobała się jej Zerlina i bała się, że zepsuje słynne *Batti, batti*. W kuchni zauważyła, że czajnik jest jeszcze ciepły, a więc Eunice musi być już w domu; zwróciła też uwagę na leżącą na stole dubeltówkę. Przypuszczała jednak, że to George z

jakiegoś powodu położył ją tam, zanim jeszcze usiedli przed telewizorem.

Odgłos otwierających się drzwi bawialni i kroki w hallu otrzeźwiły Joan i Eunice. Usiadły na łóżku i spoglądały na siebie niby to skruszone, podnosząc brwi i przygryzając wargi. Joan zgasiła światło i siedziały w ciemnościach, dopóki nie usłyszały, że Jacqueline przechodzi przez hall i wraca do bawialni.

Eunice trąciła nogą stos potłuczonego szkła i zniszczonych strojów.

— Kiepska sprawa — powiedziała zupełnie poważnie, nie przyłączając się do śmiechu Joan. — On może wezwać policję.

— Nie wie, że tu jesteśmy. — Oczy Joan pałały. — Eunice, czy są w domu kombinerki?

— Bo ja wiem? Może w pokoju myśliwskim. A po co ci?

— Zobaczysz. Cieszę się, że to zrobiliśmy, Eun. O, straciłyśmy go z wysokości, dosięgłyśmy go w tym łożu rozpusty. Jam narzędziem zemsty Pana! Jam mieczem w jego ręce i włócznią w jego prawicy!

— Jak będziesz tak wrzeszczeć, to cię w końcu usłyszą — upomniała ją Eunice. — Ja też się cieszę, że to zrobiliśmy.

Zostawiły tacę na stole, a dzbanek z herbatą na środku łóżka. W hallu na dole paliło się światło. Joan poszła prosto do pokoju myśliwskiego i zaczęła grzebać w skrzynce z narzędziami George'a.

— Przetnę druty telefoniczne.

— Jak w telewizji — powiedziała Eunice. Przestała już protestować, pokiwała natomiast głową z aprobatą. — Przewód jest nad fron-

towymi drzwiami — poinformowała. — Już nie będą mogli dzwonić na policję.

Joan wróciła uśmiechając się promiennie.

— Co teraz robimy?

Eunice nie przeszło nawet przez myśl, że można by jeszcze coś zrobić. Gdyby tutaj zaczęły niszczyć sprzęty, w bawialni na pewno wszystko byłoby słychać, a czy policja zjawiałaby się, czy nie, cztery silne dorosłe osoby bez trudu poradziłyby sobie z nią i z tym chuchrem.

— Czy ja wiem — odrzekła Eunice, jednakże tym razem jej zwykła odpowiedź zawierała w sobie nutkę smętnej tęsknoty. Miała ochotę, żeby zabawa trwała.

— Jak wisieć, to za obie nogi — stwierdziła Joan. Wzięła do ręki dubeltówkę i spojrzała przez jedną z luf.

— Skonaliby ze strachu, jakbym strzeliła.

Eunice zdjęła ze ściany drugą strzelbę.

— Nie tak — powiedziała. — W ten sposób.

— Zdumiewasz mnie, Eunice. Odkąd to jesteś gangsterem w spódnicy?

— Obserwowałam go. Potrafię strzelać równie dobrze jak on.

— Zaraz spróbuję!

— Nie jest nabita — powiedziała Eunice. — W tej szufladzie są naboje, tak się nazywają. Często widziałam, jak on to robi. Te strzelby kosztują straszne pieniądze, każda ponad dwieście.

— Może by je połamać?

— Właśnie to się robi, żeby je otworzyć do załadowania. Trzeba strzelbę złamać.

Spojrzały na siebie, a Joan roześmiała się. W jej śmiechu było coś z krzyku pawia.

— Nie słychać już muzyki — powiedziała Eunice. Było za dwadzieścia pięć dziewiąta. Akt pierwszy

dobiegł końca — iw operze, i w kuchni.

20

W przerwie między aktami Jacqueline naląła wszystkim drugą filiżankę kawy. Melinda przeciągnęła się i wstała.

— Wspaniale — powiedział George. — Co sądzisz, kochanie?

— Zerlina jest okropna. Za stara i ma drżący głos. George, czy w czasie menueta nie słyszałeś żadnych hałasów na górze?

— Nie, raczej nie. To zapewne nasza zgaga skradała się do siebie.

— Tatusiu, już ona się nie skrada — powiedziała Melinda. — Co najwyżej się zakrada. Ojej, zapomniałam wyłączyć magnetofon.

— Ja nie słyszałam ani skradania się, ani zakradania, ale brzęk szkła.

Melinda wyłączyła magnetofon.

— Tam była uczta — powiedziała nawiązując do opery. — Pewnie jakieś efekty dźwiękowe.

Miała jeszcze coś dodać, ale nagle dobiegł ich piskliwy głos gdzieś spoza pokoju.

— George! — krzyknęła Jacqueline. — To pani Smith!

— Chyba masz rację — rzekł George wolno i złowrogo.

— Jest w kuchni z panną Parchman.

— Ani się obejrzy, jak ją wyrzucę za drzwi.

George wstał.

— Oj, tatusiu, stracisz początek drugiego aktu. Ta wredna Parchlady pewno urządza pożegnalne przyjęcie.

— Zaraz wrócę — powiedział George. Poszedł do drzwi, zatrzymał się przy nich na chwilę i po raz ostatni spojrział na żonę. Gdyby tylko wiedział, że jest to ostatni raz, zawarłby w swoim spojrzeniu sześć lat szczęścia i ogromną wdzięczność, ale nie wiedział o tym, toteż podniósł tylko oczy, ściągnął usta, wyszedł do hallu i ruszył korytarzem do kuchni. Jacqueline zastanawiała się nawet, czy z nim nie pójść, ale rozmyśliła się i oparła znów o poduszki kanapy, gdy akt drugi rozpoczął się kłótnią między Leporello a jego panem. Magneton był włączony. *Ma che ho ti fatto, che vuoi lasciarmi?* Ale cóż ci uczyniłem, że chcesz mnie opuścić? *Oh, niente affatto; quasi ammazzarmi!* Ach, nic zgoła, tylkoś mnie o mało nie zabił....

George otworzył drzwi do kuchni i stanął zdumiony. Jego gospodyni, której przegowane włosy wysuwały się spod szpilek, a blada zwykle twarz pałała ciemnym rumieńcem, stała naprzeciw Joan Smith, wyglądającej jak pisklę żurawia, upierzone na zielono i łososiowo. Każda trzymała jedną z jego strzelb, celując do siebie nawzajem.

— To niesłychane! — powiedział George, kiedy odzyskał mowę. — Proszę natychmiast odłożyć te strzelby!

Joan zareagowała nieartykułowanym piskiem.

— Pif, paf! — zawołała. Najwyraźniej ożyło w niej jakieś wspomnienie z czasu wojny albo z filmu wojennego. — Hande hoch! — krzyknęła i wycelowała dubeltówkę George'owi w twarz.

— Ma pani szczęście, że nie jest nabita. — Major Coverdale spod El-Alamejn patrzył spokojnie na nowego wroga. — Daję pani i panie Parchman trzydzieści sekund na położenie obu strzelb na stole. Potem zabiorę broń siłą i zadzwonię po policję.

— Jeżeli się panu uda — powiedziała Eunice.

Żadna z kobiet nie drgnęła. George przez całe pół minuty stał bez ruchu. Nie bał się. Strzelby nie były nabite. Kiedy upłynęło trzydzieści sekund, a Joan nadal w niego celowała, George postyszał dobiegający niewyraźnie z bawialni początek uroczej i przejmującej arii Elwiry *O, taci ingiusto core!* Ucisz się, serce zdradliwe! Serce George'a biło miarowo. Podeszedł do Joan, chwycił strzelbę i wydał ostry, chrapliwy pomruk, kiedy Eunice strzeliła mu w szyję. Upadł na stół i wyrzucając ręce przed siebie starał się uchwycić jego krawędzi, gdy krew chlustała fontanną z przebitej tętnicy. Joan odskoczyła pod ścianę. Eunice nabrała tchu i z drugiej lufy wypaliła George'owi w plecy.

Na odgłos strzałów Jacqueline z okrzykiem przerażenia zerwała się na równe nogi.

— Na miłość boską, co to było?!

— To furgonetka pani Smith strzela z rury wydechowej — powiedziała Melinda, po czym, ścisząc głos ze względu na nagranie, dodała: — Zawsze tak strzela. Coś ma nie w porządku z tłumikiem.

— To brzmiało jak broń palna.

— Samochody tak właśnie strzelają. Jackie, usiądź, bo przegapiamy ten fragment, a to najcudowniejsza aria.

Ucisz się, serce zdradliwe. Przestań łomotać w mej piersi. Elwira wychyliła się z okna, pod którym ukazali się Leporello i Don Juan, po

czym popłynęło wspaniałe trio na dwa barytony i sopran. Jacqueline wyprostowała się i spojrzała w kierunku drzwi.

— Czemu ojciec nie wraca? — spytała nerwowo.

— Zastrzelił tę wariatkę — zażartował Giles — i nie wie, jak nam o tym powiedzieć.

— Przestań, Giles. Kochanie, idź i zobacz, co się stało. Nic teraz nie słychać.

— Jackie, pewno, że nie słychać, skoro idzie opera — powiedziała Melinda z nutką zniecierpliwienia w głosie. — Nie chcesz chyba słyszeć, jak tata wrzeszczy na tę Parchman? No i będę miała całe to gadanie na taśmie.

Jacqueline uniosła obie dłonie, potrząsnęła nimi przepaszająco, choć był to jednocześnie gest zaniepokojenia, a Giles, który zaczął już powoli wstawać z fotela, opadł znów na siedzenie. Z telewizora popłynęły dźwięki delikatnie trącanych strun mandoliny Don Juana. Dei vieni alla finestra. Podejdz zatem do okna... Jacqueline, zaciskając pięści, spełniła to żądanie. Zerwała się z miejsca, podeszła do okna po lewej stronie telewizora i rozsunęła zasłony. Niepomna magnetofonu, zawołała:

— Furgonetka pani Smith stoi tutaj! To nie ją słyszeliśmy.

Z twarzą ściągniętą przerażeniem odwróciła się do nich, do skwaszonej Melindy, do znudzonego, poirytowanego Gilesa, i nawet on dostrzegł, wyczuł jej napięcie i narastający lęk.

— Pójdę zobaczyć — westchnął i zaczął wstawać powoli jak starszerek cierpiący na artretyzm. Skierował się w stronę drzwi, gdy tymczasem Joan Smith i Eunice Parchman przeszły z kuchni na korytarz.

— Teraz będziemy mitsiały zabić wszystkich — powiedziała Eunice tonem, którego używała mówiąc o obowiązku, wymagającym natchmiastowej realizacji, jak na przykład o umyciu podłogi.

Joan, której nie trzeba było długo namawiać, obejrzała się na George'a. Był martwy, ale jego zegarek żył nadal, a wskazówka przesunęła się z dziesiątki prawie na dwunastkę. Dochodziła dziewiąta. Joan znów się obejrzała, a następnie podniosła oczy na Eunice, uśmiechając się radośnie. Miała okrwawione ręce, twarz i sweterek, który jej zrobiła Eunice. Weszły do hallu, znalazły się w zasięgu wzmagającej się muzyki, która w chwili, gdy Giles otworzył drzwi do bawialni, przywitała je eksplozją arii barytonowej i trącanych strun. Giles na widok krwi krzyknął.

— O Boże! — zawołał i odwrócił się, o ułamek sekundy wyprzedzając słowa Joan.

— Wracaj. Mamy broń.

Eunice pierwsza weszła za nim do pokoju. Huczał jej w głowie męski śpiew, a poczucie siły — możliwość wydawania rozkazów i siania zemsty — tętniło jej w całym ciele. Dodało to krzepy rękóm, które jeszcze przed chwilą omal nie zawiodły w kuchni. Były teraz mocne i pewne, kiedy podniosła naładowaną ponownie strzelbę. Twarz Jacqueline, poblada i przerażona, była dla niej tylko i wyłącznie twarzą, na której tak niedawno, gdy Eunice dostała walentynkę, malowało się szyderstwo. Głos Jacqueline, wołającej teraz rozpaczliwie męża, był wciąż głosem kobiety, która czyta książki i lubi spojrzeć znad pisane-go listu, aby wypowiedzieć półgłosem jakieś sarkastyczne uprzejmości. W tej chwili prawie nie słyszała ich krzyków i próśb, gdyż dokonała się w niej jakaś zadziwiająca przemiana: wszyscy oni przestali być ludźmi i zamienili się w słowo drukowane. Byli owymi przedmiotami na półkach bibliotecznych, czarno-białymi prostokątami na białym papierze, jej odwiecznymi wrogami, których nienawidziła i zarazem pożądała.

— Siadajcie — powiedziała. — Teraz już nic wam nie pomoże.

Przerwał jej śmiech Joan, która krzyknęła jakiś cytat z Biblii, po czym wypaliła ze swojej strzelby. Eunice jęknęła. Nie dlatego, że usłyszała krzyki i zobaczyła krew, ale dlatego, że Joan mogła być pierwsza, mogła ją uprzedzić. Postąpiła naprzód i wycelowwała broń. Wypaliła z obu luf, załadowała je ponownie, gdy tymczasem jeszcze jeden strzał huknął jej w uszach. Znów opróżniła obie lufy mierząc w to, co leżało na chińskim dywanie.

Muzyka ucichła. Pewnie Joan ją wyłączyła. Strzały i krzyki ustały. Cisza, która wypełniła bawialnię niczym gęsty balsam, była tym głębsza i bardziej kojąca dla prymitywnego ciała i umysłu. Pod jej wpływem Eunice zamarła. Cisza zamieniła w skałę tę istotę z epoki kamienia łupanego. Stała z opuszczonymi powiekami, oddychała miarowo, głęboko i gdyby ktoś na nią patrzył, miałby wrażenie, że ta kobieta śpi na stojąco.

Eunice była oddychającym kamieniem — jak zawsze.

Joan Smith ogarnął niebiański spokój osoby, która spełniła świętą misję. Zbadała wszystkie uczynki, jakich dokonała, i stwierdziła, że były to dobre uczynki. Rozgromiła bowiem wrogów Pana, a tym samym dostąpiła oczyszczenia. Chociaż wiedziała, co czyni, nie wiedziała, że czyni źle.

Jest całkowicie niewinna. Pojedzie teraz do Greeving. i opowie całemu miasteczku, co zrobiła, obwieści to na ulicach i wykrzyczy w „Błękitnym Dziku”. Właściwie szkoda, że przecięła drut telefoniczny,

bo teraz mogłaby podnieść słuchawkę i powiadomić o wszystkim telefonistkę. Spokojnym, dostojnym ruchem odłożyła strzelbę i wzięła do rąk magnetofon. Był nadal włączony. Joan nacisnęła jakiś klawisz i palące się stale czerwone światelko zgasło. Wewnątrz pozostał zapis jej sukcesu. Niech o stopniu niepoczytalności świadczy fakt, że w tej chwili oczami wyobraźni widziała siebie, jak puszcza taśmę przed członkami Bractwa Objawienia.

Na Eunice prawie nie zwracała uwagi. Ta stała bez ruchu, wciąż trzymając strzelbę, i nie odrywała wzroku od ciał Gilesa i Melindy, przytulonych do siebie po śmierci, niemal objętych — jak nigdy za życia. Joan wszakże zapomniała, kto to jest Eunice. Nie pamiętała własnego imienia, własnej przeszłości, Shepherd's Bush, Normana. Była sama, była tytanem i aniołem i bała się jedynie tego, że jakiś zły duch, sprzymierzony z Coverdale'ami, może się jeszcze mimo wszystko wtrącić i przeszkodzić jej w obwieszczeniu dobrej nowiny.

Sweterek, ręce i twarz miała poplamione krwią George'a. Nie za-dała sobie trudu, żeby ją zetrzeć. Wolnym, posuwistym krokiem — zupełnie inaczej niż zwykle — skierowała się do hallu, gdy tymczasem Eunice ocknęła się z kontemplacji.

— Umyj twarz przed wyjściem — powiedziała.

Joan puściła jej słowa mimo uszu. Otworzyła frontowe drzwi i sprawdziła, czy w ciemnościach nie czyhają jakieś demony. Na podjeździe i w ogrodzie nie było nikogo, poczuła się całkowicie bezpieczna. Wsiadła do furgonetki.

— Zresztą rób, jak chcesz — powiedziała Eunice. — Tylko umyj się dobrze, zanim pójdziesz spać. I pamiętaj: nikomu ani słowa. Po prostu nic nie mów.

— Jam jest włóczęgą Pana Zastępów.

Eunice wzruszyła ramionami. Takie gadanie nie miało większego znaczenia. Joan zawsze tak plecie od rzeczy, ludzie w miasteczku pomyślą więc najwyżej, że zupełnie już pomieszało się jej w głowie. Eunice wróciła do domu, bo czekało ją tam jeszcze sporo roboty.

Mając zapalone tylko boczne światła, Joan w euforii wyjeżdżała z terenu posesji. Głowę trzymała wysoko, patrząc to w prawo, to w lewo, wszędzie, tylko nie przed siebie, przy czym uśmiechała się łaskawie niby do wiwatującego tłumu. Cud to był prawdziwy, że udało jej się bez wypadku dotrzeć aż do bramy. Dotarła jednak do niej, a nawet przejechała bitą drogą jakieś trzysta metrów. Ale w miejscu, w którym droga dość ostro skręcała omijając wysoki mur frontowego ogrodu przy domu pana Meadowsa, Joan zobaczyła, jak biała sowa odrywa się od któregoś z drzew i przelatuje bijąc ciężko skrzydłami tuż przed szybą furgonetki. Joan wzięła sowę za demona nasłanego na nią przez Coverdale'ów. Wcisnęła pedał gazu, żeby rozjechać napastnika, ale wjechała prosto w mur. Przód furgonetki złożył się w harmonijkę, Joan natomiast przebiła głową szybę i uderzyła w trzydziestocentymetrowej grubości beton.

Minęło pół do dziesiątej. Państwo Meadows pojechali do Gosbury odwiedzić zamężną córkę i w domu nie było nikogo, kto by usłyszał łoskot. Norman Smith siedział w „Błękitnym Dziku” i przeżywał z innymi gośćmi sporą porcję emocji, ale dopiero następnego dnia wszyscy zdali sobie sprawę, jak emocjonująca była w istocie cała ta historia. Norman wrócił do domu piętnaście po dziesiątej. Furgonetki nie było na jej stałym miejscu między sklepem a trójkątnym trawnikiem, ale Norman sądził, że Joan w dalszym ciągu jest gdzieś z Eunice, która spędzała swój ostatni, chwala Bogu, wieczór w Gjeeving. Nikt nie jechał drogą przez miasteczko (w każdym razie nikt nie zameldował o wypadku), dopóki państwo Meadows nie wrócili do domu o dziesiątej dwadzieścia pięć. Kiedy zobaczyli rozbity mur, furgonetkę i nieprzytomną Joan, wychyloną górną połową ciała z samochodu, zadzwonili najpierw po karetkę pogotowia, a następnie do Normana

Smitha. Joan żyła, ale w ciężkim stanie zabrano ją do szpitala. Była tak zakrwawiona, że nikt się nawet nie zastanawiał, czy jest to krew wyłącznie jej własna, czy nie. W ten sposób Joan Smith, która już od wielu miesięcy powinna była przebywać w szpitalu psychiatrycznym, znalazła się na oddziale intensywnej opieki medycznej z powodu obrażeń cielesnych.

Norman po raz drugi już tego wieczora musiał patrzeć na krew. Wezwano go na miejsce wypadku żony, a niecałe trzy godziny wcześniej dwóch młodych mężczyzn weszło do baru w „Błękitnym Dziku”, po czym niższy i młodszy spytał Edwina Cartera, właściciela, o toaletę męską. Chciał umyć ręce, bo zranił sobie lewą dłoń i krew zaczęła przeciekać przez chustkę do nosa, którą była obwiązana.

Pan Carter zaprowadził go do toalety, a jego żona spytała, czy nie mogłaby udzielić pierwszej pomocy. Z propozycji nie skorzystał, przyczyna zranienia pozostała nieznana, a -kiedy młodzieniec powrócił, rękę miał przewiazaną czystą chusteczką. Prawdę powiedziawszy, Carterowie ani nikt z gości nie przypominali sobie widoku samej ręki, a wszyscy pamiętali tylko krew na poprzednim opatrunku. Pozostałymi świadkami byli Jim Meadows z warsztatu samochodowego, Alan i Pat Newsteadowie, Geoff i Barbara Baalhamowie oraz brat Geoffa, Filip, a także Norman Smith.

Pani Carter zapamiętała, że mężczyzna ze zranioną ręką zamówił podwójną brandy, natomiast jego towarzysz kufel piwa. Usiedli przy stoliku, wypili swoje trunki w ciągu kilku minut i wyszli, nie odzywając się do nikogo, jeżeli nie liczyć pytania, gdzie o tej porze mogą za-tankować paliwo, bo stacja benzynowa Meadowsów jest zamknięta. Geoff Baalham poinformował ich, że na głównej szosie za Rozdrożem pod Szubienicą jest stacja samoobsługowa i aby wskazać drogę, wyszedł za przybyszami na skwerek przed „Błękitnym Dzikim”. Tam stał ich samochód, stary model Morrisa, Minor Traveller, furgon z

kasztanową karoserią i drewnianą skrzynią ładunkową. Geoff nie zauważył jednak numeru rejestracyjnego.

Odjechali z miasteczka główną drogą, toteż ich trasa na pewno wiodła koło Lowfield Hall.

Nazajutrz wszyscy świadkowie z baru dostarczyli policji rysopisy przybyszów. Jim Meadows oświadczył, że obaj byli długowłosymi brunetami, mieli na sobie granatowe drelichy, a ten, co nie był ranny, mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Carterowie twierdzili, że ten wysoki miał długie czarne włosy, ale ich córka, Barbara Baalham, mówiła, że obaj byli szatynami o piwnych oczach. Zdaniem Alana Newsteada osobnik ze zranioną ręką był krótko ostrzyżonym blondynem o niebieskich świdrujących oczach, jednakże żona Newsteada orzekła, że oczy, owszem, były świdrujące, tyle że piwne. Według zeznań Geoffa Baalhama niższy osobnik miał płowe włosy i szare sztruksowe spodnie, podczas gdy brat Geoffa utrzymywał, że obaj ubrani byli w spodnie drelichowe, a wyższy miał obgryzione paznokcie. Norman Smith zauważył na twarzy blondyna szramę, a wzrost niższego oceniał na jakieś metr siedemdziesiąt pięć.

Wszyscy żalowali, że w odpowiedniej chwili nie przyjrzeliby im się dokładniej, ale kto mógł przypuszczać, że okaże się to potrzebne?

Kiedy Eunice, która miała jeszcze sporo roboty, została sama, nie zabrała się do niczego, tylko usiadła na schodach. Miała szczególne uczucie, że jeżeli nic nie będzie robić, a po prostu pójdzie rano z walizkami na przystanek autobusowy, który już od dawna zlokalizowała, i pojedzie do Londynu, wszystko ułoży się dobrze. Mogą przecież znaleźć Coverdale'ów dopiero po kilku tygodniach, a jak już znajdą, i tak nie będą wiedzieli, gdzie ona jest.

Miała ochotę na herbatę, tym bardziej, że tej przyrządzonej poprzednio nie udało jej się wypić — Joan wylała zawartość dzbanka na

łóżko Jacqueline. Eunice zaparzyła herbatę, a krzątając się przestępowała przez ciało George'a. Zegarek na jego martwym przegubie wskazywał za dwadzieścia dziesiąta. Czas spakować rzeczy. Dobytek Eunice powiększył się przez te minione dziewięć miesięcy bardzo nieznacznie, jeżeli nie liczyć tego, co już zresztą zjadła, jak cukierki, czekolada, ciasta. Tylko kilka swetrów i sukien zrobionych na drutach przybyło do jej garderoby. Ułożyła rzeczy w walizkach pani Samson, prawie w tym samym porządku, w jakim przyjechały.

Tu na górze, w jej pokoju, miało się wrażenie, że nic się w "ogóle nie zdarzyło. Szkoda, że musi jutro wyjechać, chociaż nikt już nie każe się jej wynosić, a poza tym lubi ten pokój, zawsze go lubiła. Teraz, kiedy wreszcie nikt nie będzie się wtrącał do jej spraw, czułaby się tu jeszcze lepiej.

Za wcześnie było, żeby iść spać, a poza tym nie miała pewności, czy będzie mogła zasnąć. Zupełnie wyjątkowe uczucie, bo dotychczas zawsze wiedziała, że ledwo dotknie głową poduszki, zaśnie natychmiast. Jednakże okoliczności też były wyjątkowe, nigdy dotychczas czegoś podobnego nie zrobiła. Rozumiała, że nie zmruży oka z podniecenia, siedziała więc rozglądając się po pokoju i zerkając na walizki. Nie chciało jej się oglądać telewizji i żałowała w końcu, że zapakowała druty i robótkę aż na dno dużej walizy. Za kwadrans jedenasta wciąż siedziała na tym samym miejscu, i zastanawiała się, o której odchodzi poranny autobus i czy nie będzie padało, gdy naraz od głównej drogi dobiegło ją zawodzenie syreny. Była to syrena karetki pogotowia, która przyjechała po Joan, ale skąd Eunice mogła o tym wiedzieć. Pomyślała, że to policja, i nagle po raz pierwszy się przeraziła. Zeszła na pierwsze piętro do pokoju Jacqueline, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wyrzała przez okno, nic jednak nie było widać, a zawodzenie syreny umilkło w oddali. W chwili gdy opuściła zasłonę, syrena rozległa się ponownie, po czym jakiś pojazd, którego Eunice nie rozpoznała, bo widać było tylko światło alarmowe, zbliżył się z wyciem do Lowfield Hall, minął go i pomknął w stronę szosy.

Eunice się to nie podobało. W Greeving rzadko zdarzały się podobne sensacje. Co oni robią? Po co się tam kręcą? Dzięki telewizji Eunice wiedziała już co nieco o procedurze policyjnej. Zapaliła lampkę przy łóżku i obchodząc dookoła pokój, wycierała, zamyślona, każdą dotkniętą przez Joan rzecz: kawałki szkła, bibeloty, dzbanek do herbaty. Bohater jej ulubionego serialu, Steve, jeżeli tylko nie strzelał do ludzi ani nie ścigał ich samochodem, bezbłędnie wykrywał odciski palców. Policja zjawi się za chwilę, chociaż syreny już nie słysząc. Eunice zeszła na dół. Zorientowała się teraz, jak naiwne było jej przypuszczenie, że policja o niczym się nie dowie. Jeżeli nawet nie przyjadą dziś, to przyjadą jutro, bo przecież rano Geoff Baalham przywiezie jajka, a kiedy nie będzie mógł dostać się do domu, zajrzy przez okno i zobaczy ciało George'a. Dlatego Eunice musi zrobić mnóstwo rzeczy, żeby uniknąć podejrzeń. Najważniejsza sprawa to usunąć odciski palców Joan z kombinerek i wytrzeć dokładnie strzel-

by. Eunice rozejrzała się po bawialni. Na kanapie leżał zbryzgany krwią otwarty numer „Radio Times”, a wśród plam widać było jakieś odręczne notatki. Eunice czuła do nich odrazę daleko większą niż do śladów krwi. Powinna była przede wszystkim zniszczyć ten właśnie egzemplarz „Radio Times” — podpalić go w zlewie zapałkami albo pociąć na drobne kawałeczki i zakopać, albo wepchnąć do otworu pojemnika na śmieci. Ale Eunice nie umiała czytać. Zamknęła pismo, a że usiłowała jako tako w pokoju posprzątać, umieściła je w stosie niedzielnych czasopism na stoliku do kawy. Właściwie wolałaby nie zostawiać na nim brudnych filiżanek, ale czuła, że lepiej będzie ich nie myć. Jeżeli odstawi jeszcze telewizor na miejsce, do saloniku, będzie już prawie posprzątane, toteż przeniosła z trudem odbiornik przez hall i wtedy dopiero poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

Właściwie wszystko już zrobiła, a tymczasem samochód policyjny nie wracał. Teraz, po raz pierwszy od chwili, kiedy uporała się z całym tym bałaganem, przyjrzała się długo i uważnie ciału George'a, a potem weszła raz jeszcze do bawialni i w ten sam sposób zlustrowała

ciała jego żony, córki i pasierba. Nie"obudziło się w niej ani współczucie, ani skrucha. Nie myślała o takich sprawach, jak miłość, radość, spokój, wytchnienie, nadzieje, życie, szczątki, prochy, obłęd czy śmierć, o tym, że zabiła miłość i zgasiła życie, że pogrzebała nadzieje, zaprzepaściła możliwości intelektualne, zdeptała radość — bo też i nie wiedziała dobrze, co te pojęcia znaczą. Nie zastanawiała się nad tym, że zabitych przez nią ludzi trzeba teraz pogrzebać. Nie mogła natomiast odżalować, że uległ zniszczeniu taki porządny dywan, chociaż jej samej na szczęście krew nawet nie opryskała.

Eunice tyle czasu spędziła na robieniu porządków, że zapragnęła, aby ktoś ją za tak dobrą pracę pochwalił. Zawsze lubiła, kiedy doceniano owoce jej wysiłków, nawet jeżeli nie zdradziła zadowolenia choćby uśmiechem czy słowem. Dlaczego policjanci mają się przekonać o jej staraniach dopiero wtedy, gdy ona będzie już daleko? Są gdzieś w pobliżu — Eunice wdała się w swoje nieprecyzyjne wywody myślowe — więc pewnie zaraz przyjadą. Najlepiej zrobi, niezwłocznie ich o wszystkim powiadamiając. Podniosła słuchawkę, zaczęła nakręcać numer i nagle przypomniała sobie, że Joan przecięła druty. Nic nie szkodzi, spacer na świeżym powietrzu dobrze jej zrobi.

Eunice Parchman włożyła czerwone palto, wełnianą czapkę i szalik. Z pokoju myśliwskiego zabrała latarkę i ruszyła pieszo do Greeving, do budki telefonicznej koło sklepu.

William Vetch, nadinspektor ze Scotland Yardu, przyjechał do Greeving w poniedziałek po południu, aby zająć się masakrą Coverdale'ów, zbrodnią Dnia Sw. Walentego.

Przyjechał do miasteczka, o którym tylko nieliczni słyszeli dotychczas w wielkim świecie, a którego nazwa widniała obecnie na pierwszych stronach wszystkich gazet i rozbrzmiewała z każdego ekranu telewizyjnego. Znalazł się w miasteczku, którego mieszkańcy tego dnia nie wyjrżeli nawet z domów, jakby lękając się powietrza, które w ciągu nocy mogło zmienić swoje właściwości, stać się groźne, wrogie i zdradliwe. Na głównej ulicy miasteczka pełno było ludzi, ale byli to wyłącznie policjanci. Krążyło mnóstwo samochodów i radiowozów policyjnych. Przez całą noc i cały dzień na podjeździe do Lowfield Hall tłoczyły się furgonetki z policjantami, kręcili się fotografowie i technicy z laboratorium. Jednakże mieszkańców Greeving w ogóle nie było widać i tego właśnie dnia, piętnastego lutego, zaledwie pięciu mężczyzn poszło do pracy, a siedmioro dzieci do szkoły.

Vetch zaanektował miejscową świetlicę i urządził tam swoje biuro. Wraz z ludźmi ze swojej ekipy przesłuchiwał w nim świadków, gromadził dane, załatwiał telefony, udzielał wywiadów prasie — a także odbył pierwsze przesłuchanie Eunice Parchman.

Był doświadczonym oficerem. W policji pracował od dwudziestu sześciu lat, podczas służby w Wydziale Zabójstw dawał niejednokrotnie dowody wielkiej odwagi. Osobiście aresztował Jamesa Timsona, mordercę z banku w Manchesterze, i na czele grupy policjantów wtargnął w dzielnicy Brixton do mieszkania Waltera Eksteena, uzbrojonego bandyty, ściganego za zabójstwo dwóch strażników.

Wśród funkcjonariuszy młodszych rangą panowała opinia, że Vetch w każdej prowadzonej przez siebie sprawie wybiera jednego poszczególnego świadka i korzysta z jego pomocy, przeciwnicy zaś twierdzili, że z takim świadkiem, bez względu na jego płeć, nawiązuje nawet przyjacielskie stosunki. W sprawie Eksteena manewr był bardzo korzystny, ponieważ Vetcha zaprowadziła do mordercy jego dawna kochanka, której zaufanie udało się nadinspektorowi zdobyć.

W wypadku Coverdale'ów wybrał na tego rodzaju świadka Eunice Parchman.

Tak naprawdę, to nikt nigdy nie lubił Eunice. Rodzice kochali ją na swój sposób, ale było to co innego. Pani Samson litowała się nad nią, Annie Cole jej się bała, a Joan Smith wyzyskiwała ją do swoich celów. Bill Vetch natomiast szczerze Eunice polubił. Wzbudziła jego sympatię już przy pierwszym przesłuchaniu. Nie marnowała bowiem słów, sprawiała wrażenie osoby prawdomównej, nie bawiła się w łązawe sentymenty, a poza tym nie bała się przyznać, że czegoś nie wie.

Podziwiał ją za to, że kiedy znalazła cztery trupy — w okolicznościach, które przeraziły nawet funkcjonariuszy policji — udała się po ciemku do budki telefonicznej, oddalonej o ponad półtora kilometra. Tego, że Eunice może być winna zbrodni, nie brał pod uwagę, a cień wątpliwości, jaki miał jeszcze przed przesłuchaniem, rozwiął się z chwilą, gdy Eunice opowiedziała o swojej niechęci do Coverdale'ów i o tym, że wymówiono jej z powodu arogancji. W dodatku nie była to zbrodnia, o którą można by posądzać kobietę w średnim wieku, tym bardziej, że nie mogła jej popełnić jedna osoba. W dodatku, zanim jeszcze doszło do rozmowy z Eunice, "Vetch zaczął organizować pościg za mężczyzną ze skaleczoną ręką i jego towarzyszem.

Oto, co Eunice zeznała poprzedniej nocy policjantom z Suffolk: „O pół do szóstej pojechałam do Nunchester z moją przyjaciółką, panią Joan Smith. Byłyśmy tam na nabożeństwie w świątyni Bractwa Objawienia. Pani Smith odwiozła mnie do Lowfield Hall i przyjechałam tam za pięć ósma. Kiedy weszłam frontowymi drzwiami, spojrzałam na zegar w hallu — pokazywał za pięć ósma. Pani Smith nie wchodziła do domu. Nie czuła się dobrze, więc poradziłam jej jechać prosto do Greeving. W hallu i w bawialni paliło się światło. Światło widać było z zewnątrz. Drzwi do bawialni były zamknięte. Nie weszłam tam. Wieczorami, po powrocie do domu, nie zaglądałam już do

bawialni, chyba że pan albo pani Coverdale mnie zawołali. Do kuchni też nie wchodziłam, bo w Nunchester po nabożeństwie jadłam podwieczorek. Poszłam na górę do swojego pokoju. Drzwi do sypialni państwa Coverdale były otwarte, ale tam nie zaglądałam. Robiłam trochę na drutach, a potem spakowałam walizki.

W niedzielę państwo Coverdale szli zwykle Spać koło jedenastej. Giles wieczorami siedział przeważnie w swoim pokoju. Nie wiedziałam wtedy, czy jest u siebie, bo kiedy szłam na górę, jego drzwi były zamknięte. Zresztą nie zastanawiałam się nad tym. Myśli miałam zaprzątnięte planowanym na następny dzień wyjazdem i nie ruszałam się z pokoju aż do pół do dwunastej.

Mogłam nie schodzić na dół, żeby się umyć, bo miałam własną łazienkę. Położyłam się o jedenastej. Światło na schodach na pierwszym piętrze i po drodze na drugie piętro zawsze się paliło. Albo pan, albo pani Coverdale gasili je idąc spać. Kiedy o pół do dwunastej zauważyłam w szparze pod drzwiami, że światło jeszcze się pali, wstałam i poszłam je zgasić. Włożyłam szlafrok, bo musiałam zejść do kontaktu aż na pierwsze piętro. Wtedy na podłodze sypialni państwa Coverdale zobaczyłam stos ubrań i potłuczonego szkła. Wchodząc przedtem po schodach nie widziałam tego, bo byłam odwrócona plecami do drzwi. Teraz to, co zobaczyłam, zaniepokoiło mnie, więc zeszałam na dół do bawialni. Znalazłam tam ciała pani Coverdale, Melindy Coverdale i Gilesa Monta. W kuchni leżał martwy pan Coverdale. Usiłowałam zadzwonić na policję, ale nie było sygnału. Dopiero po chwili spostrzegłam, że druty są przecięte.

Od czasu, kiedy wróciłam do domu, do chwili znalezienia ciał nie słyszałam żadnych niezwykłych odgłosów. Kiedy przyjechałam do domu, nikt z Lowfield Hall nie wychodził. Może po drodze mijaliśmy jakieś samochody, ale nie zwróciłam na nie uwagi".

Eunice powtarzała potem to zeznanie, nie zmieniając najdrobniejszego nawet szczegółu. Siedziała naprzeciwko Vetcha i spokojnie pa-

trząc mu w oczy utrzymywała, że wróciła do domu za pięć ósma. Duży zegar w hallu zdążył już stanąć, ponieważ tamtego niedzielnego wieczora George go nie nakręcił, jak zwykł to czynić o dziesiątej. Czy zegar dobrze chodził? Eunice powiedziała, że czasem się spóźniał o jakieś dziesięć minut, co potwierdziła Ewa Baalham, a następnie Piotr Coverdale. Jednakże Vetch często później żałował, że strzał nie unieruchomił zegarka George'a, w śledztwach bowiem dotyczących zabójstw najbardziej nie lubił nieścisłości związanych z czasem, a dopasowanie faktów do odpowiedniej godziny przysporzyło mu sporo irytujących kłopotów.

Zdaniem biegłych lekarzy, śmierć rodziny Coverdale oraz Gilesa Monta nastąpiła między pół do ósmej a dziewiątą trzydzieści, gdy bowiem kwadrans po północy dokonano wstępnych oględzin zwłok, rigor mortis już się rozpoczął. Wysoka temperatura przyspiesza ten proces, a ponieważ w zimie ogrzewanie zostawiało się włączone przez całą noc, w bawialni i w kuchni było bardzo ciepło. Wzięto pod uwagę wiele innych okoliczności: treść żołądkową ofiar, zsinienie pośmiertne, zmiany w płynie mózgowo-rdzeniowym, jednakże Vetch nie zdołał namówić biegłych, aby uznali, że śmierć mogła nastąpić przed siódmą trzydzieści. Trudno się temu dziwić: wystarczyło wziąć pod uwagę temperaturę — ponad dwadzieścia pięć stopni — panującą wtedy w domu, i fakt, że posiłek, na który składała się herbata, kanapki i ciasto, a który Coverdale'owie spożyli, według Eunice, o szóstej, był całkowicie strawiony. Nawet samemu inspektorowi wydawało się dziwne, żeby rodzina, która jadła kolację o szóstej, miała pić kawę już, powiedzmy, o siódmej.

Niemniej wątpliwości te nie wykluczały wersji wydarzeń, zgodnej z ustafonymi dotychczas faktami. Dwaj młodzieńcy w drelichach zjawili się w „Błękitnym Dziku” za dziesięć ósma. Mieli więc kwadrans na zabicie Coverdale'ów — tylko z jakich pobudek? Żeby po-

rozrabiać? A może dla zemsty na klasie społecznej, którą Coverdale'owie reprezentowali? — i jeszcze pięć minut na opuszczenie Lowfield Hall i dojazd do Greeving. Kiedy za pięć ósma, albo pięć po ósmej, Eunice weszła do domu, oni oddalili się już prawie o dwa kilometry, zostawiając za sobą śmierć i ciszę.

W ciągu tych piętnastu minut musieli też zdemolować sypialnię, chociaż Vetch nie mógł pojąć, w jakim celu wylali herbatę na łóżko. Bezmyślna dewastacja, zawyrokował w duchu, bo przecież z biżuterii Jacqueline nic nie zginęło. A może szukali gotówki i ktoś z Coverdale'ów zaskoczył ich przy plądrowaniu domu? Skaleczony mężczyzna musiał w którymś momencie zdjąć rękawiczkę — a rękawiczki nosił na pewno, ponieważ nie znaleziono żadnych odcisków palców — chyba że miał ją jeszcze na ręce w chwili postrzału. Wystarczyło piętnaście minut — wystarczyło, żeby zniszczyć wszystko dokoła i pozabijać ludzi.

Vetch przez wiele godzin przesłuchiwał gości „Błękitnego Dzika” — wśród nich Normana Smitha — którzy widzieli młodzieńców w drelichach i z nimi rozmawiali. Już w poniedziałek wieczorem policja w całym kraju brała udział w poszukiwaniu furgonu i jego pasażerów.

Joan Smith leżała nieprzytomna w Szpitalu Miejskim w Stanwich. Jednakże Vetch był przekonany, że tamtego wieczora w ogóle nie wchodziła na teren Lowfield Hall, a zajął się jej osobą tylko o tyle, że sprawdził, czy Eunice zgodnie z prawdą podała godzinę dwadzieścia po siódmej jako chwilę opuszczenia przez nie Świątyni Bractwa Objawienia. Bracia i siostry potwierdzili ten fakt, nikt jednak nie powiedział ludziom Vetcha o tym, jak Joan Smith groziła tuż przed wyjściem, że zabije George'a Coverdale. Nie zdawali sobie wtedy sprawy, że przedmiotem furii Joan jest George Coverdale, ale nawet gdyby się orientowali, i tak nie ujawniliby policji szczegółów z życia i dążeń swoich członków, ponieważ policjanci nie należeli do wybranych.

Pozwolono Eunice nadal mieszkać w Lowfield Hall, nie miała bowiem dokąd pójść, a poza tym Vetch chciał mieć ją na miejscu. Z kuchni mogła korzystać, ale bawialnia była opieczętowana, egzemplarz zaś „Radio Times” został tam wewnątrz.

— Nie wiem — odpowiedziała na pytanie Vetcha, czy George Coverdale miał wrogów. — Mieli wielu przyjaciół. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś groził panu Coverdale.

Zaraz potem Eunice zaparzyła inspektorowi herbaty. W trakcie jej opowiadania o życiu Coverdale'ów, ich znajomościach, przyzwyczajeniach, gustach i kapryсах, siedzieli razem — morderczyni i oficer śledczy — popijając herbatę przy wyszorowanym przez Eunice stole, na który George upadł w chwili śmierci.

To, co wydarzyło się w Lowfield Hall, mieszkańcy Greeving przyjęli z niedowierzaniem i zgrozą, a niektórzy z pełnym smutku żalem. Naturalnie o niczym innym się nie mówiło. Rozmowy, które z początku dotyczyły spraw codziennych — co ma być na obiad, jak tam czyjaś grypa, znowu pada i do tego straszny ziąb — nieuchronnie zbaczały na masakrę, ten akt bestialstwa. Kto mógł zrobić coś podobnego? Prawda, że ciągle nie sposób w to uwierzyć? Człowiek się zastanawia, do czego ten świat dojdzie. Jessica Royston nieustannie płakała i nic nie było w stanie jej pocieszyć. Mary Cairne zamówiła w firmie budowlanej Eleigh'a kraty na okna parteru. Jameson-Kerrowie myśleli wciąż o tym, że nigdy już nie odwiedzą Lowfield Hall, a generała aż dreszcz przechodził, ilekroć wspomniał, jak wraz z George'em polował na bażanty. Geoff Baalham opłakiwał Melinę i wiedział dobrze, że minie wiele czasu, nim znów zdoła przejechać w piątkowe albo sobotnie popołudnie przez Rozdroże pod Szubienicą.

Piotr Coverdale i Paula Caswall przyjechali do Greeving. Zaledwie w kilka godzin po przybyciu na miejsce Paula, która zamieszkała

u Archerów, dostała zapaści pod wpływem szoku i żalu. Piotr zatrzymał się „Pod Aniołem” w Cattingham. Tam też w zimne, wilgotne wieczory siedział przy elektrycznym kominku, który zupełnie nie wystarczał do ogrzania pokoju, i popijał z goszczącym „Pod Bykiem” w Marleigh Jeffreyem Montem. Piotrowi nie przypadł do gustu Jeffrey, którego zresztą dopiero teraz poznał, a który w ciągu jednej nocy wypijał butelkę whisky, ale bał się, że zwariuje nie mając się do kogo odezwać, a i Jeffrey powiedział, że gdyby nie towarzystwo Piotra, byłby odebrał sobie życie. Wybrali się obaj do Archerów, żeby odwiedzić Paule, ale doktor Crutchley zalecił jej absolutny spokój.

Jonatan Dexter dowiedział się w Norwich z gazety o śmierci Melindy. Nie zrobił nic. Nie szukał potwierdzenia wiadomości, nie porozumiał się ze swoimi rodzicami ani też nie próbował nawiązać kontaktu z Piotrem Coverdale. Zamknął się w swoim pokoju i przez pięć dni żył tam o suchym chlebie i herbacie.

Norman Smith przykładowie co wieczór odwiedzał żonę w szpitalu. Wcale nie miał ochoty tam chodzić. Mniej lub bardziej podświadomie pragnął śmierci Joan, bo samodzielność mu dogadzała, jednakże nie przyznałby się do tego przed sobą, podobnie jak nie zaniedbałby obowiązku wstąpienia do szpitala. Po prostu mąż musi spełniać pewne obowiązki wobec chorej żony, toteż je spełniał. Ponieważ jednak Joan nie ruszała się, nie mówiła ani nie słyszała, Norman nie mógł przekazać jej nowin. Gadał natomiast na ich temat z innymi mężami przychodzącymi do szpitala i rozprawiał o nich bez przerwy w „Błękitnym Dziku”, w którym mógł nareszcie spędzać tyle czasu, ile tylko zechciał.

Jak dotąd ze Stantwich nie dotarły żadne informacje o dochodzeniu w sprawie otwieranej przez Joan korespondencji. Norman, który pomimo swoich przejść zachował jeszcze resztki optymizmu, przypisywał ten stan rzeczy śmierci głównego świadka oskarżenia. A może

naczelnik poczty dowiedział się o wypadku Joan i nie chciał niepokoić Normana w czasie choroby żony.

Furgonetkę odholowano po wypadku do warsztatu w Nunchester. Norman wybrał się tam autobusem, ale właściciel warsztatu uznał, że pojazd nadaje się tylko do kasacji. Zawarli umowę co do części zdanych do użytku, po czym właściciel warsztatu powiedział:

— Aha, przy okazji, to leżało pod tylnym siedzeniem — i podał mu przedmiot, który, jak się Normanowi zdawało, był odbiornikiem tranzystorowym.

Norman zabrał go do domu, położył na półce, na której piętrzył się stos egzemplarzy „Pójdź za mą gwiazdą”, po czym na jakiś czas o nim zapomniał.

23

W środę, 17 lutego, portrety pamięciowe obu poszukiwanych mężczyzn ukazały się we wszystkich większych dziennikach, Vetch jednak pokładał w tych portretach niewielkie nadzieje. Skoro świadek nie pamięta, czy dany osobnik był blondynem czy szatynem, mało prawdopodobne, żeby przypomniał sobie kształt jego nosa albo czoła. Pracownik samoobsługowej stacji benzynowej, która oddalona była od Rozdroża pod Szubienicą o blisko sto metrów, pamiętał wyższego i ciemniejszego mężczyznę. Ale stacja była samoobsługowa, toteż młodzieniec sam sobie nalał benzyny, a do oszklonego pawilonu podszedł tylko po to, żeby zapłacić. Siedzący wewnątrz pracownik stacji nie widział drugiego mężczyzny, nie mógł nawet stwierdzić, czy w ogóle był jeszcze kto inny. Zapamiętał natomiast samochód, ale tylko dlatego, że kasztanowa karoseria jest dla tej wersji Morrisa zupełnie nietypowa.

Portrety sporządzono na podstawie relacji owego pracownika stacji benzynowej oraz zeznań Jima Meadowsa, Geoffa Baalhama i innych gości „Błękitnego Dzika”, którzy byli tam w niedzielę wieczorem. Komunikat w prasie sprawił, że w biurze Vetcha w miejscowej świetlicy rozdzwoniły się setki telefonów od ludzi, którzy albo widzieli szare, zielone lub czarne samochody Minor Traveller, albo mieli je w kolorze kasztanowym, choć trzymane szczelnie zamknięte w garażach. Zanim jednak którąś informację uznano za nieistotną, każdy telefon musiał być dokładnie sprawdzony.

Zwrócono się z apelem do wszystkich właścicieli hoteli i osób prowadzących pensjonaty, aby upewnili się, czy ktoś z gości nie ma samochodu odpowiadającego opisowi Geoffa Baalhama i pracownika stacji benzynowej. Jeśli tak, to czy w niedzielę samochód stał na swoim zwykłym miejscu? I gdzie znajduje się w chwili obecnej? Apele te wywołały setki, dalszych telefonów i setki bezowocnych rozmów, które ciągnęły się przez środę i czwartek.

W czwartek jednak zadzwoniła do Vetcha kobieta, która ani nie prowadziła pensjonatu, ani nie była właścicielką hotelu, ale udzieliła mu informacji na temat samochodu, którego wygląd zgadzał się z opisem podanym w komunikacie. Kobieta miała domek na kółkach pod Clacton na wybrzeżu Essex, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Greving. Minęła ledwie godzina od telefonu, a Vetch już osobiście rozmawiał z kobietą w jej własnej przyczepie.

Stali mieszkańcy kolonii parkowali samochody na błotnistym, zachwaszczonym polu tuż przy bramie wjazdowej, a chociaż pani Burchall sama nie miała samochodu, dość często widywała kasztanowego Travellera, ponieważ na całym parkingu był to pojazd najbrudniejszy, a poza tym nie miał powietrza w tylnej oponie i jednym kołem zapadał się w błoto. W ubiegły piątek samochód stał na zwykłym miejscu, ale kobieta nie bardzo mogła sobie przypomnieć, czy widziała go tam później. Tak czy owak, teraz samochodu nie było.

Okazało się, że jego właścicielem jest, a w każdym razie był dotychczas niejaki Dick Scales, kierowca dalekobieżnej ciężarówki. Kiedy Vetch i towarzyszący mu policjanci wstąpili po drodze do jego przyczepy, nie zastali go na miejscu. Rozmawiali jedynie z jakąś Włoszką, która podawała się za panią Scales, choć później przyznała się, że jest niezamężna. Poza okrzykami *Mamma mia!* i wyrzekaniem, że nic nie wie o żadnym samochodzie i że to na pewno Dick jest wszystkiemu winien, Vetch niewiele więcej z niej wydobył. Podczas rozmowy Włoszka tuliła w ramionach zadziornego kundlowatego terierka i bujała się na złamanym krześle. Kiedy Dick wróci? Nie wie. Może jutro, może pojutrze. A co z samochodem? O samochody mogą jej nie pytać, nie zna się na tym, nie umie prowadzić. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem wybrała się z rodzicami do Mediolanu i przyjechała dopiero w zeszłym tygodniu, zresztą okropnie żałuje, że w ogóle wróciła do tego zimnego, okropnego, bezbożnego kraju.

Policjanci czekali na Dicka Scalesa na szosie M1. Jakoś go jednak przegapili, a tymczasem Vetcha w Clacton zaczęły dręczyć wątpliwości co do rzeczywistego przebiegu wydarzeń. Jeżeli przyjąć, że to właśnie Scales jest winien, w jaki sposób Carterowie, Baalhamowie, Meadowsowie i pracownik stacji benzynowej mogli wziąć pięćdziesięcioletniego mężczyznę za wysokiego, ciemnowłosego młodzieńca?

W Lowfield Hall bawialnia była w dalszym ciągu opieczętowana i Eunice, schodząc do kuchni, kilka razy dziennie mijała opieczętowane drzwi. Ani razu nie pomyślała o tym, żeby spróbować dostać się do pokoju, chociaż gdyby zechciała, nie nastęczałoby to większych trudności. Drzwi balkonowe były zamknięte, ale klucze do nich wisiały jak zawsze na haczyku w pokoju myśliwskim. Policji zdarzają się czasem tego rodzaju drobne niedopatżenia. W tym jednak wypadku ów brak ostrożności nie pokrzyżował wcale planów policji ani nie pomógł Eunice, nie miała ona bowiem pojęcia, że jedyny dowód rzeczowy, który może ją zdradzić, znajduje się za drzwiami bawialni,

tym bardziej, że policja przestała się już owym dowodem interesować — jeżeli w ogóle był to dla nich jakiś dowód — i potraktowała go jak zwykłą makulaturę.

Czyżby to rzeczywiście był jedyny dowód? Tak, gdyby go bowiem Eunice zabezpieczyła i była w stanie przeczytać, co na nim napisano, już dawno naprowadziłby on ją na ślad dowodu numer dwa, a ściśle mówiąc, dowiedziałyby się, co to w ogóle jest, i w odpowiedniej chwili nie odrzuciłyby go z bezmyślną obojętnością.

Była spokojna, czuła się bezpieczna. Oglądała telewizję i plądrowała zamrażarkę wyciągając produkty, z których przyrządzała ogromne, smakowite posiłki. Między posiłkami zajadała czekoladę w większej ilości niż zwykle, bo chociaż nie odczuwała specjalnego napięcia psychicznego, peszyły ją trochę codzienne spotkania z policjantami. Żeby uzupełnić zapasy, chodziła do sklepu w miasteczku, gdzie urzędował samotnie Norman Smith, nieustannie z przyzwyczajenia żujący gumę.

Tego dnia rano odebrał telefon od pani Elder Barnstaple, która zapowiedziała, że wstąpi na chwilę, żeby zabrać te egzemplarze broszury „Pójdź za mą gwiazdą”, których Joan nie zdążyła rozprowadzić. Normart zdjął je z półki, a razem z nimi czarne pudełko znalezione w furgonetcie. Nie pokazał go jednak Eunice. Wspomniał o nim tylko, kiedy kupowała trzy batony czekoladowe „Mars”.

— Czy może Joan pożyczła od pani radio?

— Nie. mam radia — odparła Eunice odtrącając to, co chciał jej darować: spokojną przyszłość i wolność. Przed wyjściem ze sklepu nie zapytała nawet o zdrowie Joan ani nie przekazała jej pozdrowień. Z umiarkowanym zainteresowaniem zwróciła uwagę na to, że jakby mniej policji kręci się w pobliżu, a samochodu Vetcha nie ma na zwykłym miejscu koło świetlicy. Pani Barnstaple, która właśnie nadjecha-

ła, zaparkowała tam swój samochód. Eunice zaszczyliła ją skinieniem głowy i powściągliwym jak zwykle uśmiechem.

Drugiego swego gościa Norman Smith zaprosił do saloniku.

— Ładny ma pan ten magnetofon — powiedziała pani Barnstaple.

— To magnetofon? Myślałem, że radio.

Pani Barnstaple zapewniła go, że to magnetofon, po czym zainteresowała się, czyj on może być, skoro nie jest własnością Normana. Norman odparł, że nie wie, bo znaleziono go w furgonetce po wypadku Joan i być może należy do kogoś z Bractwa. Zdaniem pani Barnstaple było to mało prawdopodobne, ale obiecała, że popyta.

Dowiedziawszy się, że to magnetofon, każdy człowiek, choć trochę ciekawy z natury, zacząłby od razu przy nim majstrować i w końcu by go uruchomił. Ale nie Norman. Był pewien, że usłyszy tylko hymny i publiczne spowiedzi, odłożył więc magnetofon na pustą półkę i wrócił za ladę, żeby sprzedać Barbarze Baalham papier lotniczy.

Kilka godzin wcześniej, kiedy zaniepokojony Dick Scales wyruszał z Hendon na północno-wschodnim krańcu Londynu do domu w Clacton, młody człowiek z długimi ciemnymi włosami wszedł na posterunek w Hendon i, jak to się mówi, oddał się w ręce policji.

Piątek, dzień pogrzebu.

Ceremonia odbyła się o drugiej po południu i zgromadziła wiele osób. Dziennikarze przybyli wraz z kilkoma starannie dobranymi policjantami. Brian Caswall przyjechał z Londynu, a Audrey Coverdale ze Stock-on-Trent. Był tam i Jeffrey Mont — pod wyraźnym wpływem alkoholu, tym razem jednak dobroczynnym — a także Eunice Parchman, Jameson-Kerrowie, Roystonowie, Mary Cairne, Baalha-

mowie, Meadowsowie, Hig- gowie i Newsteadowie. Pod błękitnym niebem, przejrzystym jak w dniu chrzcin Gilesa Caswalla, rodzina i znajomi wyszli za pastorem z kościoła i podążyli wąską, krętą ścieżką do południowo-wschodniego zakątka cmentarza. Sękate konary wiązów, cień cisów, kołysanych wiatrem ze wschodu; George Coverdale kupił niegdyś miejsce pod tymi cisami i w tym grobie złożono go na wieczny spoczynek wraz z żoną i córką.

Pastor Archer zacytował następujące słowa z Księgi Mądrości: „I choć przed ludźmi męki cierpieli, nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności. Po nagłych utrapieniach wśród wielu dóbr znajdą miejsce...”

Zgodnie z wolą ojca, Giles poddany został kremacji w Stantwich. Na krótkim nabożeństwie nie było kwiatów. Wieńce dla Coverdale'ów nie zdążyły dotrzeć tam, gdzie Piotr je kierował, a mianowicie do szpitala w Stantwich — czy po to, aby przystroiły łóżko Joan Smith? — ale i tak lutowy mróz zwarzył je w ciągu godziny. Eunice, namówiona przez Ewę Baalham, wysłała wiązanek chryzantem, jednakże nie zapłaciła już rachunku, który właściciel kwiaciarni przesłał jej w tydzień później.

Piotr odwiózł Eunice do Lowfield Hall i poradził, żeby poszła na górę i położyła się. Propozycję tę przyjęła bez sprzeciwu, ponieważ miała w perspektywie telewizję i batony „Mars”. Pod nieobecność Eunice i policji, w straszliwej ciszy i przejmującym zimnie, Piotr wyniósł na dwór stół kuchenny, porąbał go na kawałki i spalił koło żywopłotu z tarniny, gdy tymczasem lodowate krwistoczerwone słońce zniknęło za horyzontem.

Vetch nie brał udziału w pogrzebie. Był w Londynie, gdzie Keith Lovat opowiedział mu historię, którą wcześniej zrelacjonował policji w Hendon, po czym obaj udali się do dzielnicy West Hendon, do domu, w którym Michael Scales i Lovat wynajmowali oddzielne pokoje. W końcu ogrodu znajdowały się trzy zamykane garaże, otoczone wysokim ogrodzeniem. Na betonowej płycie za ogrodzeniem, przylega-

jącym do garaży, Vetch, zaprowadzony tam przez Lovata, zobaczył ukryty pod plandeką samochód. Lovat zdjął plandekę, spod której wyłonił się kasztanowy Morris, typ Minor Traveller, który Lovat, jak powiedział Vetchowi, kupił w ostatnią niedzielę od ojca Michaela, Dicka Scale- sa.

Samochód, mówił Lovat, wystawiony był na sprzedaż za osiemdziesiąt funtów, pojechali więc z Michael- em pociągiem do Clacton, żeby go obejrzyć. Przybyli na miejsce o trzeciej i w przyczepie samochodowej posilili się wraz z Dickiem Scalesem i pewną Włoszką, która w relacji Lovata występowała jako Maria, a jednocześnie macocha Michaela.

— Maria miała małego pieska — ciągnął Lovat. — Przywiozła go z Włoch w koszyku z pokrywką i na cie nikt się nie zainteresował. To kaśliwe stworzenie, więc go nie dotykałem, ale Mike wciąż się z nim bawił, a właściwie go drażnił. — Lovat spojrział na Vetcha. — I tak to się stało, stąd to wszystko.

Przebitą oponę w samochodzie zastąpiła zapasowa, a on i Michael Scales postanowili wrócić nim o siódmej do domu, jednakże nie szosą A12 z Nunchester, czyli drogą szybkiego ruchu, która prowadzi do Wschodniego Londynu. Zamiast tego chcieli jechać na zachód, do Gosbury, potem na południe w kierunku Dunmow i Ongar. Do Londynu zamierzali wjechać szosą A1, a do Hendon dostać się Północną Obwodnicą. Zanim jednak wyruszyli, Michael znowu zaczął drażnić psa. Podsuwał mu kawałek czekolady, a kiedy pies zbliżał się, żeby go chwycić, gwałtownie cofał rękę. Skończyło się na tym, że pies ugryzł go w lewą dłoń.

— Mimo wszystko pojechaliśmy. Maria obwiązała rękę Mike'a chusteczką do nosa, a ja mu poradziłem, żeby, jak będziemy w domu, poszedł z tą ręką do lekarza. Dick i Maria przestraszyli się trochę, bo ona przemyciła psa nielegalnie, gdyby więc ich złapano, mogli, jak twierdził Dick, dostać grzywnę wysokości kilkuset funtów. W końcu

więc Mike obiecał, że nie pójdzie do lekarza ani do szpitala, ani nic z tych rzeczy, chociaż krew przesiąkła już przez opatrunek. Wyruszyliśmy i — nie będą ukrywał — zabłądziłem. Na bocznych szosach było zupełnie ciemno i bałem się, że przegapiłem drogę do Gosbury, chociaż potem okazało się, że właśnie nią jechaliśmy. Mike nie wiedział o tym, że bez kwarantanny nie wolno wwozić zwierząt do kraju, więc mu o tym powiedziałem, a kiedy spytał, po co ta kwarantanna, odparłem, że to z obawy przed wścieklizną. Wtedy się przeraził i od tego się zaczęło.

Skęcili w bok i bez wątpienia była to droga do Greeving. O której godzinie? Gdzieś za dwadzieścia ósma, powiedział Lovat. „Pod Błękitnym Dzikim” w Greeving Michael obmył rękę i wypił podwójną brandy. Skierowano ich do samoobsługowej stacji benzynowej na drodze do Gosbury, z której, jak się Lovat zorientował, jechali przez pomyłkę pół godziny wcześniej.

— Tymczasem Mike wpadł w panikę. Był przerażony, że zaraził się wścieklizną, a z drugiej strony nie chciał iść do szpitala, żeby nie wpakować ojca w tarapaty. Przyjechaliśmy do domu koło jedenastej, bo nie mogłem wycisnąć z samochodu więcej niż siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, a kiedy byliśmy już na miejscu, postawiłem go koło garażu i przykryłem plandeką.

— A co z Lowfield Hall? — spytał Vetch. Po drodze do Greeving i z powrotem musieli go mijać dwukrotnie.

Lovatowi głos się po raz pierwszy załamał. Na drodze do Greeving nie zauważyli żadnych zabudowań. Dziwne, pomyślał Vetch, wystarczy przypomnieć sobie farmę Meadowsów, która, stojąc na wzniesieniu, wylania się zawsze spoza jedyne ostrego zakrętu na drodze. Jednakże Vetch pominął to chwilowo milczeniem, Lovat natomiast opowiadał dalej, jak we wtorek zdał sobie sprawę, że to właśnie ich dwóch poszukuje policja. Zaklinał Michaela, żeby poszli na miejscowy posterunek, ale Michael porozumiał się telefonicznie z

Dickiem Scalesem i odmówił. Ręka zaczęła ropyć, puchnąć i od środy Mike nie chodził już do pracy.

W czwartek rano Dick Scales zadzwonił do Hendon z budki telefonicznej gdzieś na północy Anglii, a kiedy się dowiedział, w jakim stanie jest jego syn, oświadczył, że zajrzy do niego jadąc na południe. Przyjechał do Hendon o dziewiątej wieczorem, po czym we trzech radzili przez całą noc, co robić. Dick chciał, żeby Michael poszedł do lekarza, i powiedział, że ugryzł go jakiś bezpański pies, i żeby nic nie wspominał o samochodzie ani o odwiedzinach w przyczepie. Michael był skłonny na to przystać. Lovatowi nie udało się nakłonić ojca i syna, żeby rozważyli i jego punkt widzenia, a mianowicie, że przez cały czas brną w coraz gorsze kłopoty i w końcu policja może ich oskarżyć o utrudnianie jej pracy. Co więcej, Lovat nie mógł naprawić samochodu i przewidywał, że nie będzie go używał przez długie miesiące. Wreszcie postanowił działać na własną rękę. Kiedy Dick odjechał, Lovat wymknął się z domu i pobiegł na posterunek policji w Hendon.

Ta wersja wypadków niezupełnie zgadzała się z relacją, którą Vetch wydobyl w końcu od Michaela. Scales leżał w łóżku w zapuszczonym pokoju, rękę miał spuchniętą do łokcia i poznaczoną czerwonymi pręgami, a na widok Vetcha i towarzyszącego mu sierżanta zaczął szlochać. Kiedy Vetch powiedział mu, że wie o samochodzie, o wściekłym być może psie i o bytności „Pod Błękitnym Dzikim” w Greeving, potwierdził wszystko, a na dobitkę przyznał się do czegoś, co Lovat najwyraźniej przemilczał. Otóż jadąc do Greeving zatrzymali się przed podjazdem dużego, jasno oświetlonego domu, po czym Lovat wszedł na podjazd, chciał bowiem spytać o drogę do Gosbury. Zanim jednak dotarł do drzwi, opuściła go odwaga. Scales powiedział, że to z powodu ubrania, jakie Lovat miał na sobie, i dlatego, że majstrując przy samochodzie cały się wymazał.

Lovat trochę się jeszcze wypierał, ale w końcu potwierdził, że tak było.

— Nawet nie zapukałem do drzwi — powiedział. — Nie chciałem straszyć tych ludzi, zwłaszcza o tak późnej porze i w tak odludnym miejscu.

Mogła to być prawda. Vetch nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że chyba po raz pierwszy w życiu ma do czynienia z ludźmi tak lęklivymi i niezdecydowanymi. Proszę opisać ten dom, powiedział, a Lovat zeznał, że był to duży budynek z dwoma wysokimi oknami po obu stronach drzwi frontowych, i dodał, że kiedy wahał się na podjeździe, czy iść dalej, słyszał dolatującą z domu muzykę. O której? Za dwadzieścia ósma, powiedział Lovat. Scales natomiast twierdził, że raczej za kwadrans ósma.

Za sprawą Vetcha Maria Scales oskarżona została o naruszenie przepisów o kwarantannie, Michaela Scales odwieziono zaś do szpitala i umieszczono w izolatce. A co zrobić z Lovatem? Jak dotąd brakowało dowodów, aby oskarżyć jego i Scalesa o morderstwo, jednakże Vetch użył odpowiednich wpływów i w porozumieniu z szefem policyjnej służby medycznej wysłał także Lovata na obserwację do szpitala. Tam obaj młodzieńcy byli chwilowo unieszkodliwieni, toteż Vetch mógł się spokojnie zastanowić nad tym, co usłyszał na temat czasu i muzyki.

Co to za muzyka? Adapter, radio i telewizor Coverdale'ów były w saloniku. Można by więc przypuszczać, że Lovat tę muzykę po prostu wymyślił, chociaż trudno zgadnąć, w jakim celu. Bardziej było prawdopodobne, że Lovat i Scales przyjechali do Lowfield Hall dużo wcześniej i wtedy zamordowali Coverdale'ów — tylko jakie mieli do tego pobudki? Vetch nie był w stanie znaleźć żadnej racjonalnej odpowiedzi. Chyba że weszli do Lowfield Hall, żeby się umyć, poprosić o coś do picia i skorzystać z telefonu, ale napotkali na opór ze strony George'a Coverdale i jego pasierba. To by się zgadzało, a jeżeli Lovat kłamał, zgadzałby się również czas. Ale Lovat musiał mieć pewność przynajmniej co do jednego czynnika, żeby w ogóle na czymś oprzeć

zeznania, czy też żeby, jak sam się później wyraził, wypić piwo, którego ze Scalesem nawarzył.

Vetch zwrócił się o pomoc do młodych Coverdale'ów, a Audrey Coverdale oł razu powiedziała, że dręczyły ją pewne wątpliwości, które jednak ustąpiły, gdy wykryto sprawców zbrodni.

— Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego nie oglądali „Don Juana”. Jacqueline nie opuściłaby tego za nic w świecie. To tak, jakby zagorzały kibic piłki nożnej nie oglądał Mistrzostw Świata.

Ale telewizor był w saloniku. Po siódmej Coverdale'owie nie mogli siedzieć w saloniku, ponieważ pili kawę w bawialni, a nawet przy najśmielszych manipulacjach czasem nie sposób było uznać, że pili ją przed siódmą. Z drugiej strony Lovat, winien czy nie winien, twierdził, że słyszał muzykę. W niedzielę po południu Vetch złamał pieczęcie na drzwiach bawialni i ponownie zbadał miejsce zbrodni. Szukał śladów, które by przemawiały za tym, że telewizor znajdował się w bawialni, ale bezskutecznie, toteż przyszło mu do głowy, że trzeba sprawdzić, o której dokładnie opera się rozpoczęła. Mógł bez trudu dostać egzemplarz „Radio Times” z bieżącego tygodnia u któregośkolwiek sprzedawcy prasy. Do dziś nie wie, co sprawiło, że podniósł leżące na stoliku do kawy „Observera” i sprawdził, czy przypadkiem nie ma pod nim ostatniego numeru „Radio Times”. Okazało się, że jest. Vetch otworzył pismo na właściwej stronie i dostrzegł plamy krwi. Nawet jeżeli ktoś to przedtem zauważył, nic mu o tym nie powiedział. Na marginesie, wśród plam oraz pod nimi, widniały trzy odręczne notatki:

„Uwertura skrócona. Siódma nuta w ostatnim takcie *La Ci Darem* na pewno brzmi za wysoko. Porównać z nagraniem M.”.

Vetch widział dość próbek pisma Jacqueline, żeby bez trudu rozpoznać je w tych notatkach. Jasne było, że Jacqueline zapisywała swo-

je uwagi podczas programu. Stąd wniosek, że go oglądała, przynajmniej częściowo. Nie ulegało też wątpliwości, że program rozpoczął się o siódmej. Vetch miał w tej chwili na miejscu jedyną znawczynię muzyki, a mianowicie Audrey Coverdale, ale nie był w stanie ocenić jej kompetencji, jako że sam na muzyce się nie znał. Zarządził ponowne opieczętowanie drzwi, po czym zabawił w Lowfield Hall dodatkowe dziesięć minut, żeby wypić herbatę zaparzoną dla niego przez Eunice Parchman. Kiedy z nią gawędził i Eunice znów opowiadała, jak tamtego wieczoru wróciła do domu za pięć ósma (albo pięć po ósmej), żadnej muzyki nie słyszała, telewizor zaś, który zawsze stał w saloniku, był tam również w chwili znalezienia przez nią zwłok — tygodnik „Radio Times” leżał o kilka kroków od niej w teczce nadinspektora.

Audrey Coverdale pakowała się przed odjazdem, ponieważ następnego dnia rano miała już wrócić do pracy. Potwierdziła opinię, że notatki pisane były ręką Jacqueline. Wzdrygnęła się na widok krwawych plam, rada przynajmniej, że jej mąż ich nie widzi.

— Co to znaczy? — zapytał Vetch.

— *La Ci Darem* to duet z trzeciej sceny pierwszego aktu. — Audrey potrafiła zanucić każdą arię z „Don Juana” i z dokładnością do paru minut podać Vetchowi chwilę jej rozpoczęcia. — Chce pan wiedzieć, w którym to jest momencie? Zaraz, zaraz — jakieś czterdzieści minut od początku spektaklu.

Za dwadzieścia ósma. Vetch najzwyczajniej jej nie wierzył. Zasięganie opinii amatorów nie ma sensu. W poniedziałek rano posłał do Stantwich swojego sierżanta, żeby kupił komplet płyt z nagraniem całego „Don Juana”. Odtworzył je na pożyczonym adapterze w swoim biurze w świetlicy. Ze zdumieniem i poniekąd z przerażeniem stwierdził, że *La Ci Darem* zaczęto niemal dokładnie w tym miejscu, które podała mu Audrey: czterdzieści dwie minuty po pierwszym akcie uwertury. „Uwertura skrócona”, zapisała Jacqueline. Możliwe, że w całej operze dokonano skrótów. Vetch skontaktował się więc z BBC,

gdzie udostępniono mu nagranie telewizyjne. Operę rzeczywiście nieznacznie skrócono, jednakże zaledwie o trzy minuty w początkowych trzech scenach pierwszego aktu. *La Ci Darem* natomiast zaczęło się w tym nagraniu o siódmej trzydziści dziewięć. Stąd wniosek, że o siódmej trzydziści dziewięć Jacqueline Coverdale żyła, była spokojna, swobodnie i bez napięcia oglądała program telewizyjny. Trudno by więc przypuszczać, że mordercy weszli do domu przed tą godziną. A jednak Lovata i Scalesa widziano „Pod Błękitnym Dzikim” za dziesięć ósma — co do tego zeznania wszystkich dziewięciu świadków były zgodne. Kto inny zatem wszedł do Lowfield Hall po odjeździe Lovata, ale przed ósmą pięć — teraz już na pewno ósmą pięć.

Vetch studiował notatki Jacqueline, jedyny, jak się zdawało, konkretny dowód rzeczowy w tej sprawie.

Norman Smith przeglądał w gazecie „East Anglian Daily Times” ogłoszenia ze szpalty „Kupię” i natrafił na anons mężczyzny, który poszukiwał używanego magnetofonu. Nie namyślając się wiele, podniósł słuchawkę telefoniczną. Jeżeli chodzi o właściciela magnetofonu, dochodzenie pani Barnstaple nie dało rezultatu, Joan nadal leżała, nie mogąc wypowiedzieć słowa, i nie było sposobu, aby się z nią porozumieć, a Normanowi przez myśl nawet nie przeszło zanieść znaleziony przedmiot na policję. Może zresztą przemknęło mu to przez myśl, ale uznał sprawę za zbyt błahą, żeby zaprzętać nią policję, która na pewno zajęta jest znacznie ważniejszymi rzeczami. Poza tym za magnetofon mógł dostać pięćdziesiąt funtów, które bardzo by mu się przydały w obecnej ciężkiej sytuacji, kiedy nie miał samochodu.

Te pięćdziesiąt funtów, łącznie z nędzną sumką, na jaką ubezpieczona była tamta zielona, rozbita teraz furgonetka, powinno wystarczyć na kupno nowej, mniej więcej z tego samego roku. Norman nakręcił numer telefonu. Ogłoszenie zamieścił niejaki John Plover, dziennikarz. Powiedział Normanowi, że nazajutrz przyjedzie samochodem do Greaving.

Przyjechał. Od razu kupił magnetofon, a na dobitkę podwiózł Normana do Stantwich w porze odwiedzin w szpitalu.

Tymczasem Vetch czerpał dalsze informacje z notatek na marginesie „Radio Times”. „Sprawdzić z nagraniem M.” robiło wrażenie uwagi nieistotnej. Vetch przesłuchał już dwa nagrania opery — nie chodziło mu jednak wcale o odnalezienie fałszywej siódmej nuty, cokolwiek mogło to znaczyć — ale aria *La Ci Darem* niezmiennie występowała w tym samym miejscu i za nic nie chciała się zaczynać choćby dziesięć minut wcześniej. Chyba że Jacqueline zanotowała swoją uwagę przed usłyszeniem arii w telewizji. Powiedzmy, że nastawiła po południu płytę Melindy i chciała ją porównać ze spektaklem telewizyjnym. Jednakże to, co napisała, przemawiało za czymś wręcz odwrotnym. Co więcej, Vetch nie znalazł w Lowfield Hall żadnej płyty z „Don Juanem”, nawet we fragmentach.

— Nie sądzę, żeby siostra miała jakieś płyty z muzyką poważną — powiedział Piotr Coverdale, a potem dodał: — Ale ojciec podarował jej na Gwiazdkę magnetofon.

Vetch popatrzył uważnie na Piotra. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nagranie to niekoniecznie płyta.

— W domu nie ma magnetofonu.

— Prawdopodobnie Melinda wzięła go ze sobą na uniwersytet.

Inspektorowi zamajaczyła możliwość przekraczająca wręcz granice realnych marzeń policjanta: a nuż w czasie, kiedy mordercy weszli do domu, Melinda akurat nagrywała operę, dzięki czemu można by dokładnie ustalić czas i odtworzyć głosy nieproszonych gości. Nie pozwolił sobie jednak snuć takich rojeń. Mordercy z całą pewnością przede wszystkim wyjęliby i zniszczyli taśmy, po czym pozbyliby się magnetofonu. Wezwano głównego świadka, nieocenioną Eunice.

— Pamiętam, jak ojciec dał jej go na Gwiazdkę — powiedziała. — Leżał w jej pokoju w skórzanym futerale, a ja go zawsze okurzałam. W styczniu zabrała magnetofon jadąc do szkoły i już więcej go nie przywoziła. — Eunice nie kłamała. Nie widziała bowiem magnetofonu od tamtego poranka, kiedy podsłuchiwała rozmowę telefoniczną Melindy. To Joan wyniosła go z Lowfield Hall, Joan, mimo obłądu stokroć mądrzejsza od Eunice w jej najlepszych chwilach. Eunice nie zauważyła nawet, że przyjaciółka miała coś w ręce.

Podczas gdy ludzie Vetcha przeczesywali Norwich w poszukiwaniu magnetofonu, wpytując o niego wszystkich znajomych Melindy, Eunice przewędrowała ponad trzy kilometry do Rozdroża pod Szubienicą i tam złapała autobus do Stantwich. W separacie przy głównej sali zastała Normana Smitha, który siedział przy łóżku żony. Nie uprzedziła go bynajmniej o swoich odwiedzinach. Przyszła z tego samego powodu, co i on — bo tak wypadało. Chodzi się na śluby i pogrzeby znajomych i tak samo odwiedza się ich w szpitalu, kiedy chorują. Joan była ciężko chora. Leżała na wznak z zamkniętymi oczami i gdyby nie wznoszący się i opadający ruch kołdry, można by pomyśleć, że nie żyje. Eunice patrzyła na jej twarz. Ciekawa była, jak wygląda to zagruntowane płótno bez warstwy farby. Bo ta twarz do złudzenia przypominała płótno: żółtawe, matowe. Nie odezwała się do niej.

— Prawda, że tu dbają? — zwróciła się do Normana, sprawdzając przedtem dokładnie, czy pod łóżkiem nie ma kurzu. Być może Nor-

man pomyślał, że zdaniem Eunice to o jego żonę tak dbają — podłączoną do kroplówki i owiniętą czystym prześcieradłem — nie odpowiedział bowiem na tę uwagę. Oboje, z różnych zresztą powodów, mieli nadzieję, że stan Joan już się nie zmieni, a kiedy razem wracali autobusem do domu, każde z nich dało wyraz pobożnemu życzeniu, aby ta wegetacja nie przeciągała się zbyt długo.

Vetch bez większej już nadziei zarządził przeszukanie Lowfield Hall, w tym również nie używanej od dawna piwnicy. Gdy jednak nie dało to żadnego skutku, zaczęto rozkopywać zamrożone klomby.

Eunice nie wiedziała, czego właściwie szukają, toteż niewiele ją to wszystko obchodziło. Przyrządzała tylko herbatę i jako sojuszniczka policjantów wносиła im ją na dwór. O wiele większym problemem były teraz dla niej własne zarobki, a raczej ich brak. George Coverdale wypłacał jej miesięczną pensję w ostatni piątek miesiąca. Teraz ostatni piątek, 26 lutego, wypadał nazajutrz, ale jak dotąd Piotr Coverdale nie zdradzał się z zamiarem wypełnienia tego obowiązku, który odziedziczył po ojcu. Eunice uważała to za duże niedopatrzenie z jego strony. Nie chciała korzystać z telefonu. Poszła piechotą do Cattingham i „Pod Aniołem” zapytała o Piotra. Nie było go.

Piotr, o czym Eunice nie wiedziała, odwoził siostrę do Londynu, do męża i dzieci.

Vetch zjawił się w Lowfield Hall nazajutrz rano i Eunice postanowiła, że skorzysta z jego pośrednictwa. Nadinspektor Scotland Yardu, Vetch, zapewnił Eunice, że spełni jej ęrośbę z wielką przyjemnością. W ciągu dnia skontaktuje się niezawodnie z Piotrem Coverdale i chętnie zawiadomi go o kłopotliwej sytuacji panny Parchman.

— Upiekłam ciasto czekoladowe — powiedziała Eunice. — Czy mogę przynieść panu kawałek do herbaty?

— Bardzo to miło z pani strony, panno Parchman.

Tak się złożyło, że Eunice musiała poświęcić nie jeden kawałek, ale całe ciasto, ponieważ akurat o jedenastej Vetch zorganizował w saloniku naradę z udziałem trzech wyższej rangi funkcjonariuszy policji z okręgu Suffolk. Eunice wycofała się z cichym: „Dziękuję panu”, po czym wróciła do kuchni, żeby zakrzętać się wokół własnego lunchu. Kiedy jadła go punktualnie w południe — przy blacie kredensu, ponieważ stołu już nie było — sierżant, pomocnik Vetcha, wszedł z pokoju myśliwskiego, prowadząc za sobą młodego mężczyznę. Eunice widziała go po raz pierwszy.

Sierżant trzymał w ręce dużą brunatną kopertę z czymś pękatym w środku. Uśmiechnął się uprzejmie do Eunice, a następnie spytał, czy pana Vetcha nie ma gdzieś w pobliżu.

— W saloniku — odrzekła Eunice, doskonale zorientowana, komu „proszę pana” się należy, a komu nie. — Są u niego ludzie.

— Dziękuję. Trafimy. — Sierżant skierował się w stronę drzwi do hallu, ale młodzieniec przystanął i spojrzał uważnie na Eunice. Krew odpłynęła mu z twarzy. Otworzył szeroko oczy i chociaż Eunice mówiła całkiem normalnie, wzdrygnął się, jakby w jej głosie było coś obelżywego. Mężczyzna przypomniał jej Melinę, siedzącą przed trzema tygodniami w tej samej kuchni. Nic więc dziwnego, że odechnęła, kiedy sierżant odezwał się do tamtego: — Panie Plover, tędy proszę — i wyprowadził go do hallu.

Eunice umyła naczynia w zlewozmywaku i zjadła ostatni baton czekoladowy. Dosłownie ostatni. Ciekawa była, czy Vetch załatwił już coś z Piotrem Coverdale w sprawie pensji. Na dworze policjanci w dalszym ciągu rozkopywali ogród — w podmuchach wschodniego wiatru, wśród pojedynczych płatków śniegu. Wieczorem miała w planie ulubiony serial — porucznika Steve'a w Hollywood albo Malibu Beach — ale oglądałaby go ze znacznie większą przyjemnością, gdy-

by była pewna, że już wkrótce może się spodziewać swoich pieniędzy. Wyszła do hallu i usłyszała muzykę.

Muzyka dobiegała zza drzwi saloniku. Nie robią więc tam nic aż tak ważnego, żeby na chwilę nie można im było grzecznie przerwać. Melodia była jakby znajoma. Eunice już ją kiedyś słyszała. Może ojciec ją śpiewał? Albo zna to z telewizji? Śpiewano w obcym języku, więc to jednak nie jest melodia taty.

Podniosła zwiniętą w pięść rękę, żeby zapukać do drzwi, ale ją opuściła, kiedy głos z pokoju wzniósł się ponad muzykę.

— O, Boże!

Nie poznała tego głosu, ale nie miała wątpliwości, kto wypowiedział następne słowa — ktoś uciszony teraz rozległym uszkodzeniem mózgu.

— Wracaj. Mamy broń.

I jeszcze inne głosy. I jej własny. Wszystkie mieszały się z muzyką, zagłuszały ją, wzbierały powodzią obłędu i przerażenia.

— Gdzie jest mój mąż?

— W kuchni. Nie żyje.

— Pani oszalała, pani bredzi! Chcę zobaczyć mojego męża, pozwólcie mi do niego pójść. Giles, telefon...! Nie, nie... Giles!

Głos Eunice przemówił do niej z innego czasu.

— Siadajcie. Teraz już nic wam nie pomoże.

Recht Joan.

— Jam jest narzędziem Wszechmocnego...

I strzał. Potem drugi. Poprzez muzykę i krzyki odgłos upadku czegoś ciężkiego.

— Błagam, błagam! — wołanie dziewczyny, a potem ostatnie strzały ponownie naładowanych strzelb. Muzyka, muzyka. Cisza.

Eunice postanowiła, że pójdzie na górę i znów spakuje rzeczy, zanim spadnie na nią kara przez to coś, co w sposób zupełnie dla niej niepojęty odtworzyło śmierć Coverdale'ów. Jednakże otepiała zupełnie i chyba nigdy jeszcze do tego stopnia nie utraciła zdolności rozumowania. Ruszyła w stronę schodów, licząc na swoje silne ciało, które zawsze tak jej dobrze służyło. Ale ciało to — wszystko, co posiadała — właśnie w tej chwili zawiodło. Przed pierwszym stopniem schodów, dokładnie w tym miejscu, w którym przed dziewięcioma miesiącami zatrzymała się po wejściu do Lowfield Hall i przyjrzała się ciekawie swojemu odbiciu w podłużnym lustrze, nogi się pod nią ugięły i Eunice Parchman zemdląła.

Odgłos upadku dotarł do Vetcha, który starał się w tej chwili zapanować nad sobą i jeszcze raz odtworzyć taśmę przed obecnymi kolegami. Pobladli policjanci siedzieli sztywno w fotelach. Vetch wyszedł z pokoju i ujrzał leżącą Eunice, nie mógł się jednak zdobyć na to, żeby ją podnieść czy choćby jej dotknąć.

Joan Smith wciąż leży niema i nieruchoma w Szpitalu Miejskim w Stantwich. Podłączona jest do aparatury, która utrzymuje akcję jej serca i płuc, ale lekarze zastanawiają się, czy wyłączenie aparatury nie byłoby aktem miłosierdzia. Mąż Joan pracuje na poczcie gdzieś w Walii, przy czym wciąż używa nazwiska Smith. Tyłu jest przecież Smithów...

Piotr Coverdale nadal wykłada ekonomię polityczną w Stock-on-Trent. Jego siostra, Paula, nie odzyskała już równowagi po śmierci ojca i Melindy i w ciągu ubiegłych dwóch lat trzy razy poddawana była kuracji elektrowstrząsowej. Jeffrey Mont dużo pije i na dobrą sprawę powinien się znaleźć tam, gdzie Joan Smith umieściła go podczas swojej drugiej rozmowy z Eunice Parchman. Trzy te osoby — Piotr, Paula i Jeffrey Mont — procesują się bez końca, ponieważ nie udało się ustalić, czy śmierć Jacqueline nastąpiła, zanim zginął jej syn, czy też było odwrotnie. Gdyby to ona umarła pierwsza, Lowfield Hall dziedziczyłby zgodnie z prawem Giles. W tej sytuacji posiadłość stałaby się własnością jego ojca, jako najbliższego krewnego. Gdyby jednak Giles zakończył życie przed matką, Lowfield Hall powinien przypaść w udziale bezpośrednim spadkobiercom George'a.

Jonatan Dexter, typowany na dyplom z pierwszą lokatą, znalazł się na trzecim miejscu. Ale to było dawno. Teraz uczy francuskiego w szkole podstawowej w Essex, o Melindzie już prawie zapomniał i „chodzi” z nauczycielką przyrody.

Barbara Baalham wydała na świat dziewczynkę — Annę, ponieważ imię Melinda, które Geoff pierwotnie proponował, nasuwało, zbyt posępne skojarzenia. Ewa sprząta u pani Jameson-Kerr i dostaje siedemdziesiąt pięć pensów za godzinę. W Greeving „Pod Błękitnym Dzikim” wciąż się rozprawia o Masakrze Dnia Św. Walentego, zwłaszcza w letnie wieczory, kiedy zjeżdżają się turyści.

Proces Eunice Parchman odbył się w Old Bailey, Głównym Sądzie Kryminalnym, ponieważ nie udało się znaleźć bezstronnych kandydatów na sędziów przysięgłych w Bury St. Edmunds. Eunice skazano na dożywocie, chociaż w praktyce może to oznaczać tylko piętnaście lat. Były głosy, że kara jest absurdalnie niska. Eunice jednak poniosła prawdziwą karę. Miażdzący cios spadł na nią jeszcze przed ogłoszeniem ostatecznego wyroku. Nastąpiło to w chwili, gdy obrońca

obwieścił całemu światu, sędziemu, prokuratorowi, policjantom, publiczności na galerii, dziennikarzom notującym pośpiesznie w kabinie dla prasy — że oskarżona nie umie czytać ani pisać.

— Analfabetka? — spytał sędzia Manaton. — Nie umie pani czytać?

Nalegał, w końcu więc odpowiedziała. Odpowiedziała — z purpurową twarzą, drżąc na całym ciele — i widziała, że ludzie, którzy nie są potworami ani kalekami tak jak ona, zapisują jej słowa.

Usiłowano dopomóc Eunice, namawiając ją do przezwyciężenia wrodzonego defektu psychicznego. Eunice odmawia uparcie. Jest już za późno. Za późno, aby ją wyleczyć, za późno, aby cofnąć czas, odwrócić to, co zrobiła, i to, co z tego wynikło.